James Oliver Curwood

SZARA WILCZYCA

James Oliver Curwood

SZARA WILCZYCA

Konwersja: Nexto Digital Services

Spis treści

ROZDZIAŁ I
ROZDZIAŁ II
Rozdział III
ROZDZIAŁ IV
ROZDZIAŁ V
ROZDZIAŁ VI
ROZDZIAŁ VII
Rozdział VIII
ROZDZIAŁ IX
ROZDZIAŁ X
ROZDZIAŁ XI
ROZDZIAŁ XII
ROZDZIAŁ XIII
ROZDZIAŁ XIV
ROZDZIAŁ XV
ROZDZIAŁ XVI
ROZDZIAŁ XVII
ROZDZIAŁ XVIII
ROZDZIAŁ XIX
ROZDZIAŁ XX
ROZDZIAŁ XXI
ROZDZIAŁ XXII
ROZDZIAŁ XXIII
ROZDZIAŁ XXIV
ROZDZIAŁ XXV
ROZDZIAŁ XXVI
ROZDZIAŁ XXVII

SZARA WILCZYCA

James Oliver Curwood

ROZDZIAŁ I

CUD

Kazan leżał milcząc i bez ruchu, z burym nosem wtulonym między przednie łapy i półprzymkniętymi oczyma. Robił wrażenie martwej bryły; nie drgnął żaden mięsień, żaden włos.. Mimo to każda kropla krwi w jego wspaniałym cielsku szalała ogniście, podniecona do najwyższych granic; każdy nerw był napięty jak stalowa struna.

W trzech czwartych huski, w jednej czwartej wilk, Kazan cztery lata swego życia spędził wyłącznie wśród dzikiej głuszy. Znał dokuczliwą mękę głodu. Wiedział, co znaczy mróz. W czasie długich podbiegunowych nocy nasłuchiwał niejednokrotnie płaczliwego wycia wichru ponad sinym pustkowiem. Nie był mu obcy grzmot wodospadów i porohów; podczas zamieci śnieżnych warował cicho jak trusia. Jego piersi i barki były pełne blizn, a ślepia miał zaognione od częstego spoglądania na migotliwą biel. Nazywał się Kazan, czyli dziki pies. Olbrzymiej budowy, nie znał trwogi na równi z tymi ludźmi, którzy kierowali jego włóczęgą poprzez chłodny podbiegunowy kraj.

Nie znał trwogi — po dziś dzień! Nigdy nie odczuwał chęci ucieczki, nawet wtedy gdy w lesie walczył z siwym rysiem. Nie zdawał sobie sprawy z przyczyn lęku, który go teraz ogarniał, wiedział tylko, że otacza go inny świat, pełen

rzeczy obcych i niezwykłych. Było to jego pierwsze zetknięcie z cywilizacją. Pragnął, by pan powrócił wreszcie do tej dziwacznej izby, w której go zostawił samego. Izba zawierała moc rzeczy wyraźnie wstrętnych. Na ścianach widniały ludzkie twarze milczące i nieruchome, obdarzone równie nieruchomym wejrzeniem. Kazan pamiętał, jak jeden z jego panów leżał kiedyś na śniegu bardzo cichy i zimny, a on, siadłszy obok głowy trupa, wył ponurą pieśń śmierci. Lecz ludzie na ścianach wyglądali jak żywi, chociaż robili wrażenie umarłych.

Raptem pies uniósł nieco uszy. Dobiegło doń lekkie stąpanie, a potem dźwięk cichej mowy. Jeden głos poznał natychmiast: należał do jego pana. Lecz drugi wywołał w nim dziwny dreszcz. Kiedyś, dawno, więc zapewne jako szczenię, słyszał śmiech kobiecy, taki jak teraz — pełen ogromnego szczęścia, miłości bez granic i tak wielkiej słodyczy, że Kazan podniósł ku górze ciężki łeb. Gdy ludzie weszli, spojrzał na nich dwojgiem lśniących, krwawych ślepi. Od razu wiedział, że jego pan kocha tę kobietę. W świetle lampy rozróżnił ciężkie sploty jej włosów, purpurę pnączy baknisz na jej policzkach i błękit kwiatów baknisz w jej błyszczących oczach. Raptem dojrzała go i skoczyła ku niemu z lekkim okrzykiem.

— Co robisz?! — wrzasnął mężczyzna. — To niebezpieczny pies! Kazan, leżeć!

Klęczała już przy nim, powiewna, dobra, piękna, ze lśniącymi oczyma i wyciągniętymi rękoma. Czy miał się cofnąć? Czy warknąć? Może jest jedną z tych wstrętnych postaci na ścianie i jego wrogiem? Czy ma jej skoczyć do gardła? Widział, jak mężczyzna podbiega, blady niby śmierć. Wtem dłoń kobiety dotknęła jego głowy i uczuł w całym ciele nerwowy dreszcz. Oburącz uniosła mu do góry kudłaty łeb. Twarz jej była tuż i słyszał, jak mówiła prawie łkając:

— Więc to ty jesteś Kazan, mój złoty Kazan, mój bohaterski pies? To ty przywiozłeś go do mnie, gdy wszyscy

zginęli? Mój Kazan, mój bohater!

I oto cud nad cudy: twarz kobiety pochyliła się jeszcze niżej i Kazan uczuł miękki dotyk jej świeżego policzka.

Skamieniał. Wstrzymał nawet oddech. Miał wrażenie, że upłynęła długa chwila, nim kobieta uniosła głowę. Gdy uczyniła to wreszcie, miała oczy pełne łez, a mężczyzna tkwił nad żoną i psem, zwarłszy szczęki i mocno zaciskając pięści.

— Nie widziałem jeszcze, żeby ten pies pozwolił się komukolwiek dotknąć gołą dłonią — rzekł zdławionym głosem. — Izo, wstań, tylko bardzo powoli... O Boże, ależ spójrz!

Kazan zaskomlił cicho, nie spuszczając z twarzy kobiety zaognionych ślepi. Pragnął dotyku jej rąk, pieszczoty głosu. Nie był pewien, czy nie obiją go kijem, jeśli się ośmieli. Nie chciał jej czynić zła. Gotów był zabić dla niej. Kornie, wielbiąc ją wzrokiem, począł ku niej sunąć cal za calem. Usłyszał głos mężczyzny i zadygotał. Lecz nie padł żaden cios. Chłodny pysk psa dotknął powiewnej sukni, a kobieta patrzyła nań nieruchoma oczyma jak gwiazdy.

— Widzisz! — szepnęła. — Widzisz!

Pół cala, cal, dwa cale i ogromne bure cielsko uniosło się zwolna: Teraz pysk ostrożnie wędrował ku górze, muskając kolana, aż dotknął rąk zwieszonych wzdłuż sukni. Kazan nie spuszczał oczu z kobiety; widział, jak drga spazmatycznie odsłonięta biała szyja i dygocą wargi, podczas gdy źrenice z dziwnym wyrazem szukają twarzy mężczyzny. On również klął obok i poklepał psa. Kazan nie lubił dotyku jego ręki. Przyroda nauczyła go nie dowierzać ludziom. Lecz tym razem dozwolił się pieścić, gdyż czuł, że sprawia tym przyjemność kobiecie. — Kazan, stary chłopie, nie uczyniłbyś jej krzywdy, prawda, że nie? — mówił pan łagodnie. — Kochamy ją obaj, co? Musimy kochać, chcąc nie chcąc! Należy do nas! Jest twoją i moją panią, więc całe

życie będziemy jej służyć i strzec jej, a gdy przyjdzie walczyć w jej obronie, będziemy walczyć jak sto diabłów! Prawda, Kazan, stary druhu?

Wstali wreszcie, a Kazan leżąc na dywanie wodził oczyma za kobietą. Nasłuchiwał dźwięku jej mowy, szmeru ruchów i żarła go coraz większa chęć, aby podpełznąć bliżej, musnąć nosem choć jej trzewik czy rąbek sukni. Po chwili pan wyrzekł parę słów, a kobieta z uśmiechem porwała się z miejsca i podbiegła ku wielkiej, lśniącej skrzyni umieszczonej w kącie pokoju. Wzdłuż jednego jej boku widniał rząd białych i czarnych kłów.

Kazan przyglądał się im podejrzliwie. Teraz kobieta położyła na nich ręce i ani szept wiatru, ani perlisty bełkot porohów, ani grom wodospadu, ani nawet świergot ptaków nie dały się porównać ze słodyczą tych dźwięków. Na chwilę Kazan doznał uczucia trwogi. Potem lęk minął, a pozostał jedynie ogromny niepokój. Chciało mu się usiąść i podniósłszy łeb ku górze wyć żałośnie, jak wył nieraz w czasie długich, mroźnych nocy pod niebem pełnym gwiazd. Powstrzymał się jednak. Natomiast zwolna począł pełznąć w stronę kobiety. Raptem uczuł na sobie ciężki wzrok pana i stanął. Potem ruszył znów, jeszcze ostrożniej, tuląc do podłogi suchy łeb i długi bury pysk. Zrobił właśnie pół drogi, gdy piękne dźwięki zaczęły zamierać i gasnąć. — Graj dalej! — szepnął mężczyzna niskim, nerwowym głosem. — Graj dalej, nie przerywaj!

Kobieta odwróciła głowę, zobaczyła psa warującego opodal i na nowo podjęła melodię. Mężczyzna nie spuszczał wzroku z Kazana, lecz jego już nic nie mogło powstrzymać. Sunął bliżej i bliżej, aż wreszcie wyciągniętym pyskiem dotknął sukni leżącej na podłodze. Raptem znieruchomiał. Kobieta zaczęła śpiewać. Ka-

zan słyszał raz Indiankę z plemienia Cree nucącą przed swoim wigwamem; słyszał też dziką melodię Pieśni karibu , lecz nie znał równie miłej nuty jak ta, która płynęła obecnie.

Zapomniał o obecności swego pana. Ostrożnie, by nie spłoszyć kobiety, uniósł ciężki łeb. Wtedy napotkał błękitne oczy i widać wyczytał w nich zachętę, gdyż złożył głowę na jej kolanach. Znów uczuł pieszczotę jej ręki i przymknął powieki z głębokim westchnieniem. Pieśń umilkła. Zabrzmiał natomiast cichy, trzepotliwy dźwięk, niby śmiech i płacz zarazem. Mężczyzna kaszlnął.

— Lubiłem zawsze tego starego łotra, ale nie myślałem, że potrafi się tak zachować! — rzekł, a w jego głosie pies pochwycił drżącą nutę.

ROZDZIAŁ II

NA DALEKĄ PÓŁNOC

Dla Kazana nadeszły teraz piękne dnie. Tęsknił co prawda do wielkich borów i kopnych zasp. Brakowało mu codziennego wysiłku, ż jakim utrzymywał w karbach dziki zaprząg pobratymców, i długich wędrówek przez ośnieżone barren. Brakowało donośnych koosz, koosz, hoo-jah woźnicy, ostrego trzasku ciętego bicza i skomleń sfory, świadczącej o wspólnym trudzie. Lecz miał coś, co mu zastępowało wszystko inne. Coś, co nawiedzało pokoje i unosiło się w powietrzu nawet w nieobecności pana i pani. Wszędy, gdziekolwiek przeszła, odnajdywał zbawienny lek na swą tęsknotę. Była to woń kobiety i dzięki niej Kazan zamiast wyć nocami do gwiazd, skomlił tylko po cichu. Nie był już samotny, gdyż którejś nocy wałęsał się póty po domu, aż znalazł pewne drzwi: gdy zaś kobieta rankiem wyszła z pokoju, zobaczyła go skulonego u progu swej sypialni. Przykucnęła wnet obok i pochylona, mimo woli okryła psa falą rozpuszczonych włosów. Potem już zawsze kładła mu przed drzwiami derkę, żeby miał na czym spocząć. Nocami Kazan czuł teraz stale jej obecność po drugiej stronie drzwi — i był rad. Myślał też coraz częściej o swej pani, a coraz rzadziej wspominał dziką północ.

Lecz pewnego dnia nadszedł początek wielkich zmian. W domu powstał ruch i gwar niezwykły, a kobieta zwracała mniej uwagi na czworonożnego ulubieńca. Kazan czuł się nieswojo. Węszył w powietrzu i z uporem badał twarz pana. Aż pewnego ranka bardzo wcześnie nałożono mu obrożę i przytwierdzono do niej łańcuch. Lecz dopiero wyszedłszy w ślad za panem na ulicę Kazan począł się wszystkiego

domyślać. Chcą go gdzieś odprawić. Siadł więc i zdecydowanie nie dał się ruszyć z miejsca.

rzw Chodź, Kazan! — namawiał mężczyzna. — No, chodźże, stary!

Pies skulił się i ukazał białe kły. Oczekiwał teraz gwizdu bicza lub ciosu pałki, ale nie nadeszło ani jedno ani drugie. Pan parsknął śmiechem i skręcił ku domowi. Gdy wyszli ponownie, obok, z dłonią na łbie Kazana, kroczyła kobieta. Nieco później ona właśnie namówiła go, by skoczył przez ciemny otwór da mrocznego wnętrza wagonu, i ona zwabiła go w najdalszy kąt, gdzie pan umocował łańcuch do żelaznego kółka w ścianie.

Potem kobieta i mężczyzna wyszli roześmiani niby dzieci, a Kazan leżał długie godziny milczący i naprężony nasłuchując monotonnego turkotu kół. Parokrotnie turkot ustawał i na zewnątrz rozbrzmiewały głosy. Wreszcie Kazan usłyszał znajomy dźwięk mowy; wtedy szarpnął łańcuch i zaskomlił. Zamknięte drzwi rozsunęły się skrzypiąc. Do środka wlazł jakiś człowiek niosący latarnię, a za nim pan Kazana. Lecz pies nie zważał na nich; natomiast nie odrywał oczu od nocnej ciemności widocz nej przez kwadratowy otwór. Gdy tylko łańcuch pozwolił mu na pewną swobodę ruchów, Kazan jednym susem znalazł się na zewnątrz, lecz tam, nie widząc nikogo, zesztywniał cały i począł gorliwie węszyć.

W górze mrugały gwiazdy, te same, do których tylokrotnie wył, a ciemny pierścień lasu zamykał widnokrąg. Próżno jednak pies szukał znajomej woni. Thorpe usłyszał niski, żałosny skowyt psa. Wówczas wziął od konduktora latarnię i oświetlił nią łeb Kazana, jednocześnie luźniej ujmując łańcuch. W tej chwili z ciemnej dali buchnęło wołanie. Odezwało się poza nimi i Kazan skręcił w miejscu tak gwałtownie, że niedbale trzymany łańcuch wypadł z ręki mężczyzny. Pies dojrzał błysk wielu świateł i raz jeszcze dobiegł go krzyk:

—Kazan! Kazan! Kazan!

Porwał się z miejsca jak strzała. Thorpe, idąc w ślad za nim, chichotał radośnie.

— Ach, stary rozbójniku!

Gdy Thorpe dotarł wreszcie do oświetlonego peronu stacji, znalazł Kazana warującego u nóg kobiety. Izabela Thorpe uśmiechnęła się do męża z triumfującym wyrazem oczu.

— Wygrałaś! — śmiał się i znać po nim było, że jest rad. — . Postawiłbym w„ zakład ostatniego dolara, że nasz diabeł nie poleci na żadne wołanie. Odtąd należy do ciebie! Kazan, zmieniłeś pana!

Spoważniał nagle, gdy kobieta pochyliła się chcąc ująć łańcuch.

— Jest twoją własnością, Izo, ale pozwól mi go pilnować, nim nie nabiorę absolutnej pewności. Daj mi łańcuch. Nie dowierzam mu nawet teraz. To istny wilk! Widziałem na własne oczy, jak jednym szarpnięciem szczęk urwał człowiekowi dłoń! Widziałem, jak jednym cięciem kłów rozdarł tchawicę innego psa! Kazan jest złośliwy i nieobliczalny, jakkolwiek zachowywał się po bohatersku w czasie ostatniej wyprawy i uratował mi życie. Nie dowierzam mu jednak. Proszę, daj mi łańcuch...

Urwał raptownie. Kazan skoczył na nogi rycząc jak dzika bestia. Ściągnął wargi ukazując białe kły. Kark mu zesztywniał; Thorpe, krzyknąwszy ostrzegawczo, położył dłoń na kolbie rewolweru.

Kazan nie zważał na głos i ruchy pana. Z mroku wyłoniła się nowa postać i stała teraz w jarzącym kolisku latarni. Był to Mac Cready, przewodnik, mający odprowadzić Thorpa wraz z żoną do obozowiska nad rzeką Red, gdzie Thorpe zawiadywał budową nowej transkontynentalnej linii kolejowej. Mac Cready był wysokiego wzrostu, miał silną budowę i gładko ogoloną twarz. Szczęki miał masywne o

brutalnym zarysie i patrzał na Izę wzrokiem .. równie niemal płomiennym jak wzrok Kazana.

Biało-czerwony kaptur zsunął się z głowy kobiety i miękko legł na ramionach. Odblask latarni migotał w ciężkich zwojach jej włosów". Policzki miała rumiane, oczy, zwrócone w stronę przybysza, modre jak kwiat baknisz, a lśniące niby diamenty. Mac Cready błyskawicznie zmienił wyraz twarzy. Dłoń Izy opadła na łeb Kazana. Po raz pierwszy pies zdawał się nieczuły na to dotknięcie. W dalszym ciągu szczerzył kły, a w jego piersi huczał złowieszczy grzmot. Kobieta szarpnęła łańcuchem.

— Leżeć, Kazan! — zakomenderowała ostro. Na dźwięk jej głosu pies zmiękł.

— Leżeć! -— powtórzyła raz jeszcze i przesunęła mu dłonią po głowie. Kazan przywarował do jej stóp. Jednak nadal szczerzył zęby. Thorpe obserwował go badawczo. Dziwiła go śmiertelna nienawiść bijąca z oczu psa. Przeniósł wzrok na przewodnika. Mac Cready rozwinął swój długi bicz. Twarz jego miała wyraz skupionej uwagi. Raptem pochylił się naprzód, oparłszy na kolanach dłonie obu rąk, i przez chwilę zapomniał bodaj nawet o tym, że spoglądają na niego błękitne oczy Izy.

— Hoo-koosz, Pedro! W cwał!

Były to słowa komendy używanej jedynie w królewskiej konnej północno-zachodniej policji. Kazan ani drgnął. Mac Cready wyprostował się i palnął z bata, jakby z fuzji strzelił.

— W cwał, Pedro! W cwał!

Pomruk w gardle Kazana przeszedł w chrapliwe warczenie, lecz żaden mięsień jego ciała nie drgnął. Mac Cready zwrócił się do Thorpa:

— Przysiągłbym, że znałem tego psa! — rzekł. — Jeśli to Pedro, to on jest zły!

Thorpe ujął w dłoń łańcuch. Jedynie kobieta dostrzegła wyraz, który na chwilę nawiedził twarz przewodnika. Mimo woli drgnęła. Przed pół godziną, gdy pociąg stanął w Le Pas, podała temu człowiekowi rękę i przeraziła się wtedy również mowy jego oczu. Jednak przypomniała sobie w porę wszystko, cokolwiek mąż jej opowiadał o leśnych ludziach. Ukochała ich na ślepo; na wiarę wielbiła szorstką męskość i uczciwość oraz wspaniałomyślność serc. Toteż uśmiechnęła się raptem w stronę przewodnika, zwalczając strach i antypatię.

— Nie lubi pana! — żartowała pogodnie. — Może byście się zaprzyjaźnili jednak?

I podczas kiedy Thorpe nadal ściskał koniec łańcucha, przyciągnęła psa bliżej. Pochyliła się nad nim. Mac Cready stanął tuż, plecami obrócony do inżyniera. Schylona głowa Izy znalazła się prawie przy jego wargach. Widział rumieniec policzków i rozkoszne wydęcie ust, z jakim gromiła warczącego psa. Thorpe gotował się targnąć łańcuchem, jeśli Kazan wykaże chęć ataku. Lecz Mac Cready nie patrzał na wilczura. Jego oczy nie schodziły z twarzy kobiety.

— Pani jest bardzo odważna! — rzekł. — Ja nie ośmieliłbym się na coś podobnego! Urwałby mi ramię jak nic!

Wziął latarnię z dłoni Thorpa i skierował się ku wąskiej ścieżce wydeptanej w bok od głównego szlaku. Opodal, ukryty w zwartej gęstwie drzew szpilkowych, leżał obóz opuszczony przez inżyniera parę tygodni temu. Zamiast jednego, namiotu, używanego w swoim czasie przez Thorpa i przewodnika, stały obecnie dwa. Między nimi płonął duży ogień. Tuż przy ogniu widniały długie, wąskie sanie, a poza świetlnym kręgiem Kazan dostrzegł mgliste zarysy i lśniące ślepia pociągowej sfory. Wilczur zesztywniał wnet i obojętnie dał się uwiązać do sań. Raz jeszcze wrócił do rodzinnych borów i obejmował komendę nad dziką zgrają. Jego pani śmiała się i klaskała w ręce, uradowana niezwykłą

malowniczością otoczenia, które miało stać się odtąd tłem jej codziennego życia.

Thorpe odrzucił skrzydło namiotu i wprowadził żonę do wnętrza. Iza nie obejrzała się nawet. Nie przemówiła do Kazana ani słowa. Pies zaskomlił i zwrócił krwawe ślepia w stronę Mac Cready ego.

Wewnątrz namiotu Thorpe mówił:

— Ogromnie żałuję, że stary Jackpine nie wraca razem z nami, Izo. Przywiódł mnie tutaj, lecz żadne zaklęcia ani pieniądze nie mogą go nakłonić do dalszej włóczęgi. Jest Indianinem i należy do misji tutejszej. Dałbym miesięczną pensję, żeby ci pokazać, jak on się obchodzi z psami. Nie jestem zbyt pewien tego Mac Cready ego. Agent Kompanii twierdzi, że to morowy chłop i zna lasy na wylot. Ale psy nie lubią obcych! Kazan będzie nań warczał całą drogę.

Kazan usłyszał teraz głos kobiety i stał jak posąg, chciwie łowiąc miłe dźwięki. Nie zauważył wcale, że Mac Cready chyłkiem zbliża się doń z tyłu. Głos przewodnika zabrzmiał ostro niby strzał:

— Pedro!

Kazan błyskawicznie przypadł do ziemi, niby cięty biczem.

— Poznałem ciebie jednak, co, stary diable?! — syknął Mac Cready z twarze widmowo białą w świetle ognia. — Zmieniłeś imię, wyrosłeś, a ja cię jednak poznałem!

Rozdział III

MAC CREADY PŁACI DŁUG

Mac Cready siedział przy ogniu pogrążony w ponurym milczeniu. Jedynie chwilami i na krótko przestawał obserwować psa. Po upływie pewnego czasu — przekonany, że Thorpe i Iza poszli spać — udał się do swego namiotu i wrócił niosąc flaszkę wódki. W ciągu następnej pół godziny raz po raz hojnie pociągał ognistego płynu. Potem wstał i siadł na sankach, tuż poza długością łańcucha Kazana.

— Poznałem cię, stary draniu! — powtórzył, a w jego oczach znać już było wpływ wódki. — Ciekaw jestem, kto ci nadał nowe imię i w jaki sposób trafiłeś w jego ręce! Ho, ho, gdybyś tylko umiał gadać!...

Z wnętrza namiotu zabrzmiał dźwięk głosu, a wnet potem buchnął świeży, perlisty śmiech. Mac Cready wyprężył się jak struna. Fala krwi zalała mu twarz. Wstał, chowając flaszkę do kieszeni kurty. Zwolna okrążył ogień, stąpając na palcach zbliżył się do drzewa rosnącego tuż przy namiocie i przylgnął doń całym ciałem. Trwał tak długą chwilę, nasłuchując. Gdy wreszcie oderwał się od pnia, miał w oczach płomień obłąkania. Dopiero po północy skrył się we własnym namiocie.

Ciepło ognia rozmarzyło psa i Kazan zwolna przymknął ślepia. Drzemał niespokojnie, mając mózg pełen ruchliwych widziadeł. Czasem śnił walkę i wtedy groźnie szczękał kłami. To znów zdawało mu się, że chce skoczyć ku swej pani lub zabić przewodnika, a łańcuch go nie puszcza. Czuł na głowie miękki dotyk ręki kobiecej i słyszał łagodny głos nucący znajomą pieśń, więc drżał i dygotał jak owego wieczora, gdy zobaczył Izę po raz pierwszy.

Raptem obraz się zmienił. Kazan gnał na czele wspaniałej sfory sześciu psów, wprzęgnięty w sanie królewskiej konnej policji, a jego pan wołał nań „Pedro"! Potem widział obóz. Pan był młody i miał miłą twarz, a teraz właśnie pomagał wysiąść z sań jakiemuś człowiekowi, którego ręce spinały na przedzie dziwaczne, czarne obrączki. Minęło parę chwil czy parę godzin. Pedro leżał przy wielkim ogniu, a na wprost niego siedział pan, mając za plecami namiot. I oto z namiotu wyszedł ów człowiek bez kajdan już, niosąc w dłoni ciężką maczugę. Pies usłyszał głuchy trzask pałki opadającej na czaszkę pana i ten głos zbudził go ze snu.

Skoczył na równe nogi warcząc i jeżąc sierść. Ogień wygasł i obóz był zatopiony w mrocznej ciszy poprzedzającej świt. Poprzez oponę ciemności Kazan zobaczył przewodnika. Mac Cready tkwił znów tuż obok namiotu Izy. Pies wiedział już teraz, że jest to właśnie ów człowiek, który nosił kiedyś na rękach czarne obrączki, a potem znęcał się nad nim przez długie tygodnie bijąc go batem i kijem.

Mac Cready usłyszał warczenie psa i szybko wrócił ku ognisku. Począł gwizdać z udaną wesołością, złożył na jeden stos osmolone głownie, rozżarzył płomień i wreszcie głośnym wołaniem zbudził Izę i Thorpa. Po chwili oboje wyszli z namiotu. Rozpuszczone włosy Izy w złotych skrętach opadały jej na ramiona i plecy. Siadłszy na saniach obok Kazana, poczęła je rozczesywać. Mac Cready podszedł tuż, przewracając toboły i szukając czegoś w ładunku sań. Niby przypadkiem jedna z jego rąk utonęła na mgnienie w gęstwie złotych splotów. Thorpe był właśnie odwrócony plecami, a Iza ledwie wyczuła zuchwałą pieszczotę. Jedynie Kazan dostrzegł ruch ręki, gmeranie zakrzywionych palców we włosach kobiety i płomień namiętności w oczach przewodnika.

Pies szybciej od rysia zebrał się w sobie i skoczył. Mac Cready w samą porę dał susa wstecz, a Kazan, osiągnąwszy koniec łańcucha, został szarpnięty w tył tak gwałtownie, że runął na wznak jednocześnie przewracając Izę. Właśnie w tej chwili Thorpe odwrócił się. Pewny, że wilczur skoczył na żonę, oniemiał na razie i milcząc pomógł jej wstać. Stwierdzał, że nic jej nie jest i gorączkowo zaczął się macać po boku szukając rewolweru. Lecz broń wraz z futerałem została w namiocie, natomiast w śniegu leżał bicz przewodnika; Thorpe porwał go obłąkany dziką pasją. Skoczył w stronę Kazana. Pies przywarował milcząc, nie próbując nawet ucieczki lub obrony. Jedynie raz w życiu Kazan został zmasakrowany tak strasznie jak teraz; jednak ani nie skomlił, ani nie warczał.

Raptem Iza rzuciła się naprzód i uchwyciła biczysko podniesione nad głową męża.

— Dosyć! Dosyć! — krzyczała i Thorpe mimo woli zniżył bicz ku ziemi. Wtedy szepnęła mu na ucho coś, czego Mac Cready nie dosłyszał. Inżynier zdziwił się najwidoczniej, spojrzał wokoło mętnym wzrokiem i wreszcie wszedł w ślad za żoną do namiotu.

Tu przystanęli oboje.

— Kazan nie rzucił się na mnie! — szepnęła kobieta drżącym głosem, blada ze wzruszenia. — Ten człowiek stał poza mną! — ciągnęła dalej, ściskając ramię męża. — Czułam, że mnie dotknął, i w tej chwili właśnie Kazan skoczył! Nie mnie chciał ugryźć! Chciał ugryźć tego człowieka! To... zły człowiek!

Niemal płaczącą Thorpe serdecznie wziął w ramiona.

— Dziwne jest to, co mówisz! — rzekł. — Ale jednak możliwe: Mac Cready wspominał nawet, że zna tego psa. Może znęcał się nad nim kiedyś, a Kazan zapamiętał to sobie. Trzeba będzie tę sprawę wyświetlić. Lecz na razie obiecaj mi, że się nie zbliżysz do Kazana!

Iza dała mężowi żądaną obietnicę. Gdy razem wyszli z namiotu, Kazan uniósł ku górze kosmaty łeb. Z pyska kapała mu krew, a jedno oko miał zamknięte spuchlizną. Iza załkała krótko, lecz nie zbliżyła się doń wcale. Ale pies wiedział, że to pani położyła koniec biciu, toteż zaskomlił cicho i parokrotnie uderzył ogonem w śnieg.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak nieszczęśliwy jak w ciągu długich, ciężkich godzin owego dnia, gdy wytyczał szlak idąc na czele zaprzęgu. Jedno oko miał zamknięte i pełne żaru; w całym ciele czuł okropną mękę. Lecz nie fizyczny ból zniżał mu łeb ku ziemi i pozbawiał wspaniałe cielsko błyskawicznej prężności ruchów. Przede wszystkim cierpiał duch. Kazan był złamany moralnie. Pamiętał jeszcze dawne ciosy kija Mac Cready'ego; pamiętał razy bicza, jakie mu dziś zadał Thorpe. W głosach mężczyzn brzmiała dlań nuta groźby i nienawiści. Lecz najbardziej cierpiał z powodu Izy. Trzymała się wciąż w oddaleniu, nigdy nie podchodząc bliżej, a w czasie odpoczynków spoglądała nań raz po raz dziwnym, niezrozumiałym wzrokiem, nie odzywając się wcale. Osądził, że i ona również gotowa jest go uderzyć. Więc czając się odpełzł tak daleko od ognia, jak mu na to pozwoliła linka, i przywarował w śniegu. Złamany na duchu, miał również złamane serce i tej nocy, skulony, w najgęstszym mroku, cierpiał samotnie. Nikt nie podejrzewał, co się dzieje w duszy psa. Interesowała się nim zresztą tylko Iza. Nie zbliżała się doń co prawda, pomna obietnicy, lecz obserwowała go ukradkiem, szczególnie wtedy, gdy Kazan śledził wzrokiem Mac Cready ego.

Nocą, gdy Thorpe wraz z żoną znikł w namiocie, począł sypać śnieg, a efekt, jaki to zjawisko wywarło na przewodniku, zdziwił Kazana. Mac Cready zdradzał wyraźny niepokój i raz po raz pociągał z flaszki łyk -wódki. W blasku ognia twarz czerwieniała mu coraz silniej, a ilekroć spoglądał w kierunku, w którym spała Iza, białe zęby błyskały mu w okrutnym uśmiechu. Co chwila zbliżał się do

namiotu i nasłuchiwał. Dwukrotnie pochwycił uchem jakiś ruch. Za drugim razem było to głębokie westchnienie Thorpa. Mac Cready wrócił do ogniska i uniósł twarz ku niebu. Śnieg prószył tak gęsto, że w jednej chwili biały puch zlepił mu oczy. Wtedy Mac Cready skoczył w las i zaczął badać szlak pozostawiony przed paroma godzinami. Wyżłobienia płóz i odciski rakiet ginęły już niemal w zaspach. Jeszcze godzina i zniknie wszelki dowód, że ktoś tędy przeszedł.

Do rana śnieg zasypie obóz i zdławi nawet resztki ognia, jeśli nie podsycać go starannie.

Mac Cready znów pociągnął z flachy. Bełkotał sprośne słowa triumf u. Kurzyło mu się ze łba. Serce jego waliło jak młot, lecz serce psa zabiło jeszcze silniej, gdy ujrzał, że człowiek ma w ręku k i j !

Przewodnik oparł pałkę o drzewo. Potem wziął z sań latarnię, zapalił ją i zbliżył się do namiotu Thorpa.

— Hej, Thorpe! — zawołał półgłosem. — Hej, Thorpe, czy słyszysz?!

Odpowiedziało mu milczenie. Słychać było tylko równy oddech śpiących. Mac Cready uchylił skrzydło i zawołał nieco głośniej: — Thorpe!

W dalszym ciągu nikt się nie odzywał. Mac Cready wsunął latarnię do wnętrza namiotu i spojrzał w jego głąb. Błysk światła padł na złote włosy Izy, rozsypane obok głowy męża i przewodnik wpił się w nie oczyma płonącymi jak węgle. Zresztą dostrzegł w czas, że inżynier się budzi. Wtedy wycofał się zręcznie, opuścił skrzydło namiotu i raz jeszcze zawołał:

— Thorpe!

Tym razem Thorpe odpowiedział:

— Halo! Mac Cready, czy to ty ?

Mac Cready pochylił się i wyszeptał cicho:

— Tak, to ja! Proszę wyjść na chwilę. W lesie dzieją się dziwne rzeczy! Nie trzeba budzić pani!

Odstąpił wstecz i czekał. W chwilę później Thorpe wyszedł z namiotu. Mac Cready wskazał ręką pobliski gąszcz.

— Ręczę, że ktoś węszy wokół obozu! — rzekł. — Przysiągłbym, że widziałem człowieka, gdy przed chwilą zbierałem chrust! Dzisiejsza noc nadaje się świetnie do kradzieży psów. Proszę wziąć latarnię. Jeśli mnie wzrok nie mylił, znajdziemy świeże ślady!

Wręczył inżynierowi latarnię, a sam ujął ciężką pałkę. W gardle Kazana wezbrało głuche warknięcie, lecz zdławi je w zarodku. Chciał przestrzec swego pana, chciał skoczyć na długość łańcucha, lecz wiedział, że jeśli to uczyni, wrócą i zabiją go. Leżał więc dygocąc i piszcząc cicho. Bacznie śledził wzrokiem obu mężczyzn, a gdy mu znikli z oczu, towarzyszył im słuchem i myślą. Wreszcie znów posłyszał bliski chrzęst śniegu. Nie zdziwił się bynajmniej widząc, że Mac Cready wraca sam. Spodziewał się tego nawet. Wiedział, co znaczy kij w ręku tego draba!

Mac Cready wyglądał okropnie. Robił teraz wrażenie potwora. W gąszczu zgubił czapkę i nadchodził z gołą głową. Śmiał się zwierzęcym, chrapliwym rechotem, a Kazan warował w śniegu nieruchomy, gdyż człowiek nadal miał w dłoni kij. Rzucił go zresztą zaraz i postąpił w kierunku namiotu. Uchylił skrzydło i zajrzał do wnętrza. Iza spała. Mac Cready wszedł cicho niby ryś i powiesił latarnię na gwoździu wbitym w słup. Jego kroki i ruchy nie zbudziły kobiety, toteż zbój stał przez długą chwilę i patrzył, patrzył...

Na zewnątrz Kazan skulony w gęstym mroku próbował powiązać w jedno szereg dziwacznych wydarzeń, których był świadkiem. Dlaczego jego pan i Mac Cready poszli do lasu? Dlaczego pan nie wrócił? Ten namiot należy do pana, więc dlaczego Mac Cready tam wszedł? Kazan najeżył sierść

na grzbiecie i czujnie obserwował namiot. W pewnej chwili dostrzegł na płótnie wysoki cień i porwał się na nogi. Cień zgiął się nagle i jednocześnie buchnął przenikliwy wrzask. W jego rozpaczliwym brzmieniu Kazan rozpoznał głos Izy i wnet dał szalonego susa. Wstrzymała go obroża dławiąc w gardle dziki ryk. Widział teraz, jak cienie kłębią się walcząc. Okropny krzyk brzmiał raz po raz. Iza wołała imię męża i wołała jego imię: — Kazan! Kazan!

Skoczył ponownie i runął na grzbiet. Skoczył raz, drugi i trzeci, a rzemień obroży rżnął mu szyję jak żelazo. Znieruchomiał na chwilę, kurczowo łapiąc, powietrze. Cienie wciąż walczyły stojąc, to znów leżąc. Kazan ryknął i całym ciężarem raz jeszcze cisnął się w przestrzeń. Ogniwo łańcucha przeżarte rdzą, pękło z trzaskiem.

Kilka skoków i Kazan wpadł do namiotu. Z głuchym warknięciem porwał Mac Cready ego za gardło. Pierwszy chwyt jego potężnych szczęk zadał śmierć, lecz on o tym nie wiedział. Wiedział tylko, że walczy o swoją panią. Mac Cready krzyknął strasznie i zacharczał, jakby się zachłysnął łkaniem. Padł na wznak, a Kazan wpił głębiej kły w szyję wroga; w pysku czuł ciepłą krew.

Kobieta wołała nań teraz. Szarpała go za kudłaty kark, lecz on przez dłuższy czas nie chciał puścić zdobyczy. Gdy wreszcie rozluźnił szczęki, Iza spojrzała w dół na Mac Cready ego i zakryła oczy rękami. Potem padła na posłanie. Leżała zupełnie cicho. Twarz i ręce miała okropnie zimne, a Kazan lizał je czule. Przytulił się do niej blisko i tylko od czasu do czasu zwracał groźny pysk w stronę martwego zbója. Nie mógł pojąć, dlaczego pani się nie rusza.

Minęło sporo czasu, nim wreszcie Iza drgnęła. Otworzyła oczy. Dłonią musnęła kark psa.

Na zewnątrz zachrzęścił śnieg.

To nadchodził pan Kazana i pies przejęty na nowo obawą razów, wyjrzał ukradkiem. Tak, to był Thorpe, wyraźnie

widoczny w świetle ognia, a w ręku trzymał kij. Kroczył wolno, omal że padał za każdym ruchem, twarz miał całą we krwi. Lecz nie wypuszczał z rąk kija. Jakże okropnie będzie go teraz bił za to, że skrzywdził Mac Cready ego.

Kazan wśliznął się pod skrzydło namiotu i pomknął w mroczny gąszcz. Tam, dobrze ukryty, spojrzał wstecz i zaskomlił przejęty miłością i żalem. Lecz po tym, co uczynił, będą go przecie katować stale. Nawet ona zechce się nad nim znęcać!

Odwrócił się od ognia i zwrócił kudłaty łeb w kierunku leśnych ostępów. Tam nie mógł go dosięgnąć bicz ani kij. Tam nikt go nie znajdzie. Zawahał się przez mgnienie oka. Po czym równie przebiegle jak te dzikie istoty, których był pobratymcem, dał nurka w ciemną dal.

ROZDZIAŁ IV

WOLNY

Wiatr zawodził płaczliwie pośród wierzchołków drzew, gdy Kazan lgnąc ku ziemi pomknął w tajemniczą i mroczną gęstwinę boru. Przez długie godziny czaił się w pobliżu obozowiska, nie spuszczając zaognionych ślepi z namiotu, w którym zaszła ta okropna rzecz.

Wiedział dobrze, co znaczy śmierć. Wyczuwał ją z o wiele większej odległości niż człowiek. Węszył ją w powietrzu. Jej zimne tchnienie biło z namiotu, a on był tego przyczyną. Warował na brzuchu w zimnym śniegu i dygotał wstrząsany ostrym dreszczem. Trzy czwarte psa, będące w nim, skomliły płaczliwie, podczas gdy wilcza krew dawała znać o sobie ponurym błyskiem oczu i mściwym lśnieniem białych kłów.

Thorpe trzykrotnie wychodził z namiotu i wołał głośno:

— Kazan! Kazan! Kazan!

Za każdym razem kobieta wychodziła również, W świetle ognia pies widział jej złote włosy spływające po ramionach i plecach w takim samym nieładzie, jak wtedy, gdy pod namiotem skoczył do gardła Mac Cready ego. Oczy miała nadal pełne grozy, a twarz białą jak płótno. Za trzecim razem ona także wołała: „Kazan! Kazan! Kazan!" i wszystko, co w nim było psiego, dygotało radośnie na dźwięk wielbionego głosu. Omal nie podpełznął bliżej, gotów nawet przyjąć karę. Jednak obawa przed biciem okazała się silniejsza, więc pozostał w ukryciu, leżąc bez ruchu godzina za godziną, aż obóz zamilkł, cienie kobiety i mężczyzny znikły i ogień opadł w dół, wcielony w węgle i popiół.

Wtedy Kazan ostrożnie wypełzł z gęstego mroku sunąc na brzuchu w stronę sań. Tuż za nimi, ukryty wśród chaszczy, leżał trup człowieka, którego zagryzł. Thorpe go tam umieścił i przykrył ciało derą.

Kazan przywarował do ziemi nosem między przednie łapy i podniósł oczy na namiot. Miał zamiar nie spać, tylko czuwać, by zemknąć w las za pierwszym objawem życia ze strony ludzi. Lecz z wypalonego ogniska biła fala ciepła i powieki psa ciężko opadły. Raz i drugi ocknął się w porę, szeroko otwierając oczy; za trzecim razem uniósł powieki tylko na wpół i znów je zamknął.

Śpiąc skomlił cicho, a wspaniałe mięśnie jego barków i nóg drgały wyraźnie, podczas gdy wzdłuż burego grzbietu przepływało nerwowe drżenie. Gdyby go Thorpe w tej chwili ujrzał, odgadłby Bez wątpienia, że pies śni. A Iza, której złota głowa spoczywała bezwładnie na ramieniu męża, umiałaby nawet odgadnąć, co za obrazy przepływają przez mózg Kazana.

We śnie Kazan ponownie dawał susa przerywając ogniwo łańcucha. Nerwowo szczęknął kłami niby stalową zaworą i ten dźwięk go zbudził. Skoczył na równe nogi, a włos na jego grzbiecie stał sztywno jak szczotka i zęby lśniły w mroku niby białe noże. Ocknął się w samą porę. W namiocie panował ruch. Pan już wstał.

Pies pomknął cwałem w gęstwinę drzew i legł na śniegu spłaszczony, czujny, wystawiając jedynie łeb spoza sosnowego pnia. Wiedział, że pan mu nie daruje. Otrzymał już przecie straszne cięgi, gdy skoczył na przewodnika, i jedynie wstawiennictwo kobiety oszczędziło mu dalszych katuszy. A teraz rozszarpał gardziel Mac Cready ego. Zadał mu śmierć, więc nie może się spodziewać miłosierdzia! Nawet Iza nie ocali go tym razem!

Kazan żałował, że jego pan powrócił po rozprawie z przewodnikiem. Gdyby został w lesie, on i Iza stanowiliby

nierozłączną parę przyjaciół. Ona by go lubiła! Ona lubiła go zawsze! Toteż nie odstąpiłby jej na krok, a w potrzebie dałby za nią życie. Lecz obecność mężczyzny zmieniała porządek rzeczy; mężczyzna znaczył tyle co kij i bicz!

Thorpe wyszedł właśnie z namiotu niosąc w dłoni fuzję. Brzask szarzał już na wschodniej połaci nieba. W chwilę później kobieta ukazała się również, odziana w płaszcz złotych włosów, i ujęła męża pod ramię. Potem Iza przemówiła parę słów, a Thorpe odrzucił głowę wstecz i począł wołać:

— Kazan! Kazan! Ka-a-zan!

Kazana przebiegł dreszcz. Człowiek próbował go zwabić z powrotem, a w ręku miał rzecz, która zabija!

— Kazan! Ka-a-azan! — wołał Thorpe coraz donośniej. Kazan cofnął się wstecz wężowym ruchem. Wiedział, że broń

w dłoni człowieka zabija nie tylko z bliska, lecz równie dobrze na odległość. Raz jeszcze zwrócił łeb w stronę kobiety i pisnął mając w oczach tęsknotę i żal.

Porzucał ją na zawsze. Czuł w sercu ból, który jakkolwiek nie pochodził od ciosu bicza ni kija, nie był zrodzony przez głód czy mróz — dokuczał bardziej niż jakakolwiek fizyczna męka. Kazanowi chciało się odrzucić łeb wstecz i wyć na bory i śniegi nad swą tęsknotą i samotnością.

A w obozie zabrzmiał drżący głos kobiety:

— Uciekł?!

Głos mężczyzny również drżał lekko:

— Tak, uciekł! On widział, gdy ja byłem ślepy! Dałbym rok życia, byle cofnąć to wczorajsze bicie! On już nie wróci!

— Wróci! — krzyknęła Iza niemal z płaczem. — Nie porzuci mnie! On mnie kochał pomimo całej swej dzikości! I wiedział, że ja go także kocham! On wróci!

— Słuchaj! — szepnął Thorpe.

Z głębi boru nadleciało długie, żałosne wycie. Było to pożegnanie Kazana.

Kazan umilkł i siedział przez długi czas bez ruchu. Chłonął powiew swobody płynący w powietrzu i bacznie obserwował ciemne ostępy leśne rozjaśniane teraz pochodem świtu. Od dnia, gdy zakupili go handlarze i wprzągłszy do sań pędzali uciążliwymi szlakami nad rzekę Mackenzie, niejednokrotnie myślał c swobodnym bytowaniu wśród puszcz i pustyń śnieżnych, gdy

wilcza krew tęskniła do wolności. Nigdy jednak nie ośmielił się uciec. Obecnie więc był podniecony do szpiku kości. Nie widział w pobliżu batoga ani kija; nie czuł obecności człowieka, któremu nauczył się nie dowierzać od szczenięctwa, a którego z czasem znienawidził. Ćwiartka wilczej krwi stworzyła jego

niedolę; bicz i pałka, zamiast wyrabiać w nim uległość, potęgowała wrodzoną dzikość. Człowiek był mu zawsze najgorszym wrogiem. Niejednokrotnie konał prawie pod ulewą razów. Uważano, że jest „zły", i nie szczędzono go nigdy, przy lada okazji i bez okazji nawet tnąc batem lub łomocąc kijem. Pod gęstym futrem nosił od młodu sieć szram i blizn.

Nikt nie darzył go sympatią ani przyjaźnią. Pierwszą w życiu istotą, która pieszczotliwie pogładziła mu łeb i przemówiła doń łagodnie, była Iza. Lecz mężczyzna, pan bólu i śmierci, stanął między nią a nim, toteż Kazan warknął głucho, obnażył kły i pokłusował leniwie w głąb puszczy.

Z nastaniem dnia przybył na brzeg moczarów. Czuł pewien niepokój, którego światło nie było w stanie całkowicie rozproszyć. Nareszcie był wolny. W powietrzu nie mógł ułowić żadnej woni, która by mu przypomniała znienawidzoną przemoc. Lecz równocześnie nie umiał w nim wykryć zapachu sań, psów, ognia i jadła, które jak daleko

sięgała pamięć, stanowiły zawsze nieodłączną część jego bytowania.

Wkoło panowała wielka cisza. Mokradła leżały w kotlinie między dwoma górskimi grzbietami, a po bokach rosły drzewa szpilkowe tak zwartą gęstwiną, że ziemia była prawie wolna od zasp, a dzień szarzał niby zaczątek brzasku. Kazan odczuwał coraz silniej brak dwóch czynników: towarzyszy zaprzęgu i jadła. Tego ostatniego brakło zarówno wilczej cząstce jego świadomości, jak i psiej; do sfory tęsknił już wyłącznie pies. Lecz i wilk pragnął obecności gromady. Instynkt mówił mu, że gdzieś w milczących moczarach drga życie, by zaś je wywołać, należy tylko siadłszy w śniegu wyć nad swą niedolą. Parokrotnie coś mu drgnęło w głębi potężnej piersi, podeszło do gardła i zakończyło się żałosnym piskiem. Był to wilczy zew, nie wyzwolony jeszcze z psich więzów.

Jadło przyszło mu łatwiej niż głos. Około południa zdobył pod wykrotem wielkiego królika i zadusił go. Świeże mięso i krew były stanowczo lepsze niż zamarznięta ryba lub" ospa skąpo okraszona jełkim sadłem — toteż udana uczta napełniła go wielką ufnością. Tego samego popołudnia kilkakrotnie tropił króliki i zabił z nich jeszcze dwa. Dotychczas nie znał rozkoszy nieskrępowanych łowów i mordu, toteż zabijał więcej, niż mógł spożyć.

Przyjemność psuła mu jedynie zbyt wielka bezbronność tej zwierzyny. Nie stawiała żadnego oporu i umierała zbyt łatwo. Była co prawda delikatna i smaczna, lecz zaspokoiwszy głód, zapragnął godniej szych siebie przeciwników.

Kazan nie przemykał się teraz trwożnie pośród chaszczy ani nie szukał osłony w zwartym igliwiu. Wysoko niósł bury łeb, sierść na karku stała mu sztywno, ogon puszył się dziarsko niby wilcza kita. Pies był gotów do czynu i naładowany energią jak elektryczna bateria. Dążył na północo-zachód. Mamił go zew młodzieńczych dni

spędzonych nad rzeką Mackenzie. Rzeka ta była oddalona o tysiące mil.

Tego dnia napotkał w śniegu znaczną ilość tropów karibu i łosi oraz obrośniętych futrem rysich łap., Podążył raz śladem lisa, a szlak wywiódł go na polanę otoczoną gęstwiną jodeł, gdzie śnieg był ubity i zbryzgany krwią. Walał się tu łeb sowy, polatywało parę piór, leżały skrzydła i strzępy wnętrzności. Kazan obwąchał, wszystko i zrozumiał, że nie tylko on jeden poluje w tych stronach.

Pod wieczór znalazł ślady wielce podobne do tych, jakie sam pozostawiał. Były zupełnie świeże i biła z nich ciepła woń, aż doznał znów ochoty, aby siąść w śniegu, podnieść łeb ku górze i posłać w przestrzeń tęskny wilczy zew. W miarę jak gęstniały cienie nocy pośród kolumnady pni, ta chęć stawała się w nim coraz natarczywsza. Przewałęsał się cały dzień, jednak wcale nie czuł znużenia. Noc z dala od ludzi kryła dlań w sobie nowy i niezwykły urok. Wilcza krew szalała w jego żyłach. Niebo migotało tysiącem gwiazd. Księżyc wstawał. Wreszcie Kazan siadł w śniegu, uniósł łeb ku wierzchołkom drzew i wilk przemówił w nim wyjąc przeciągle, ponuro, głosem, który w cichą noc płynął o parę mil.

Skończył wyć i przez długi czas trwał nasłuchując. Odnalazł w sobie zdolność wydobywania nowych odcieni dźwięków i to podwoiło jego pewność siebie. Spodziewał się, że otrzyma odpowiedź, jednak doznał rozczarowania. Bór milczał. Poprzednio Kazan szedł pod wiatr, więc dopiero na jego zew ogromny łoś porwał się w gęstwie przed nim, łomocąc rogami po koronach w szalonej ucieczce.

Kazan zawył jeszcze dwukrotnie, nim ruszył z miejsca, i za każdym razem własny głos stawał się dlań źródłem niewysłowienie błogich wrażeń. Wreszcie dotarł do stóp urwistegc stoku i porzucając mokradła zaczął się piąć na szczyt wzgórza. Tam księżyc i gwiazdy zdawały się płonąć bliżej. Z wierzchołka garbu spojrzał na leżącą po drugiej

stronie równinę, pośród której migotała tafla zakrzepłego jeziora. Z tej srebrnej tarczy rzeka umykała krętą linią, ginąc wśród gajów niższych i mniej zwartych niż bór porastający moczary.

Raptem mięśnie zesztywniały w nim na stal, a krew zawrzała ostro. Z daleka, z równiny popłynął głos. Był to jego głos, pieśń wilcza. Szczęki Kazana trzasnęły jak kastaniety Białe kły błysły w mroku. W głębi piersi odezwało się, warknięcie. Chciał dać odpowiedź, jednak wrodzony instynkt kazał mu milczeć. Ten instynkt, dar dzikości, brał go w swe przemożne władanie. W powietrzu, w szepcie wierzchołków drzew, w lśnieniu gwiazd i księżyca była mowa, która podświadomie kładła mu w mózg, że to, co słyszy, jest głosem wilczym, lecz nie wilczym zewem.

Zew nadszedł w godzinę później, czysty i wyraźny. Na początku było to samo: jękliwe wycie, zakończone jednak falą krótkich, urywanych dźwięków, które doprowadziły krew Kazana niemal do stanu wrzenia. Teraz instynkt dał mu poznać, iż jest to właściwe wezwanie, hasło łowców. Wieszczono wspólną wyprawę po zdobycz. W chwilę później zew rozebrzmiał na nowo, lecz tym razem od stóp zbocza nadbiegła jedna odpowiedź, a potem gdzieś z tak daleka, że Kazan ledwo ten dźwięk odróżnił — druga. Gromada łączyła się na łowy; jednak Kazan tkwił w miejscu wstrząsany tylko częstym, krótkim dreszczem.

Nie czuł lęku, ale nie miał ochoty usłuchać wezwania. Górski garb był mu granią dzielącą dwa światy. Po jednej stronie leżał kraj zupełnie nowy, dziwaczny i pozbawiony ludzi. Po drugiej istniały jeszcze niewidzialne więzy. Raptem, zwracając głowę wstecz Kazan objął wzrokiem pustą przestrzeń pogrążoną w księżycowym blasku i zaskomlił żałośnie. Teraz przemówił w nim pies. Tam została jego pani! Słyszał niemal jej głos; czuł miękki dotyk ręki. Widział uśmiech oczu, ten uśmiech, który mu dał radość i ciepło. Przyzywała go spoza szańca borów, więc szarpały nim dwa

sprzeczne uczucia: chęć, aby pomknąć wstecz do niej, oraz pragnienie, aby zbiec w dół na spotkanie burych pobratymców. Gdyż jednocześnie ze słodką twarzyczką Izy widział groźne oblicza męskie i ręce dzierżące kije lub bicze. Wraz z jej głosem słyszał świst rzemieni i czuł na barkach bolesne razy.

Długi czas trwał na szczycie wzgórza stanowiącego miedzę graniczną. Wreszcie jednak po raz ostatni spojrzał na mokradła, zawrócił i począł zstępować ku równinie.

Tej nocy przemykał się wciąż opodal łowieckiej gromady, lecz nie zbliżał się do niej zbytnio. Stanowiło to dlań szczęśliwą okoliczność. Nosił w sobie jeszcze zbyt silną woń sfory i ludzi. Wilki rozdarłyby go na strzępy. Naczelnym instynktem głuszy jest instynkt samozachowawczy. Być może, wpływ wielu pokoleń dzikich przodków kazał psu raz po raz tarzać się w śniegu, tam właśnie, gdzie najgęściej widniały ślady burych pobratymców.

Tymczasem stado ubiło karibu nad brzegiem jeziora i ucztowało potem niemal do brzasku. Kazan wałęsał się w pobliżu, mając wiatr w oczy. Woń mięsa i dymiącej krwi łechtała mu nozdrza, a czujne uszy łowiły chwilami trzask kości. Lecz instynkt okazał się silniejszy niż pokusa.

Dopiero o pełnym dniu, gdy stado rozproszyło się szeroko i daleko po całej równinie, Kazan odważnie ruszył na plac mordu. Znalazł tam jedynie udeptaną arenę rudą od krwi, zasłaną odpryskami gnatów, resztkami wnętrzności i strzępami twardej skóry. To mu jednak wystarczało, więc wytarzał się dokładnie wśród pozostałych szczątków, nawet trąc o nie pysk, i cały dzień pozostał w pobliżu opuszczonej rzeźni, sycąc futro specyficzną wonią.

Tej nocy, gdy księżyc i gwiazdy ukazały się ponownie, Kazan wyzbył się wahania i trwogi, usiadł w śniegu i uniósłszy łeb dał znać o sobie.

Stado polowało i teraz. Zresztą była to bodaj nowa zgraja przybyła z południa i goniąca tropem łani karibu w stronę zakrzepłej tafli jeziora. Noc zdarzyła się niemal równie jasna jak dzień i ze skraju gęstwiny Kazan dojrzał najpierw łanię mknącą w odległości ćwierć mili. Gromada, licząca około tuzina zwierząt, rozwinęła się właśnie w fatalny kształt podkowy, przy czym dwie czołowe bestie gnały niemal w równej linii ze zwierzyną.

Kazan szczeknął ostro i wypadł cwałem na zalaną księżycem przestrzeń. Znajdował się akurat na drodze łani i mknął ku niej błyskawicznie szybko. Łania dojrzała go w odległości dwustu jadrów i skręciła w prawo, wpadając wprost w otwarte szczęki prowodyra. Kazan i drugi przewodnik nadbiegli jednocześnie. Ostre kły rozdarły gardło ofiary. W tej chwili reszta zgrai zalała ich niby fala i łania runęła w śnieg przygniatając sobą psa. Kazan wpił głęboko zęby w mięso i sierść. Czuł na sobie znaczny ciężar, lecz nie rozluźniał chwytu. Była to jego pierwsza poważna zdobycz. Krew płonęła w nim jak lawa. Warczał przez zaciśnięte szczęki.

Dopiero gdy łania przestała drgać, pies wyswobodził się spod jej piersi i przednich nóg. W południe upolował królika, toteż nie czuł głodu. Siadł więc w śniegu opodal i czekał, podczas gdy dzika zgraja rwała i darła świeże mięso. Po chwili zbliżył się nieco, wsunął łeb między dwa jedzące wilki i jako intruz, oberwał wnet cięcie kłami.

Gdy Kazan cofał się zwolna, nie mogąc się jeszcze zdecydować na rozpoczęcie walki z dzikimi braćmi, wielki, bury kształt wypadł spomiędzy gromady i skoczył wprost do gardła psa. Ten zdążył jeszcze odparować cios bokiem i przez chwilę oba zwierzęta przewalały się po śniegu w śmiertelnych zapasach. Porwały się zresztą na nogi, nim odgłosy zwady odciągnęły resztę wilków od uczty. Zwolna zataczały kręgi, jeden wokół drugiego, obnażywszy białe kły

i jeżąc włos na burych karkach. Ponury rząd widzów opasał je ciasnym koliskiem.

Dla Kazana nie było w tym nic nowego. Wiele razy przyglądał się takim pojedynkom siedząc w milczącym kręgu towarzyszy. Niejednokrotnie sam walczył o życie wewnątrz areny. Tak przecie załatwiały porachunki pociągowe psy. Jeśli człowiek nie wkroczył w porę, dzierżąc bicz lub kij, rezultatem bywała zawsze śmierć. Tylko jeden z walczących mógł zachować życie. Czasem konali obaj. Tu nie było widać człowieka, jedynie ponury rząd demonów z białymi kłami gotowych porwać w strzępy tego z zapaśników, który runie pierwszy. Kazan był obcy. Nie obawiał się jednak zdradzieckiej napaści widzów. Jedyne, wielkie prawo wilczej zgrai nakazywało w tym wypadku uczciwą grę.

Toteż pies miał oczy tylko dla wielkiego przewodnika, który mu rzucił wyzwanie. Ramię przy ramieniu toczyli nadal kołem. Tu, gdzie przed chwilą szczękały paszcze i kły chrzęściły o kość, panowała teraz wielka cisza. Kondysy z południa o miękkich łapach i trwożliwych sercach warczałyby i skomliły w podnieceniu, lecz Kazan i jego przeciwnik milczeli uparcie, nastawiwszy uszu ku przodowi zamiast tulić je wstecz i puściwszy bujne ogony na wolę wiatru.

Raptem wilk zadał cios z szybkością błyskawicy; jego szczęki zwarły się jak stalowy potrzask. Chybiły o cal. W tym mgnieniu Kazan kłami jak nożyce rozciął mu bok.

I znów wirowali uparcie, lśniąc krwawymi ślepiami, marszcząc wargi tak silnie, że niemal wcale nie było ich znać. A potem Kazan skoczył usiłując wykonać śmiertelny chwyt za krtań — i chybił. Było to znów tylko o cal. Lecz wilk, jak to poprzednio uczynił pies, wyzyskując moment, rozdarł mu bok tak głęboko, że krew popłynęła wzdłuż łapy i zabarwiła śnieg. Palący ból tej rany przekonał Kazana, że jego wróg jest mistrzem walki w pojedynkę. Więc pies

przywarował chytrze brzuchem, gardłem niemal dotykając śniegu. Był to wojenny manewr, ulubiony od szczenięctwa.

Wilk dwukrotnie opisał koło, a Kazan wirował w miejscu, śledząc wroga spod opuszczonych powiek. Wilk skoczył po raz wtóry, a Kazan wyrzucił pysk ku górze, pewien, że uda mu się wykonać ów śmiertelny chwyt u nasady przednich łap. Szczęki jego złowiły jedynie powietrze. Dziki zwierz z lekkością kota przesadził ciało przeciwnika.

Kazan, rozwścieczony niepowodzeniem, warknął i jednym susem wpadł na wilka. Pierś uderzyła o pierś. Szczęknęły kły i pies, prąc wroga całym ciężarem, oswobodził pysk i sięgnął znów do gardła. Chybił ponownie o włos, a nim zdołał ochłonąć, wilcze kły pogrążyły się już w jego karku.

Kazan po raz pierwszy w życiu uczuł ból i grozę bliskiej śmierci. Z olbrzymim wysiłkiem uniósł łeb i szczęknął zębami na oślep. Jego mocarna paszcza chwyciła przednią łapę wilka, tuż pod piersią. Rozległ się chrobot kości i skrzyp ciętych mięśni, a przez ponury krąg widzów przeszła fala nerwowego napięcia. Jeden lub drugi z walczących musiał teraz paść lada moment, więc gromada dzikich bestii oczekiwała tego upadku, mającego być sygnałem kanibalskiej uczty.

Jedynie tężyzna mięśni Kazana oraz grubość futra i skóry na karku ocaliły go przed okropnym losem zwyciężonego. Zęby wilka sięgnęły głęboko, nie dość głęboko jednak, by porazić ośrodek nerwowy, i raptem pies, skoncentrowawszy w łapach całą posiadaną energię, szarpnął się w bok spod przeciwnika. Chwyt na jego karku osłabł, więc Kazan targnął ponownie i był już wolny.

Skręcił wnet w miejscu szybko jak płomień i całym ciężarem, runął na kulawą bestię. Własnym ciałem gruchnął wilka w bok. Stwierdził już niejednokrotnie, że tego rodzaju atak bywa nieraz groźniejszy niż cięcie kłami. Tym razem

cios okazał się śmiertelny. Ogromny szary zwierz stracił równowagę, padł i potoczył się na grzbiet, a stado skoczyło nań w jednej chwili, rade, że może dobić tego, który przestał być wodzem.

Kazam cofnął się sponad ciała zlanego posoką i dygocącego w agonii. Sam dyszał ciężko i broczył krwią. Czuł okropną słabość. We łbie miał dziwną niemoc. Chciało mu się bardzo lec w i rniegu i odpocząć. Lecz stary a nieomylny instynkt kazał starannie ukrywać wyczerpanie i znużenie.

Od stada odbiegła raptem śmigła, szara wilczyca, przywarowała w śniegu przed Kazanem, potem zerwała się znów na nogi i obwąchała jego rany.

Była młoda, silna i piękna. Lecz Kazan na nią nie zważał. Obserwował arenę walki i drobne szczątki pozostałe z cielska przodownika. Stado wróciło już do przerwanej uczty. Słyszał znów chrzęst kości oraz skrzyp dartego mięsa i coś mówiło mu, że odtąd cała puszcza będzie słuchać jego głosu. Gdy siadłszy podniesie łeb ku górze i zawyje w stronę księżyca i gwiazd, szybkonodzy łowcy wielkich prerii rozpoznają go z daleka i odpowiedzą mu ochoczo. Zatoczył dwa koła w krąg ścierwa karibu i stada, po czym lekkim truchtem oddalił się w stronę krawędzi czarnego boru.

Dotarłszy między drzewa przystanął i spojrzał wstecz Szara Wilczyca biegła w ślad. Dzieliło ich zaledwie parę jardów. Teraz zresztą, choć trochę nieśmiało, zrównała się z nim całkowicie. Wspólnie spojrzeli na ciemną, ruchomą plamę nad jeziorem. I gdy tak stała tuż, Kazan wyczuł w powietrzu woń, nie będącą odorem krwi ani zapachem chojarów czy jodeł. Było to coś, co zdawało się płynąć spod gwiazd i księżyca, promieniować z cichej nocnej dali. I obecność tej nieznanej błogości kojarzyła się wyraźnie z obecnością Szarej Wilczycy.

Spojrzał na nią. Młoda samka patrzyła nań również czujnie i badawczo. Robiła wrażenie dopiero co wyszłej ze szczemęctwa. Ciało miała prężne, gibkie, pięknie zbudowane. W świetle księżyca sierść na jej grzbiecie i piersi lśniła jedwabiście. Zaskomliła, widząc w ślepiach psa czerwone ognie, lecz nie był to szczenięcy skowyt. Kazan postąpił bliżej, złożył głowę na jej karku i spojrzał na stado. Uczuł, jak dygoce ciało wilczycy pod ciężarem jego łba. Spojrzał znów na księżyc i gwiazdy, a tajemnicza moc nocnej pory rozpaliła mu krew.

Kazan spędził niemal całe życie na szlaku, z rzadka jedynie popasając w faktoriach . Jak dotąd, chęć kojarzenia się w pary była mu niemal absolutnie nie znana. Lecz teraz czuł ją nieodparcie. Szara Wilczyca uniosła piękny łeb. Miękkim pyskiem musnęła ranę na karku psa i pieszczota dotknięcia oraz towarzyszący mu słodki pomruk napełniły Kazana ogromną błogością.

Odwrócił się i wysoko trzymając głowę, zjeżony na barkach spojrzał w czerń boru. Gdy zagłębił się między drzewa, Szara Wilczyca kroczyła tuż obok.

ROZDZIAŁ V

BITWA WŚRÓD ŚNIEGÓW

Tej nocy znaleźli kryjówkę w gęstwinie drzew szpilkowych, a gdy legli tam na miękkim posłaniu z igliwia, którego śnieg nie zdołał przywalić, Szara Wilczyca przywarła ciepłym ciałem do boku Kazana i lizała jego rany. Wraz z brzaskiem począł prószyć śnieg tak oślepiająco biały i gęsty, że nawet na otwartym miejscu o dwanaście skoków nie podobna było nic dojrzeć. Panowały ciepło i cisza, aż cały świat zdawał się rozbrzmiewać jedynie trzepotem i szmerem opadających płatków. W ciągu dnia Kazan i jego samka wędrowali bok w bok. Lecz pies niejednokrotnie zwracał łeb w stronę wzgórza, które przebył wczoraj, i Szara Wilczyca nie mogła pojąć, skąd się bierze ów skowyt w gardle jej towarzysza.

Pod wieczór wrócili nad jezioro i ku szczątkom łani. U skraju gęstwiny Szara Wilczyca zdradziła chęć ucieczki. Jak dotąd nie znała jeszcze z własnego doświadczenia grozy zatrutych przynęt „martwych sideł" i potrzasków, lecz krążący w żyłach instynkt niezliczonych pokoleń uprzedzał ją, że niebezpiecznie jest odwiedzać ostygłą padlinę.

Kazan widywał kunsztowne rzeczy pozostawione wśród resztek porzuconych przez wilki. Czasem kadłub krył w sobie stalową pastkę, czasem wnętrzności zawierały kulki łoju nadziane strychniną. Raz nawet stąpił jedną z przednich łap w otwarte sidła i zaznał okropnego bólu oraz śmiertelnego strachu. Mimo to nie podzielał obaw Szarej Wilczycy. Naglił, by podeszła wraz z nim do szczątków karibu, więc wreszcie podreptała bliżej i przykucnęła wiercąc się niespokojnie, podczas gdy on wyciągał spod zasp kości i płaty mięsa, którym śnieg nie dał zamarznąć. Lecz nie

chciała nic jeść, toteż Kazan po pewnym czasie porzucił swe zajęcie i siadłszy obok niej spoglądał na wydobyte przez siebie resztki. Wciągnął nozdrzami powietrze. Nie umiał w nim wyczuć śladu niebezpieczeństwa, jednak Szara Wilczyca skomleniem i ruchami dała mu poznać, że to niebezpieczeństwo może istnieć.

W ciągu następnych dni i nocy starannie uzupełniała braki jego wykształcenia. Trzeciej nocy Kazan sam zwołał gromadę i powiódł ją na łowy. Nim księżyca ubyło do ostatniej kwadry, Kazan jeszcze trzykrotnie zbierał stado, kierował myśliwską wyprawą i nigdy nie tropił zwierza po próżnicy. Jednak w mia-rę jak śnieg pod jego stopami miękł, pies znajdował coraz większą radość w obcowaniu z Szarą Wilczycą, toteż polowali teraz jedynie samowtór, żywiąc się delikatnym mięsem wielkich białych króli. Kazan kochał obecnie tylko dwie żywe istoty : kobietę, która ongiś była jego panią, i śmigłą szarą towarzyszkę.

Nie porzucał znajomej równiny. Nieraz wiódł Szarą Wilczycę na szczyt łańcucha wzgórz i usiłował jej wyjaśnić, co zostawił poza sobą. Wraz z nadejściem bezksiężycowych nocy rosła tęsknota do Izy, aż miał nieraz ochotę wracać.

Jednak teraz zaszedł nowy fakt. Przebiegali raz otwartą przestrzeń, gdy u wierzchołka urwistego zbocza Kazan dostrzegł coś, co powstrzymało niemal bicie jego serca. Jakiś człowiek z saniami i psim zaprzęgiem zstępował ku równinie. Wiatr nie uprzedził zwierząt w porę i nagle pies zobaczył w rękach wędrowca błyszczący kij. Wiedział, co to znaczy. Była to rzecz plująca ogniem i gromem, która mogła zabić na odległość.

Rzucił przestrogę w kierunku Szarej Wilczycy i ruszyli z miejsca cwałem. Wtem zabrzmiał grom i Kazan warknął w biegu, pełen nienawiści dla ludzkiego plemienia. Ponad ich łbami zaświegotała kula. Grzmot huknął ponownie i tym razem Szara Wilczyca, piszcząc z bólu, poczęła się wić na śniegu. Zresztą porwała się wnet na łapy, a Kazan,

zabiegłszy ją z tyłu, osłaniał póty, aż znaleźli się pod ochroną leśnej gęstwiny. Tu samka padła na ziemię skomląc i liżąc ranę na łopatce. Kazan spoglądał w kierunku urwiska. Człowiek dążył ich śladem. Przystanął w miejscu, gdzie Szara Wilczyca upadła. Potem ruszył dalej.

Kazan zmusił samkę, aby wstała, i podreptali w stronę gęsto zarosłych mokradeł rozsianych nad brzegiem jeziora. Przez cały dzień pilnowali oblicza wiatru, a gdy wilczyca odpoczywała, pies mknął wstecz własnym tropem, nasłuchując i węsząc.

Długi czas potem Szara Wilczyca kulała biegnąc, a gdy raz napotkali opuszczony obóz, pełen świeżej woni człowieka, Kazan obnażył kły i ryczał dziko, gdyż nienawidził ludzi. Rosła w nim chęć zemsty za własną mękę i ból zadany towarzyszce. Próbował wytropić ślad podróżnych spod powłoki świeżego śniegu, a Szara Wilczyca nerwowo obiegała go w kółko, wabiąc z powrotem w leśne głębiny. Wreszcie podążył za nią ponuro. Ślepia miał nalane krwią.

W trzy dni później na niebie błysnął księżyc w nowiu. A piątej nocy Kazan zdybał trop. Był zupełnie świeży, tak świeży, że pies trafiwszy nań przystanął raptem jak ugodzony kulą i trwał dygocąc ze zjeżonym włosem. Był to trop człowieka. W śniegu widniały koleiny płóz, ślady psich łap i wgłębienia rakiet.

Kazan podniósł wysoko bury łeb i z jego gardła popłynął na równinę łowiecki zew, dziki i okrutny zew wilczego stada. Nigdy jeszcze pies nie włożył weń takiego szaleństwa dźwięków. Powtarzał go bez przerwy, aż nadbiegła odpowiedź jedna, potem druga i nawet Szara Wilczyca siadłszy w śniegu dołączyła swój glos do głosu psa. A daleko w śnieżnej przestrzeni biały człowiek c twarzy zoranej cierpieniem i trwogą wstrzymał wyczerpany zaprząg i nasłuchiwał, podczas gdy z sani ozwał się słaby szept:

— Wilki, ojcze! Czy gonią nas?

Mężczyzna milczał. Nie był już młody. Księżyc lśnił na jego białej brodzie i groteskowo przedłużał szczupłą, wyniosłą postać. Na saniach kobieta uniosła głowę z poduszki zrobionej z niedźwiedziego futra. Ciemne oczy gorzały światłem gwiazd. Była bardzo blada. Na ramionach falowała jej gęstwina potarganych włosów, kobieta mocno tuliła do piersi jakieś zawiniątko.

— Zapewne gonią tropem jelenia! — rzekł wreszcie mężczyzna spoglądając jednocześnie na muszkę fuzji. — Nie lękaj się, Jo! Staniemy w najbliższym zagajniku i poszukamy chrustu na ogień. Dalej chłopcy ! Koosz! Koosz! — i gwizdnął batem ponad grzbietem sfory.

Z zawiniątka u piersi kobiety odezwał się słaby, płaczliwy krzyk. Z dala odpowiedział nań wielogłosy zew stada.

Kazan mknął nareszcie szlakiem zemsty. Początkowo biegł dość wolno, mając u boku Szarą Wilczycę, i przystawał co paręset jardów, by rzucić znów hasło zbiórki. Bury cień w wielkich susach dognał ich z tyłu. Wnet też nadbiegł drugi. Dwie nowe bestie dopadły z boków. Coraz większa liczba gardzieli podejmowała dziką pieśń. Gromada rosła, a wraz z napływem odsieczy bieg stawał się coraz szybszy. Cztery, sześć, siedem, dziesięć, czternaście wilków — i wypadły już na szczerą pustkę wymiecioną wichrem.

Stado składało się niemal z samych starych i wytrawnych łowców. Szara Wilczyca była najmłodsza, więc trzymała, się pilnie boku Kazana. Sadził szybciej od niej, toteż nie widziała wyrazu jego krwawych ślepi ani kurczowego grymasu paszczy, ale nawet widząc nie zrozumiałaby nic. Czuła natomiast i przejmował ją do głębi dziki i tajemniczy szał Kazana, który gnał jak furiat, niepomny na nic, pragnąc jedynie krwi i mordu.

Między podróżnymi a ciemną linią zagajnika było tylko trzysta jardów, lecz Kazan wraz z resztą gromady zbliżał się

szybko. Wpół drogi dognał ich niemal i raptem stanęli tworząc na śniegu czarną, nieruchomą plamę. Trysnął język ognia, przed którym Kazan czuł zawsze silny respekt, i pies usłyszał ponad głową śpiewny gwizd kuli. Obecnie nie zważał na nią. Szczeknął ostro i wilki zdwoiły pęd; a cztery spośród nich biegły na równej z nim linii. Nowy strzał i kula przeszyła na wylot ogromnego, burego weterana tuż obok Szarej Wilczycy. Trzeci, czwarty oraz piąty strzał i Kazan poczuł na barkach przelot rozpalonej smugi. Ostatnia kula zgoliła mu sierść i przeorała mięśnie.

Padły trzy wilki. Reszta zgrai zboczyła w lewo i w prawo. Lecz Kazan sadził wciąż naprzód. Szara Wilczyca wiernie trwała u jego boku.

Pociągowe psy zostały w czas wyswobodzone z uprzęży i nim Kazan dotarł do człowieka, wywijającego obecnie fuzją jak maczugą, zamknęła mu drogę walcząca zajadle tłuszcza. Skoczył w gęstwinę wrogów niby demon, a Szara Wilczyca u jego boku zadawała kłami piorunowe ciosy. Dwa wilki dopadły mężczyzny i Kazan usłyszał okropny, miażdżący grzbiety łomot kolby. Dla niego to był kij! Pragnął doń dotrzeć! Pragnął dosięgnąć człowieka, który wymachiwał tym kijem, więc wyswobodziwszy się z gromady psów skoczył ku saniom. Po raz pierwszy zauważył, że i tu również jest ludzka istota, i w jednym mgnieniu wpadł na nią. Głęboko sięgnął paszczą. Szczęki utonęły w czymś miękkim i włochatym, więc rozwarł je do nowego chwytu. Wtedy właśnie usłyszał głos! Był to jej głos! Kazan zamarł; Skamieniał raptem.

Jej głos! Niedźwiedzie futro opadło i pies w świetle księżyca i gwiazd dojrzał, co się uprzednio kryło pod nim. Instynkt działał w nim szybciej niż myśl w ludzkim mózgu. To nie była ona! Lecz głos brzmiał tak samo, biała dziewczęca twarz, tak bliska jego krwawych ślepi, zawierała urok kobiecości, który nauczył się wielbić. Widział również zawiniątko przy jej piersi; słyszał drżący, płaczliwy krzyk i

rozumiał już, że nie wrogów ma przed sobą, lecz słodkie zjawy spoza tamtej strony gór.

Skręcił w miejscu jak piorun. Szarpnął zębami kark Szarej Wilczycy, aż odskoczyła w bok ze skowytem zdziwienia. Człowiek był już niemal zgnieciony falą napastników. Kazan przemknął pod uniesioną kolbą i wpadł na resztki gromady. Jego kły cięty jak sztylety. Jeśli uprzednio walczył niby demon, teraz szalało w nim dziesięć demonów. A człowiek, zbroczony krwią, chwiejący się na nogach, cofnął się do sań, nie wierząc własnym oczom, gdyż Szara Wilczyca z instynktem wiernej samki stała dzielnie u boku Kazana, pomagając do wygranej, której celu nie umiała pojąć.

Wreszcie Kazan i Szara Wilczyca pozostali samotnie na równinie. Stado, a raczej jego szczątki, umykało sromotnie w mroczną dal, a ten sam księżyc i gwiazdy — które ongiś dały psu pojąć braterstwo krwi istniejące między nim a gromadą — obwieściły mu teraz, że więzy są zerwane i żaden dziki brat nie przybieży już na jego zew łowiecki.

Kazan był ciężko ranny. Szara Wilczyca odniosła również wiele skaleczeń, jednak mniej poważnych. Pies krwawił zewsząd. Jedną z łap miał niemal przeciętą na pół. Po pewnym czasie na skraju lasu ujrzał błysk płomieni. Stary zew przemówił w nim z dawną siłą. Kazan pragnął podpełznąć tuż do ognia i uczuć na łbie dotyk kobiecej ręki, tak jak ongiś za skalną granią czuł dotyk ręki Izy. Poszedłby na pewno i skłonił Szarą Wilczycę do towarzyszenia sobie, lecz tam był również mężczyzna.

Kazan zasbowyczał, a Szara Wilczyca musnęła pyskiem jego grzbiet. Coś mówiło im obojgu, że są teraz jak bezplemienne włóczęgi, obcy wszędzie, i chyłkiem, czając się, pokusztykali w mroczną głąb boru.

Kazan nie mógł iść daleko. Gdy legł w śniegu, woń obozowiska wciąż jeszcze drażniła mu nozdrza. Szara

Wilczyca przywarowała tuż obok. Łagodnie pieściła językiem rany towarzysza. A Kazan unosząc łeb, jęknął ku gwiazdom.

ROZDZIAŁ VI

JOANNA

Stary Piotr Radisson rozpalił ognisko na skraju cedrowego lasu. Broczył krwią z wielu ran w miejscach, gdzie kły wilcze dobrały mu się do mięsa, i czuł w piersi ów znany, okropny ból, którego znaczenie on jedynie pojmował. Zwłóczył konar za konarem, rzucał je na stos, aż płomień bił na parę metrów w górę i igły skwierczały od żaru. Potem zgromadził dużą ilość chrustu i ułożył ją na podorędziu dla podsycania ognia nocą.

Joanna, siedząc na saniach, przyglądała się tej robocie. Drżała wciąż jeszcze i oczy miała pełne grozy. Mocno tuliła do piersi swoje maleństwo. Długie, ciężkie włosy splątaną gęstwiną osłaniały jej plecy i ramiona, lśniąc i migocąc za każdym ruchem. Młoda twarz robiła wrażenie twarzyczki dziecięcej, jakkolwiek Joanna była przecie matką.

Piotr, jej ojciec, cisnął na ziemię ostatnią naręcz paliwa i oddychając ciężko, wybuchnął wymuszonym śmiechem:

— Byliśmy w ciężkich tarapatach, ma chérie! — chichotał poprzez gęstwinę białej brody. — Tam na równinie śmierć stała przy nas bliżej niż kiedykolwiek! Ale teraz mamy zupełny spokój i dobry ogień! Prawda! Nie boisz się już?

Przykucnął na saniach obok córki i lekko uchylił miękkie futro osłaniające zawiniątko w jej ramionach. Dostrzegł różany policzek maleńkiej Joasi. Oczy Joanny promieniały niby gwiazdy.

— To dziecko uratowało nas! — szepnęła. — Nasze psy były już niemal rozszarpane przez wilki i stado runęło na ciebie, ojcze, gdy jeden zwierz skoczył w stronę sań. Na

razie sądziłam, że to pies, ale to był wilk! Szarpnął raz, lecz ocaliło nas niedźwiedzie futro. Chwycił mnie prawie za gardło, gdy dziecko krzyknęło. Wtedy znieruchomiał, łyskając oczyma przed moją twarzą, i przysięgłabym znów, że to pies! Potem zawrócił błyskawicznie i wpadł na wilki. Widziałam, jak skoczył na jedną bestię, która sięgała ci prawie do piersi.

— A jednak to był pies! — rzekł Piotr wysuwając ręce w stronę ciepłej fali ognia. — Psy niejednokrotnie umykają z faktorii i łączą się ze stadem. Sam widziałem! Ma chérie, pies jest psem i zostaje nim całe życie! Nawet towarzystwo dzikich bestii nie odmieni go całkowicie! Ten należał do stada, polował wraz z nim, a jednak gdy nas ujrzał...

— Walczył dla nas! — dokończyła kobieta. Wręczyła ojcu dziecko i stanęła wysoka i gibka w świetle ognia. — Walczył w naszej obronie i był ciężko ranny! — ciągnęła dalej. — Widziałam, jak się ledwo wlókł! Ojcze, a jeżeli on tam gdzieś kona!

Piotr Radisson wstał. Zakaszlał chrapliwie, starając się ukryć ten złowróżbny dźwięk pod gęstwiną brody. Joanna nie dostrzegła krwawej piany wybiegającej mu na usta. Nie podejrzewała w ogóle nic, jakkolwiek podróżowali już sześć dni zdani na własne siły. Lecz Piotr, właśnie z racji tego kaszlu i szkarłatnych plwocin, pośpieszał, ile tylko mógł.

— Myślałem już o tym! — rzekł. — Był ciężko ranny i wątpię, żeby daleko uszedł. Weź dziecko na kolana i nie oddalaj się od ognia. Zaraz wrócę!

Księżyc i gwiazdy płonęły jaskrawo, gdy wyszedł na równinę. Przystanął na chwilę w miejscu, gdzie przed godziną dopadły ich wilki żaden z jego czterech psów nie ocalał z pogromu. Śnieg czerniał zbroczony ich posoką, a sztywne ciała leżały, jak padły. Piotr zadygotał patrząc na zmasakrowane trupy. Gdyby nie to, że pierwszy rozpęd zgrai

trafił na ten żywy mur, czym byłby w tej chwili on sam, Joanna i dziecko?

Ruszył dalej, kaszląc głucho i ocierając krew z warg. O parę jardów w bok znalazł trop dziwnego psa przybyłego wraz z wilkami, który potem w chwili klęski zwrócił się przeciwko nim. Nie był to ślad równy i miarowy. Miejscami ciało sunęło po śniegu żłobiąc szeroką koleinę. Piotr spodziewał się, że lada chwila dojrzy zwierzę zdychające lub nawet już martwe.

Kazan ukryty w zwartej gęstwinie na skraju boru leżał czujny i baczny na wszystko. Nie cierpiał zbytnio. Natomiast stracił władzę w łapach. Barki miał jak sparaliżowane. Szara Wilczyca spoczywała tuż u jego boku, chciwie wietrząc. Oboje czuli bliskość obozowiska, a Kazan rozróżniał wonie dwu znajdujących się tam istot: mężczyzny i kobiety. Wiedział, że przy ognisku, którego czerwień błyska wśród konarów i gałęzi, siedzi ona! Chciał ku niej iść! Pragnął dowlec się bliżej, lec u jej stóp, nasłuchiwać melodii głosu i czuć pieszczotę drobnej dłoni. Lecz obok kobiety stał mężczyzna, uosobienie kija i bicza, bólu i śmierci.

Szara Wilczyca przywarła bliżej do Kazana i skomląc usiłowała go nakłonić do dalszej ucieczki. Wreszcie pojęła, że pies nie może się ruszyć, wtedy zaczęła biegać tu i tam, pędząc na równinę i z powrotem, aż ubiła szeroką ścieżkę, stąpnięciami . łap. Instynkt przyjaźni nie dozwalał jej porzucić towarzysza. Ona pierwsza dojrzała Piotra Radissona, brnącego przez otwartą przestrzeń i skoczyła do Kazana z ostrzeżeniem.

Wówczas Kazan również zwietrzył znajomą woń i dostrzegł ciemną postać na tle śnieżnej bieli. Usiłował uciekać, lecz mógł jedynie pełznąć cal za calem. Człowiek zbliżał się szybko. Pies spostrzegł lśnienie fuzji w jego ręku. Usłyszał głuchy kaszel i chrzęst kroków na śniegu. Szara Wilczyca leżała u boku Kazana, dygocąc i szczerząc kły. Gdy

Piotr był o pięćdziesiąt stóp od nich, cofnęła się wężowym ruchem i zapadła w las.

Kazan groźnie obnażył kły, a Piotr, stojąc tuż, spoglądał w dół ku niemu. Z olbrzymim wysiłkiem zdołał wstać, lecz w tej samej chwili ponownie opadł na śnieg. Człowiek oparł fuzję o pień drzewa i pochylił się bez trwogi. Kazan ryknął dziko i usiłował schwytać wyciągnięte dłonie. Ku jego ogromnemu zdumieniu człowiek nie porwał za kij. Wysunął znów rękę bardzo ostrożnie i przemówił głosem, którego pies dotąd nie znał. Kazan warknął ponownie i szczęknął kłami.

Człowiek nie uciekał. Uparcie wymawiał łagodne słowa i wykonywał dłonią przyjazne ruchy, a raz musnął palcami łeb psa i cofnął rękę, nim zwierzę zdołało go ugryźć. Trzykrotnie jeszcze udało mu się dotknąć głowy Kazana i za każdym razem pies nie doznał ani bólu, ani przykrości. Wreszcie Piotr zawrócił i ruszył z powrotem do obozu.

Gdy znikła jego sylwetka i ucichł odgłos kroków, Kazan pisnął, a sierść zjeżona na grzbiecie opadła płasko. Uważnie spojrzał w kierunku ognia. Człowiek nie uczynił mu krzywdy, toteż trzy czwarte psa będące w nim pragnęły podążyć za nowym panem.

Szara Wilczyca wyszła z gęstwiny i stanęła obok, sztywno prężąc przednie łapy. Nigdy jeszcze nie była tak blisko ludzkiej istoty; chyba wtedy gdy na równinie stado dopadło sań. Nie rozumiała nic. Wszelki instynkt uprzedzał ją, że jest to najgroźniejsza istota, że należy się jej strzec bardziej niż najsilniejszych czworonogów, huraganów, powodzi, mrozu i głodu. A jednak ten człowiek nie skrzywdził jej towarzysza; Obwąchała kark i łeb Kazana, tam gdzie musnęła je dłoń Piotra. Potem znów uciekła w głąb boru, gdyż na równinie między sobą a ogniem ujrzała ponownie ruch i życie.

Piotr wracał, a wraz z nim nadchodziła Joanna. Mówiła coś głosem miękkim i łagodnym; promieniował z niej urok kobiecy. Mężczyzna stanął o parę kroków od Kazana, nieco nieufny, lecz nie wrogi.

— Ostrożnie, Jo! — przestrzegał.

Kobieta uklękła w śniegu tuż za zasięgiem kłów rannego zwierzęcia;

— Pójdź, miły, pójdź! — przemówiła serdecznie, wyciągając dłoń. Mięśnie Kazana drgnęły. Podpełzł w jej stronę o cal, o dwa. W twarzy kobiety była znana mu łagodność; tak samo przemawiała doń Iza.

— Chodź! — szeptała wciąż Joanna. Pochyliła się nieco bar dziej, silniej wyciągnęła dłoń i wreszcie musnęła palcami jego łeb.

Piotr ukląkł obok córki. Podawał coś psu i Kazan wyczuł zapach mięsa. Lecz mało zważał na tę woń, tak miłą zazwyczaj. Drżał pod wpływem pieszczoty kobiecej ręki, a gdy Joanna cofnęła się nieco, kiwając nań, by szedł, próbował uczynić zadość temu życzeniu i powlókł się z trudem kilkanaście centymetrów. Dopiero teraz Joanna zauważyła jego bezwładną łapę. W jednej chwili zapomniawszy o wszelkiej ostrożności, padła tuż przy nim na kolana.

— On nie może iść! — krzyknęła, a w głosie jej brzmiało niemal łkanie. — Oh, mon pére, spójrz tylko, jaką on ma okropną ranę! Trzeba go zanieść do obozu!

— Miałem to już na względzie! — odparł Radisson. — Dlatego też wziąłem ze sobą derę. Mój Boże, słuchaj no!

W mrocznej głębi boru zabrzmiało niskie, jękliwe wycie.

Kazan uniósł łeb i odpowiedział słabym skowytem; Szara Wilczyca wzywała go ku sobie.

Tymczasem Piotr Radisson zdołał wsunąć wełnianą derę pod bezwładne ciało psa. Jakimś cudem Kazan nie odczuł

przy tym bólu. Zawdzięczał to Joannie, która przez cały czas trzymała dłoń na jego kudłatym łbie. Gdy ojciec niósł ranne zwierzę do obozu, Joanna szła obok, trzymając róg dery. Umieścili psa tuż przy ogniu, a po chwili -mężczyzna przydźwigał misę ciepłej wody, obmył zakrzepłą krew i namaścił przegryzioną łapę czymś kojącym, po czym obandażował ją umiejętnie.

Dla Kazana to wszystko było najzupełniej nowe i niezwykłe,. Nie tylko kobieta, lecz i mężczyzna postępowali z nim uczciwie i łagodnie. Piotr, skończywszy opatrunek, podsunął mu misę pełną mąki rozrobionej z tłuszczem i zachęcał do jadła, podczas gdy Joanna siedziała obok z brodą opartą na dłoniach i nie spuszczając oczu z Kazana przemawiała doń raz po raz miękko i serdecznie. Pies posilił się gruntownie i wyzbywszy się strachu odpoczywał błogo. Raptem spomiędzy futer na saniach dobiegł dziwny szczebiot. Wówczas Kazan gwałtownie uniósł głowę i nastawił uszy.

Joanna dostrzegła ten ruch. Usłyszała również niski skowyt w gardle psa. Szybko zwróciła się do sań, uniosła w ramionach zawiniątko, a rozplątując futra gwarzyła i śmiała się przez cały czas. Wreszcie odrzuciła siwą skórę rysia i Kazan zobaczył cudo w niej zawarte. Nigdy przedtem nie widział białego dziecka; teraz miał je tuż przed sobą w całym uroku i krasie. Malutka, różowa twarzyczka spoglądała mu wprost w krwawe ślepia. Drobne łapki gmerały w powietrzu. Raptem dziecko zmarszczyło się zabawnie, a potem wybuchnęło radosnym śmiechem i szczebiotem. Kazan przywarował ku ziemi, zamerdał ogonem, zaskomlił, i posunął wielkie cielsko w stronę kobiety i jej maleństwa.

— Och, ojcze! — zawołała Joanna. — Patrz, jak on już lubi Joasię! Trzeba go teraz ochrzcić! Jak go nazwiemy?

— Poczekaj z tym do jutra! — odparł Piotr. — Już późno! Idź spać, Jo! Nie mamy psów, więc podróż pójdzie marudnie!

Trzeba będzie wcześnie wstawać!

Joanna oparła już dłoń na skrzydle namiotu, lecz odwróciła się raptem.

— Przybył wraz z wilkami — rzekła — niech więc mu będzie „Wolf!"

Spojrzała na psa i mając prawe ramię zajęte małą Joasią, lewą ręką zrobiła w stronę Kazana wymowny gest:

— Wolf! Wolf! — zawołała miękko.

Kazan nie spuszczał z niej oczu. Wiedział, że kobieta przemawia do niego, i przezwyciężając bezwład członków przywlókł się o cal bliżej.

Choć Joanna znikła wewnątrz namiotu, stary Piotr Radisson siedział jeszcze przez dłuższy czas na brzeżku sanek, mając psa tuż u swych nóg. Raptem ciszę przerwało samotne wycie Szarej Wilczycy, płynące z głębi boru. Kazan uniósł łeb i zaskomlił.

— Woła cię, stary! — rzekł współczująco Piotr Radisson.

Zaniósł się ciężkim kaszlem i przyłożył dłoń do piersi w miejscu, gdzie czuł okropny ból.

— Odmrożone płuca! — rzekł, uparcie patrząc na psa. — Złapałem to wczesną zimą opodal Fond du Lac. Mam nadzieję, że się nam uda w porę dotrzeć do domu! Chodzi o te dwie małe, rozumiesz ?

W pustce i głuszy dalekich północnych krain człowiek niejednokrotnie rozmawiał sam ze osobą. Lecz Kazan miał łeb uniesiony ku górze i oczy patrzące pojętnie, zatem Piotr przemawiał do niego:

— Trzeba je odstawić do domu, a tylko ty i ja możemy się tego podjąć! — ciągnął Piotr, nerwowo kręcąc palcami biel brody. Skulił się nagle i zadygotał wstrząsany kaszlem.

— Tak, do domu! — charczał gniotąc palcami pierś. — Osiemdziesiąt mil, wprost na pomoc, w kierunku fortu

Churchilla. Modlę się, żeby Bóg pozwolił mi tam dobrnąć wraz z nimi!

Wstał i zatoczył się nieco. Rzemień obroży wciąż jeszcze opasywał szyję Kazana, więc Piotr łańcuchem przytwierdził psa do sań. Potem rzucił na ogień trzy czy cztery polana i po cichu wszedł do namiotu, w którym spała jego córka i wnuczka.

Kazan drzemał mało i niespokojnie. Kilkakrotnie w ciągu nocy słyszał wycie Szarej Wilczycy. Nad ranem jego towarzyszka podeszła tuż do obozu i Kazan odpowiedział jej po raz pierwszy.

Ten głos zbudził mężczyznę. Piotr wyszedł z namiotu, parokrotnie spojrzał na niebo, rozniecił ogień i zaczął przyrządzać śniadanie. Poklepał łeb Kazana ofiarowując mu kawał mięsa. Joanna pojawiła się w chwilę później, dziecko wciiecż jeszcze spało w swym futrzanym łóżeczku. Podbiegłszy do ojca ucałowała go w oba policzki, a potem uklękła obok psa i przemawiała doń niemal równie pieszczotliwie jak do małej Joasi. Wreszcie skoczyła na równe nogi, a gdy Kazan wstał również, Joanna wydała radosny okrzyk.

Tego dnia podróż odbywała się dość dziwacznie. Piotr Radisson wyrzucił z sań wszystko prócz namiotu, der do spania, żywności i futrzanego gniazda małej Joasi. Potem przełożył sobie poprzez pierś pociągowy rzemień i powlókł się po śniegu. Kaszlał bezustannie.

— To nic ważnego! — tłumaczył Joannie pilnując wszakże, by nie dostrzegła krwi plamiącej mu wargi i spływającej czasem aż na brodę. — Posiedzę w chacie tydzień i wszystko minie! Kazan, obdarzony zwierzęcą mądrością zwaną przez ludzi

instynktem, wiedział, że człowiek kłamie. Być może dlatego zdawał sobie sprawę z bliskiej tragedii, iż zarówno on sam, jak i jego przodkowie, pociągowe psy, słyszeli

niejednokrotnie podobny kaszel i oglądali później jego niechybne konsekwencje.

Nie raz i nie dwa Kazan węszył śmierć w wigwamach i chatach, jakkolwiek sam pozostawał na zewnątrz. Wielekroć z daleka wyczuwał zgon ludzi i zwierząt, tak samo jak na znaczną odległość zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa powodzi lub pożaru. Teras również miał wrażenie, że jakaś ponura, choć niewidzialna zjawa towarzyszy małej karawanie. Sam posłusznie kroczył za saniami uwiązany do nich łańcuchem. Był wyraźnie zaniepokojony i w czasie paru krótkich postojów wąchał chciwie malutką Joasię, jak gdyby chcąc się upewnić, że obok śmierci jest tu również życie. Za każdym razem, gdy drżący nos psa wyciągał się w kierunku gniazda usłanego z miękkich futer, Joanna podbiegała ku niemu i klepała przyjaźnie bury, pokaleczony łeb. A Kazan drżał pełen szczęścia.

Tego dnia zrozumiał, że malutka istota na saniach stanowi skarb kobiety oraz że jest niezmiernie słaba i bezradna. Pojął również, że ilekroć on zwraca uwagę na dziecko, Joanna promienieje, a jej głos nabiera radosnych brzmień.

Gdy wieczorem rozbili obóz, Piotr Radisson siedział długi czas przy ognisku. Nie ćmił nawet fajki jak zazwyczaj. Niby urzeczony patrzał w płomień. Kiedy wreszcie wstał, by udać się do namiotu, gdzie Joanna z dzieckiem spoczywała już od dawna, pochylił się nad psem i zbadał jego ranę.

— Jutro będziesz musiał mi pomagać! — rzekł smutnie. — Do jutra wieczór trzeba odnaleźć rzekę! Bo inaczej...

Nie skończył. Wchodząc do namiotu tłumił okropny atak kaszlu. Kazan leżał sztywny, pełen napiętej uwagi. Gniewało go, że mężczyzna jest w namiocie, gdyż coraz wyraźniej odczuwał bliskość śmierci zdającej się krążyć wokół tego starca.

Tej nocy wierna Szara Wilczyca nawoływała go trzykrotnie z głębi boru i Kazan odpowiedział jej trzykrotnym ponurym wyciem. O brzasku podeszła tuż do obozu. Raz krążyła zupełnie blisko i przyjazny wiatr napełnił nozdrza Kazana jej silną wonią. Pies zaskomlił i począł szarpać łańcuch, pewien, że jego towarzyszka nadbiegnie i legnie obok. Lecz Radisson poruszył się w namiocie i wilczyca umknęła.

Piotr zmienił się mocno przez tę jedną noc. Twarz miał okropnie mizerną i przekrwione oczy. Natomiast kaszlał rzadziej i nie tak głośno. Było to raczej chrapanie i świst. Nim Joanna wyszła z namiotu, starzec kilkakrotnie przyciskał dłonią pierś. Wobec córki unikał tego ruchu. Jednak ona spoglądała nań początkowo z niedowierzaniem, a potem z lękiem. Aż zbielała jej twarz. Gdy Joanna zarzuciła mu ręce na szyję, Piotr parsknął śmiechem:

— Nie masz się czego bać, moja Jo! — żartował. — Widzisz, nastąpiło przesilenie! To zawsze człowieka osłabia.

Dzień wstał zimny, ponury i wietrzny. Kazan ciągnął sanie wprzągnięty w nie wraz z Radissonem, a w ślad za nim po ubitym szlaku kroczyła Joanna. Pracował sumiennie, wspomagany potężną siłą mięśni, toteż człowiek nie uderzył go ani razu, lecz poklepywał często po łbie i karku. Niebo ciemniało zbałwanione nalotem chmur, a coraz silniejszy wicher zawodził wśród wierzchołków sosen.

Ani mrok, ani nadciągająca zamieć nie skłoniły Piotra do rozbicia obozu. „Musimy dotrzeć do rzeki!" — powtarzał sobie raz po raz w głębi duszy i zachęcał psa do dalszych wysiłków, podczas gdy sam słabł najwidoczniej z każdym krokiem naprzód.

Przystanął dopiero nad wieczorem, gdy wicher zamiatał już śniegi i giął konary drzew. Biały puch sypał z nieba tak gęsto, że o pięćdziesiąt jardów nie można było zobaczyć pnia jodły. Piotr chichotał, podczas gdy Joanna kuliła się przy

ogniu z dzieckiem w ramionach. Wypoczął zaledwie godzinę, po czym znów wprzągł Kazana, do sań i przerzucił sobie rzemień przez pierś. W mroku, niemal tak czarnym jak nocą brnął kierując się podług kompasu. Wreszcie gdy ciemność zapadła już całkowicie, wyszli przed rzedniejący las na równinę i Piotr Radisson wyciągniętą dłonią wskazał przed siebie:

— Oto rzeka, Jo! — rzekł radośnie, choć głos miał słaby i rzężący. — Możemy tu przeczekać śnieżycę!

Ustawił namiot pod zwartą kępą drzew szpilkowych i począł gromadzić chrust na opał. Joanna dopomagała mu ile sił. Zaledwie ugotowali kawę i zjedli kolację złożoną z mięsa i odgrzanych sucharów, kobieta udała się do namiotu, gdzie bez zwłoki padła na miękkie posłanie z jedliny, otulając siebie oraz dziecko w koce i futra. Tym razem zapomniała nawet o psie. A Piotr był rad, że córka jest zbyt wyczerpana, by wieść dłuższą rozmową, chociaż...

Czujne ślepia Kazana dostrzegły, jak mężczyzna drgnął raptem, wstał z sań i podszedł do namiotu. Odrzucił skrzydło wsuwając głowę i ramiona do wnętrza.

— Śpisz, Jo? — spytał.

— Zasypiam już, ojcze! Czy nie masz ochoty spocząć?

— Wypalę jeszcze jedną fajkę! Wygodnie ci, kochana?

— Tak! Jestem tylko okropnie znużona i senna! Piotr roześmiał się. Przycisnął dłonie do piersi.

— Jesteśmy już niemal w domu, Jo! Tam płynie nasza rzeka, Little Beaver. Gdybym tak uciekł dzisiejszej nocy, już byś sama trafiła do męża. To zaledwie czterdzieści mil drogi, słyszysz, Jo!

— Tak ojcze, wiem!

— Czterdzieści mil w dół rzeki! Nie zbłądziłabyś. Jo! Musiałabyś się tylko strzec powietrznych dziur w lodzie!

— Połóż się już, ojcze! Jesteś przecież zmęczony i niemal chory!

— Owszem! Tylko jeszcze wypalę jedną fajkę! Proszę cię Jo, przypomnij mi jutro o tych dziurach w lodzie. Mógłbym przez noc zapomnieć. Łatwo je zauważyć z daleka, gdyż śnieg i lód są na nich bielsze i tak porowate, że wyglądają niby gąbka. Czy słyszysz, mnie, Jo?

— Słyszę, ojcze, słyszę!

Piotr opuścił skrzydło namiotu i skręcił w stronę ognia. Zataczał się idąc.

— Dobranoc ci, stary! — rzekł do Kazana. — Idę jednak spać. Mój Boże, czterdzieści mil to dwa dni drogi, żebyż jeszcze przeżyć te dwa dni!

Kazan bacznie obserwował jak człowiek wchodzi do namiotu. Potem zaczął szarpać łańcuch, aż go zdławił rzemień obroży. Po karku przebiegały mu krótkie drgnienia. Tam gdzie znikł Piotr Radisson, znajdowała się Joanna wraz z dzieckiem. Pies wiedział, że mężczyzna nie skrzywdzi tych dwojga, lecz wiedział również, że nosi on w sobie jakąś okropną a nieodpartą grozę. Wolałby zatem mieć człowieka na zewnątrz przy ogniu.

W namiocie panowała cisza. Szara Wilczyca wydała swój tęskny zew bliżej niż zwykle. Z każdą nocą zaczynała wyć wcześniej i ciaśniejszym kołem obiegała obóz. Kazan pragnął dziś jej obecności bardziej niż kiedykolwiek, jednak nawet nie zaskomlił w odpowiedzi. Nie ośmielał się naruszyć głuchego milczenia królującego wewnątrz namiotu. Był mocno znużony całodziennym trudem, nie mógł jednak spać. Ogień przygasał, wiatr zamierał wśród wierzchołków drzew, bure kłęby chmur przewalały się po mrocznym niebie. Tu i ówdzie przebłyskiwały gwiazdy, wpierw złote, potem białe i zimne, a z dalekiej północy nadbiegał słaby, syczący dźwięk niby skrzyp płóz na stężałym śniegu. To

przemawiała zorza polarna. Wraz z jej poświstem mróz stawał się bardziej ostry i dojmujący.

Tej nocy Szara Wilczyca nie orientowała swej wędrówki podług kierunku wiatru. Niby wężowy cień mknęła tropem małej karawany. Wnet po północy Kazan usłyszał ją ponownie i zesztywniał uniósłszy łeb, tylko mięśnie bark drgały mu nerwowo. Głos wilczycy miał nowe brzmienie: zawodził rozpaczliwie i żałobnie. Wieścił coś, jakieś wielkie zdarzenie. Na ten dźwięk Kazan wyzbywszy się trwogi, czyniącej go niemym, zwrócił łeb ku gwiazdom i zawył, jak wyją dzikie psy Północy przed domami świeżo zmarłych panów.

Piotr Radisson nie żył.

ROZDZIAŁ VII

OKROPNA DROGA

O świcie malutka Joasia przylgnęła bliżej do nagiej piersi matki i zbudziła ją płacząc z głodu. Joanna otwarła oczy, odrzuciła gęstwinę włosów opadłą na twarz i spojrzała na ojca, który leżał pogrążony w mroku w drugim końcu namiotu. Nie ruszał się i nie kaszlał, więc Joanna uśmiechnęła się zadowolona, że Piotr tak słodko śpi. Wiedziała, że poprzedniego dnia doszedł on już do granicy całkowitego wyczerpania, zatem leżała jeszcze bez ruchu dobre pół godziny, szeptem przemawiając do dziecka. Potem wstała ostrożnie, owinęła Joasię w futra

i narzuciwszy cieplejsze odzienie wyszła z namiotu. Tymczasem rozedniało zupełnie i kobieta odetchnęła z ulgą,

stwierdziwszy, że śnieżyca minęła. Natomiast panował ostry chłód. Zdawało się jej, że nigdy przedtem nie było podobnego mrozu. Ogień wygasł doszczętnie. Kazan leżał zwinięty w kłębek wsunąwszy nos pod tylne łapy. Na widok swej pani uniósł łeb i spojrzał na nią cały drżący. Joanna nogami obutymi w grube mokasyny rozrzuciła zetlałe głownie i ciężki nalot popiołu. Nie odnalazła nawet najmniejszej żywej iskierki. Więc skręciła w stronę namiotu, lecz przystanęła po drodze i pogładziła bury łeb Kazana.

— Biedny Wolf! — rzekła. — żałuję, że nie dałam ci jednej z niedźwiedzich skór!

Odrzuciła skrzydło namiotu i weszła do wnętrza. Światło lunęło jaskrawą falą na twarz Piotra Radissona i Kazan raptem usłyszał rozdzierający krzyk.

Joanna padła całym ciałem na pierś ojca. Łkała cicho, tak cicho, że nawet czujne uszy psa nie mogły ułowić jej

szlochu. Przez długi czas trwała złamana, bez ruchu i myśli. Raptem dziecko zaczęło kwilić i w jednej chwili kobieta oprzytomniała. Przemówił w niej instynkt macierzyński silniejszy ponad wszystko. Porwała się na nogi i wybiegła z namiotu. Kazan skoczył jej na spotkanie, szarpiąc łańcuch, lecz nie widniała go nawet. Groza pustynnej głuszy bywa nieraz większa niż groza śmierci. Joanna odczuła ją obecnie w całej pełni. Nie szło jej zresztą o siebie, tylko o dziecko. Żałosne kwilenie maleństwa bodło ją jak ostrza noży.

Lecz raptem przypomniała sobie słowa ojca słyszane ubiegłego wieczora, jak mówił o czterdziestomilowej przestrzeni dzielącej obóz od chaty, o rzece i o dziurach powietrznych. „Mogłabyć sama trafić do domu, Jo!"

Zawinęła dziecko w futra i wróciła do ogniska. Przede wszystkim należało je rozpalić. Ułożyła na węglach pęczek kory brzozowej, przykryła go na pół zetlałymi głowienkami i poszła do namiotu po zapałki. Piotr Radisson nosił je w nieprzemakalnym pudełku i chował w kieszeń kurty futrzanej.

Joanna zaszlochała znów, klękając obok ojca i przesuwając dłonią po jego piersi. Gdy płomień buchnął, dorzuciła parę smolnych gałązek, a potem kilka większych konarów zebranych przez Piotra. Ogień dodał jej otuchy. Zaledwie czterdzieści mil i rzeka niby szlak wiodący wprost do chaty! Przy pomocy Wolfa poradzi sobie jakoś! Po raz pierwszy tego dnia pogładziła łeb psa i wymówiła jego imię. Potem rzuciła mu kawał mięsa rozgrzany nad ogniskiem i nasypała śniegu do kociołka, chcąc przyrządzić herbatę. Nie miała najmniejszego apetytu, lecz przypomniała sobie w porę, jak ojciec przymuszał się do posiłku cztery lub pięć razy dziennie, więc z trudem przełknęła trochę sucharów i mięsa, popijając wszystko dużą ilością gorącego płynu.

Potem zabrała się do ponurej roboty. Owinęła ciało ojca skórą niedźwiedzią i przewiązała mocno rzemieniem. Z

pozostałych futer umościła tuż przy ogniu ciepłe gniazdko dla małej Joasi.

Najtrudniej poszło ze zwinięciem namiotu. Sznury zesztywniały i zakrzepły, toteż pokrwawiła sobie rękę. Wreszcie ułożyła namiot na saniach, po czym osłaniając twarz zwróciła się w stronę trupa.

Piotr Radisson leżał na posłaniu z jedliny mając nad sobą wierzchołki drzew i ołowiane niebo. Kazan tkwił w pobliżu, sztywno wbijając w śnieg łapy, i wietrzył nerwowo. Sierść zjeżyła mu się na barkach, gdy Joanna postąpiwszy parę kroków padła na kolana obok zmarłego. Po chwili kobieta wstała. Twarz miała bladą i nieruchomą, a oczy pełne grozy. Wprzęgła psa do sań i sama przerzuciła przez szczupłą pierś pociągowy rzemień. Tak ruszyli w stronę rzeki zapadając po kolana w grząski, świeżo spadły śnieg. Wpół drogi Joanna potknęła się o zaspę i runęła ciężko. Kazan szarpnął potężnie i znalazł się u jej boku. Nim zdołała wstać, przejechał jej po twarzy chłodnym językiem. Wówczas objęła ramionami jego kudłaty kark i poczęła rozpaczliwie jęczeć:

— Wolf! Och, Wolf!

Kroczyła dalej, zziajana już i zmęczona. Na rzece śnieg był mniej głęboki. Natomiast zrywał się wiatr. Dął z północo-zachodu prosto w twarz i Joanna, idąc wraz z psem w uprzęży, pochylała głowę, by uniknąć kąśliwych uderzeń wichru. O pół mili w górę rzeki stanęła raptem i zaniosła się gorzkim łkaniem.

Czterdzieści mil. Załamywała ręce cisnąc je do piersi, plecami zwrócona w stronę wiatru. Dziecko nie odzywało się wcale. Joanna podeszła do sań, uchyliła futrzanej dery i spojrzawszy na maleństwo nabrała nowych sił. Ciągnęła sanie ze zdwojoną energią, lecz w ciągu najbliższej ćwierć mili dwukrotnie padała w zaspach.

Później trafili na pasmo lodu doszczętnie wymiecione wichrem i tu Kazan sam wlókł sanie. Joanna szła obok. Czuła w piersi ostry ból. Twarz szczypała ją i kłuła. Raptem Joanna przypomniała sobie termometr. Wyjęła go z kieszeni i poddała na chwilę działaniu powietrza. Spojrzawszy nań po pewnym czasie, stwierdziła, iż jest trzydzieści stopni poniżej zera. Trzydzieści stopni i czterdzieści mil drogi! Lecz ojciec mówił jej przecie, że powinna dać sobie radę sama! Nie wiedziała biedaczka, że nawet Piotr Radisson wahałby się opuszczać obóz. przy takiej temperaturze, tym bardziej że wiatr zapowiadał zamieć.

Las pozostał już w tyle. Po obu stronach rzeki leżało pustynne barren, a w oddaleniu niewidoczna wobec szarzyzny dnia czerniała linia nowych borów. Gdyby na brzegu rósł jaki zagajnik lub choćby pojedyncze drzewo, Joanna czułaby się lepiej. Lecz nie było nic, co by choć w przybliżeniu miało pozór życia, nic prócz siwego bezmiaru śniegu, upiornego mroku i burych, wełnistych chmur nad głową.

Śnieg pod nogami stał się znów głęboki i grząski. Joanna myślała bezustannie o tych zdradliwych pułapkach, przed którymi ojciec ją przestrzegał. Lecz niestety, miała teraz wrażenie, że powierzchnia rzeki jest wszędzie jednakowa. W oczach rósł jej tępy ból. Był to wpływ nadmiernego zimna.

Rzeka przeszła w małe jeziorko i tu wiatr uderzył z taką siłą, że ledwo mogła się wlec. Kazan ciągnął sanie sam jeden. Parocalowa warstwa śniegu była dla Joanny teraz równie ciężką przeszkodą jak dawniej półmetrowa zaspa. Stopniowo zostawała w tyle. Pies pracował zapalczywie, z całą energią, do jakiej był zdolny. Gdy znów osiągnęli rzeczne koryto, Joanna brnęła za saniami szlakiem utartym przez płozy. Nie mogła udzielić zwierzęciu żadnej pomocy. Własne nogi, jakby nalane ołowiem, ciążyły jej coraz bardziej. Jedyną nadzieję stanowił las. Jeśli nie dotrą doń

rychło, w ciągu najbliższej pół godziny, wszystko przepadnie.

Wlokła się naprzód z coraz większym trudem, jęcząc modlitwę o ratunek dla dziecka. Upadła w zaspie. Sanie majaczyły przed nią niby czarna plama. Potem zaczęły się oddalać i ginąć w mroku. Dzieliło ją od nich zaledwie dwadzieścia stóp, lecz ta przestrzeń wydała się Joannie nieskończenie wielką. Zebrała więc resztki sił, byle dogonić swoje maleństwo.

Miała wrażenie, że idzie niesłychanie długo, chyba godzinę. Wreszcie wyciągniętymi rękoma dotknęła sań. Rzuciła się naprzód i z jękiem padła na stos futer. Nie czuła już żadnego bólu. Z twarzą wtuloną w niedźwiedzią skórę tuż obok małej Joasi roiła o domu i cieple. Zdawało się jej przez chwilę, że jest już pod własnym dachem. Potem wizja zmierzchła i noc ogarnęła jej mózg.

Kazan stanął. Potem skręcił w rzemieniach uprzęży i siadłszy obok Joanny czekał na jakieś słowo lub ruch. Lecz ona leżała jak martwa. Wetknął nos w gęstwinę rozwianych włosów. Zaskomlił, a potem unosząc łeb wciągnął nozdrzami wiatr. W powietrzu unosiła się jakaś woń. Kazan ponownie trącił pyskiem Joannę, lecz ona ani drgnęła. Więc zawrócił, stanął na szlaku gotów do dalszej drogi i obejrzał się na swoją panią. Ale kobieta leżała dalej nieruchomo i skowyt w gardle psa przeszedł w nerwowe ujadanie.

Wiatr przywiał mu teraz woń znacznie ostrzejszą. Kazan natężył mięśnie, zebrał się w sobie i ruszył sanie z miejsca. Płozy przymarzły do śniegu, toteż oderwał je z trudem. W ciągu najbliższych pięciu minut dwukrotnie przystawał i węszył. Wreszcie ugrzązł w zaspie; wtedy skręcił ku saniom i zaskomlił chcąc zbudzić Joannę. Potem znów zaczął pracować i stopa za stopą wygramolił się z zaspy. Dalej leżała przestrzeń czystego lodu i tu pies nieco wypoczął.

Wiatr wzmógł się i dziwny zapach uderzył nozdrza Kazana jeszcze silniej.

Teraz od głównego koryta rzeki wymknęła się odnoga lodowa, łożysko dopływu. Gdyby Joanna była przytomna, skierowałaby psa prosto przed siebie. Lecz Kazan, wiedziony jedynie własnym instynktem, skręcił w boczny kanał i dobre dziesięć minut gramolił się z trudem przez kopny śnieg skowycząc coraz częściej, aż wreszcie wybuchnął radosnym ujadaniem. Przed nimi tuż nad krawędzią brzegu stała niewielka chata. Z komina bił dym. Jego to zapach pies wyczuł z paromilowej odległości. Ku drzwiom sadyby wiódł stromy stok i Kazan ogromnym wysiłkiem wywlókł swój ciężar na to zbocze. Potem siadł obok Joanny, uniósł ku górze kudłaty łeb i zawył.

W chwilę później drzwi się otwarły. Wyszedł z nich człowiek. Oczy Kazana przekrwione i półoślepłe od mrozu i śniegu obserwowały bystro nieznajomego mężczyznę, podczas gdy on mknął ku saniom. Potem pies usłyszał głuchy krzyk. Człowiek pochylił się nad Joanną. Z gęstwiny futer wypłynął płaczliwy głosik małej Joasi.

Kazan westchnął głęboko, pełen ulgi. Był okropnie znużony. Osłabł doszczętnie. Łapy miał zbite i krwawiące. Legł w śniegu, podczas gdy człowiek unosił do chaty kobietę i dziecko. Mężczyzna za parę minut wrócił. Podszedł tuż do Kazana i spojrzał na niego.

— Mój Boże! — rzekł z podziwem. — I ty dokonałeś tego sam jeden?!

Pochylił się bez cienia lęku, odpiął rzemień uprzęży i powiódł psa do chaty. Kazan stojąc w progu zawahał się na mgnienie. Nieco odwrócił czujny łeb; wydało mu się, że wśród wycia wichru złowił głos Szarej Wilczycy.

Potem drzwi chaty zatrzasnęły się za nim. Skulił się wnet w najciemniejszym kącie izby, podczas gdy mężczyzna schylony nad piecykiem przyrządzał coś ciepłego dla Joanny.

Minęło sporo czasu, nim Joanna wstała z tapczana, na którym ją obcy umieścił. Nieco później Kazan słyszał, że kobieta płacze. Mężczyzna nakarmił ją i rozmawiali czas jakiś. Wreszcie człowiek osłonił tapczan derą rozwieszoną na sznurze, a sam siadł przy ogniu. Wtedy Kazan przemknął wzdłuż ścian i wlazł pod łóżko swej pani. Długi czas słyszał zdławiony płacz kobiety, aż wszystko ucichło.

Nazajutrz rano, zaledwie mężczyzna otworzył drzwi, Kazan wypadł z chaty i pomknął w stronę lasu. W odległości pół mili napotkał świeży ślad Szarej Wilczycy i zawołał na nią. Odpowiedziała mu znad łożyska rzeki, więc skoczył w tym kierunku.

Próżno jednak wilczyca starała się go zwabić w głąb boru, dalej od chaty i ludzi. Nieco później obcy mężczyzna wprzągł do sań własne psy, a ze skraju gęstwiny Kazan spostrzegł, jak sadowi Joannę z dzieckiem wśród stosu futer. Wtedy ruszył za nimi i cały dzień biegł śladem sań, a Szara Wilczyca śmigała jego tropem. Tak wędrowali do zmroku. Po krótkim postoju przy lśnieniu księżyca i gwiazd obcy znowu gnał swoje psy. Wreszcie dotarli do nowej chaty i tu mężczyzna począł kołatać w drzwi. Błysnęło światło; drzwi się otwarły. Zabrzmiał powitalny okrzyk i nerwowy płacz Joanny. Kazan słyszał to wszystko ukryty w mroku. Po chwili zaś skręcił i pobiegł ku Szarej Wilczycy.

Mijały dnie i tygodnie, a czar kobiecej dłoni i kobiecych oczu trzymał Kazana na uwięzi. Jak w swoim czasie tolerował Piotra Radissona, tak teraz znosił obecność mężczyzny zamieszkującego z Joanną i dzieckiem pod jednym dachem. Wiedział zresztą, że ten człowiek jest bliski sercu kobiety, a oboje kochają maleńką Joasię. Dopiero trzeciego dnia Joanna zdołała zwabić psa do chaty i właśnie w tym czasie wrócił jej mąż wioząc sztywne ciało Piotra. A nieco później mąż Joanny znalazł na obroży Kazana wyryte jego imię i odtąd poczęto nań wołać po dawnemu.

O pół mili od chaty, u szczytu wielkiej skały zwanej przez Indian Słoneczną Skałą, Kazan i Szara Wilczyca znaleźli sobie legowisko; stamtąd niejednokrotnie odbywali łowieckie wyprawy w dolinę. Często dolatywało ku nim wołanie kobiety:

— Kazan! Kazan!

I tak przez całą zimę pies lawirował pomiędzy chatą a Słoneczną Skałą, pomiędzy uwielbieniem dla kobiety a miłością do Szarej Wilczycy.

Aż nadeszła wiosna, a wraz z nią Wielka Zmiana.

Rozdział VIII

WIELKA ZMIANA

Skały, urwiska i doliny przybrały cieplejszy odcień. Pąki topoli nabrzmiały silnie, gotowe pęknąć. Co dnia woń cedrów, sosen i jodeł mocniej nasycała powietrze, a po całej głuszy wśród borów i łąk perliście szemrały wezbrane wody, dążąc w kierunku zatoki Hudsona. W samej zatoce panował trzask i łomot pól lodowych prących cieśniną Roes Welcome, wrotami mórz arktycznych. Dlatego też wiatr kwietniowy przynosił jeszcze nieraz na wielkich skrzydłach mroźne tchnienie zimy.

Kazan zabezpieczył się dobrze od tego lodowatego podmuchu. Na Słonecznej Skale, wybranej przezeń na legowisko, powietrze ani drgnęło. Było tu wygodnie i ciepło, lepiej niż w jakimkolwiek innym zimowym schronieniu, więc Kazan słodko spał wyciągnięty na całą długość.

Szara Wilczyca leżała obok niego, spłaszczona na brzuchu, wystawiwszy przed piersią przednie łapy, czujnie węsząc i wytężając wzrok. W powietrzu bowiem obok żywicznego aromatu była woń ludzka. Wilczyca spoglądała na śpiącego psa niespokojnie i badawczo. Zjeżyła siwy włos na grzbiecie, widząc, jak bura sierść na barkach Kazana unosi się nerwowo na skutek jakiejś sennej wizji. Pisnęła cicho, gdy wargi psa drgnęły ukazując długie białe kły. Lecz Kazan spoczywał przeważnie nieruchomo, naprężając jedynie czasem mięśnie łap, barków i pyska, jak to zazwyczaj czynią śniące psy.

Opodal na równinie w progu chaty stanęła błękitnooka kobieta z lśniącym, ciemnym warkoczem przerzuconym

przez ra mię. Złożyła dłonie na kształt muszli, przycisnęła je do warg i zawołała głośno:

— Kazan! Kazan! Kazan!

Na wierzchołek Słonecznej Skały głos doleciał niby szept. Szara Wilczyca położyła uszy po sobie. Kazan drgnął, a w następnej chwili, zbudzony już, zerwał się na równe nogi. Skoczył potem na: skalny złom i wietrząc spojrzał w dolinę.

Wołanie kobiety dobiegło ku nim znowu i Kazan podreptał na krawędź skały. Tu przystanął i zaskomlił. Szara Wilczyca podeszła doń piszcząc lekko i oparła mu na karku siwy pysk. Nauczyła się rozumieć, co znaczy ten głos. Drżała przed nim dniem i nocą, lękając się go bardziej nawet niż zapachu ludzi.

Od czasu gdy dla Kazana zerwała z gromadą i całym swyrn dawnym życiem, głos ludzki stał się jej największym wrogiem. Nienawidziła go zażarcie. Odbierał jej towarzysza. Gdziekolwiek rozległo się wołanie, Kazan dążył za nim.

Noc po nocy pies zostawiał ją samą na długie nieraz godziny.

Wtedy włóczyła się po lasach i łąkach pod chłodnym migotem księżyca i gwiazd, nigdy nie odpowiadając na łowiecki zew dzikich sióstr i braci. Zazwyczaj, słysząc głos, warczała gniewnie lub gryzła lekko Kazana, by okazać mu swe niezadowolenie. Lecz dziś, gdy wołanie zabrzmiało po raz trzeci, umknęła chyłkiem w głąb mrocznej szczeliny pomiędzy dwie skały, skąd Kazan dostrzegał jedynie ognisty błysk jej ślepi.

Kazan nerwowo podbiegł ku ścieżce wydeptanej ich łapami, a wiodącej stokiem w dół. Tu stanął niezdecydowany. Dziś od rana i wczoraj przez cały dzień był niespokojny i niezrównoważony. Drażniło go coś wiszącego chyba w powietrzu, gdyż nie mógł tego ani dojrzeć, ani zwietrzyć, ani złowić słuchem. Lecz czuł coś najwyraźniej.

Zawrócił w stronę szczeliny i powąchał Szarą Wilczycę. Zazwyczaj skomliła poddańczo. Natomiast dziś odpowiedziała zmarszczeniem warg i ukazaniem mocnych kłów.

Głos zadźwięczał w oddali po raz czwarty i wilczyca kłapnęła paszczą, jakby chcąc ugryźć niewidzialną zjawę. Kazan znów podszedł do dróżki, niepewny jeszcze, co ma czynić. Potem za czął zstępować w dół. Był to wąski i powikłany szlak, ubity jedynie łapami i pazurami dzikich zwierząt. Słoneczna Skała, jako olbrzymi blok, górowała o sto stóp ponad wierzchołkami drzew niemal prostopadle, nagim szczytem łowiąc pierwsze błyski zorzy porannej i ostatnie promienie zachodu. Szara Wilczyca odnalazła kiedyś tę kryjówkę na pozór idealnie bezpieczną i pierwsza powiodła tu towarzysza.

Kazan znalazłszy się na dole już się nie wahał, lecz pomknął szybko w kierunku chaty. Miał w sercu silny instynkt pierwotnej natury i zawsze podchodząc do ludzkiej sadyby zachowywał wielką ostrożność. Nigdy też nie uprzedzał o swej wizycie. Joanna więc zdziwiła się prawie, gdy unosząc głowę znad kołyski dziecka spostrzegła w otwartych drzwiach kudłaty łeb i barki Kazana. Maleńka Joasia zaczęła wnet wierzgać nóżkami i szczebiotać radośnie, a wreszcie wdzięcznie gwarząc wyciągnęła do psa drobne rączki. Joanna również wyciągnęła dłoń.

— Kazan! — zawołała łagodnie. — Pójdź bliżej, Kazan!

W krwawych ślepiach psa gasł zwolna błysk dzikości. Kazan stąpił na próg i trwał tak chwilę, podczas gdy Joanna wabiła go bliżej. Raptem łapy ugięły się pod nim, ogon zwisł ku dołowi i pies zaczął pokornie pełznąć przez izbę, jakby mając na sumieniu jakieś przewinienie. Kochał istoty zamieszkałe w chacie, lecz samej chaty nienawidził. Nie znosił w ogóle wszelkich ludzkich domostw, gdyż śmierdziały mu jednakowo kijem, biczem i niewolą. Wzorem

wszystkich pociągowych psów wolał sypiać na dworze mając pod sobą miękki śnieg, a nad głową wierzchołki chojarów.

Joanna położyła mu dłoń na głowie i pod tym dotknięciem Kazan uczuł błogą radość. Była to hojna zapłata za nieobecność Szarej Wilczycy. Uniósł zwolna wielki łeb, aż oparł ciemny pysk na kolanach kobiety. Trwał tak długi czas, podczas gdy cudowna mała istotka — to dziecko będące dlań zawsze źródłem rozkoszy i zachwytu — targała go za uszy i łomotała mu po karku drobnymi nóżkami. Lubił żywiołowe, dziecinne pieszczoty bodaj jeszcze bardziej niż spokojne dotknięcie dłoni Joanny.

Stał ledwo dysząc, bez ruchu, jak sfinks, gdyż był mało wylewny z natury. To jego dziwne zachowanie się trwożyło męża Joanny. Przestrzegał ją niejednokrotnie. Lecz kobieta ceniła właśnie dzikość w oczach Kazana, jego niezależny charakter, swobodę poczynań. i nawet przyjaźń z wilczycą. Rozumiała go lepiej niż ktokolwiek inny i wierzyła mu bez zastrzeżeń.

Zresztą u schyłku zimy Kazan dowiódł raz jeszcze, jak cennym jest przyjacielem. Do chaty zawitał kiedyś traper z sąsiedztwa wraz ze swym zaprzęgiem i malutka Joasia przydreptała w pobliże jednego z wielkich huski. Nikt tego nie spostrzegł. Raptem rozległo się szczękanie kłów, rozpaczliwy krzyk Joanny, głośne wołanie mężczyzn mknących na ratunek. Lecz Kazan wyprzedził wszystkich. Jak ruda błyskawica wpadł na obcego psa i porwał go za gardło. Gdy odciągnięto go z trudem, huski już nie żył. Joanna wspominała, obecnie to zdarzenie patrząc, jak dziecko tarmosi łeb wilczura.

— Miły, stary Kazan! — zawołała pieszczotliwie, tuląc twarz do jego pyska. — Cieszymy się, że przyszedłeś do nas, bo jesteśmy dziś same na całą noc, Joasia i ja. Tatuś wybrał się do faktorii, więc ty musisz nas pilnować w jego nieobecności.

Połechtała mu nos koniuszkiem długiego warkocza. Ten figiel radował zawsze dziecko, gdyż Kazan, bez względu na swój stoicyzm, sapał stale głośno, a nieraz nawet kichał i strzygł uszami. Pies również lubił tę zabawę, bowiem zapach włosów Joanny był mu niezmiernie miły.

— Walczyłbyś w naszej obronie, prawda, piesku? — mówiła dalej Joanna. — Nie chcę, żebyś odchodził dziś wieczorem. Kazan, musisz spać w chacie!

Kazan udał się do swego kąta i legł posłusznie. Podobnie jak u szczytu Słonecznej Skały istniało w powietrzu coś, co wytrącało go z równowagi, tak i w tej izbie jakaś nieokreślona przyczyna działała mu teraz na nerwy. Węszył gorliwie, usiłując pochwycić tajemnicę. Zresztą, tak czy inaczej jego pani wykazywała również silne podniecenie. Wyciągała zewsząd różne drobiazgi i układała je w paczki lub zawiniątka. Późną nocą przed pójściem spać Joanna zbliżyła się do psa i pogładziła go pieszczotliwie.

— Wyjeżdżamy stąd, Kazan! — rzekła, a w jej drżącym głosie brzmiało coś na kształt łez. — Wracamy do domu, piesku! Wracamy do jego kraju, gdzie są kościoły i miasta, i tyle ludzi, i różne piękne rzeczy! A ty pojedziesz z nami!

Kazan nie zrozumiał nic z tej przemowy. Lecz był rad, że kobieta klęczy obok i przemawia doń tak łagodnie. W podobnych chwilach zapominał o Szarej Wilczycy. Pies brał górę nad wilkiem; kobieta i dziecko wypełniały sobą cały świat. Ale zaledwie Joanna położyła się spać i w chacie nastała cisza, wrócił dawny niepokój. Kazan wstał i po cichu jak złodziej począł krążyć po chacie obwąchując drzwi, ściany oraz wszystkie paczki zrobione przez Joannę. Z gardła wydzierał mu się niski skowyt. Joanna, drzemiąc już, usłyszała go i poczęła prosić sennie:

— Cicho, Kazan! Cicho! Spać!

Lecz Kazan stał jeszcze przez d, Kugi czas pośrodku izby, sztywny, rozdygotany wewnętrznie, nasłuchując

czujnie. Z daleka niezmiernie słabo dobiegło wycie Szarej Wilczycy. Ale nie był to zwykły płacz samotnej samki. Brzmiała w nim nowa nuta. Kazan drgnął. Skoczył do drzwi i pisnął, lecz Joanna, uśpiona już, nie słyszała go wcale. Zew doleciał znów, po raz drugi i ostatni. Potem zapadła cisza. Kazan przywarował u progu.

Joanna zbudziwszy się o świcie zastała go w tym samym miejscu. Był podniecony i podniósł uszy. Otworzyła mu drzwi i w jednej chwili znikł jej z oczu. Gdy tak mknął ku Słonecznej Skale, zdawał się ledwo tykać ziemi łapami. Poprzez łąkę widział nagi wierzchołek umalowany lśnieniem zorzy porannej.

Dotarł do wąskiej ścieżki i szybko piął się ku górze.

Szara Wilczyca nie przywitała go u szczytu drożyny, lecz czuł jej bliskość i mocną woń wczorajszej tajemnicy. Zesztywniał cały. W głębi piersi począł mu wzbierać głuchy grzmot. Już wiedział, co go tak podniecało ubiegłej doby. To było życie. Jakaś żywa istota wkroczyła do kryjówki wybranej przez niego i samkę. Wyszczerzył długie kły i warknął ściągając wargi, a obnażając dziąsła. Sztywno stawiając łapy, gotów do skoku, wyciągnął łeb i szyję i zbliżył się do szczeliny, w której Szara Wilczyca schroniła się poprzedniego dnia. Była tu i nadal, lecz prócz niej znajdowało się tam coś jeszcze.

Po chwili mięśnie Kazana zwiotczały. Zjeżona sierść legła miękko na karku, uszy strzeliły ku przodowi. Wciskając łeb i piersi między dwa skalne złomy pies zaskowyczał cicho. Szara Wilczyca odpowiedziała skomleniem. Kazan cofnął się zwolna i spojrzał na wschodzące słońce. Potem legł w ten sposób, że jego ciało odgrodziło szczelinę od reszty świata.

Szara Wilczyca była matką.

ROZDZIAŁ IX

DRAMAT NA S£ONECZNEJ SKALE

W ciągu całego dnia Kazan pilnował szczytu Słonecznej Skały. Najprzód los, potem brutalna przemoc panów wzbraniały mu dotąd rozkoszy ojcostwa, toteż był mocno zdziwiony. Coś szeptało mu na ucho, że obecnie należy strzec nie tyle chaty, co Słonecznej Skały. Tęsknota do kobiety znacznie osłabła. O zmroku Szara Wilczyca wylazła ze swej kryjówki, podpełzła do boku psa i skomląc targnęła go za kudłaty kark. A Kazan, wiedziony instynktem psich przodków, przejechał ciepłym ozorem po jej siwym pysku. Wtedy samka otwarła szczęki i poczęła oddychać szybko a głęboko jak zgonione zwierzę. Była ogromnie rada. Gdy zaś usłyszeli spomiędzy skał ciche sapanie, Kazan machnął ogonem a wilczyca wróciła co prędzej do swoich szczeniąt.

Głos nowonarodzonych istot i wrażenie jakie ten dźwięk wywarł na wilczycy, pouczył Kazana o obowiązkach ojcostwa. Instynkt obwieścił mu poza tym, że jego towarzyszka nie może się teraz udać na łowy i winna pozostawać na Słonecznej Skale. Toteż o wschodzie księżyca ruszył sam jeden w dół. a powrócił o brzasku niosąc w pysku ogromnego, białego królika. Szara Wilczyca posiliła się wnet żarłocznie i Kazan już wiedział, że należy teraz polować co noc dla dobra samki i małych wilcząt.

W ciągu paru następnych dni wcale nie odwiedzał chaty, jakkolwiek słyszał głosy kobiety i mężczyzny wzywające go natarczywie. Dopiero piątej doby pobiegł do sadyby ludzkiej. Joanna i Joasia były tak rade, że pieściły go na wyścigi, śmie jąc się i gwarząc, podczas gdy mężczyzna stał w pobliżu i przyglądał się tej scenie z wyraźnym niezadowoleniem w głębi źrenic.

— Nie dowierzam temu diabłu! — przemówił do żony po raz setny. — Ma w ślepiach zupełnie wilcze błyski. Należy do typu zdradliwych istot. Doprawdy, nieraz żałuję, że go przywiodłem tutaj!

— Gdyby nie on, cóż by się stało z Joasią! — przypominała Joanna lekko drżącym głosem.

— Ja... ja o tym zapomniałem! — usprawiedliwił się mężczyzna. — Kazan, stary diable, zdaje mi się, że i ja cię jednak lubię!

Przesunął dłonią po łbie psa.

— Ciekawy jestem — ciągnął dalej — jak mu się spodoba życie na południu? Przyzwyczajony jest do tutejszych borów. Na razie będzie chyba mocno zdziwiony!

— Ja również jestem przyzwyczajona do tutejszych stron! — szepnęła Joanna. — Zdaje mi się, że dlatego właśnie po tobie i małej kocham go najbardziej. Kazan, mój miły, stary Kazan!

Tym razem pies wyczuł i dojrzał jeszcze wiele innych zmian zaszłych w chacie. Gdy Joanna i jej mąż przebywali razem, bezustannie snuli dalsze plany, gdy zaś mężczyzna odchodził, kobieta dzieliła się myślami z małą Joasią i z Kazanem. I za każdym razem, gdy w ciągu następnego tygodnia pies odwiedzał chatę, on również zdradzał silniejsze podniecenie i niepokój.

— Zdaje mi się, że Kazan już wszystko wie! — rzekł pewnego ranka mąż Joanny. — Mam wrażenie, że on się domyśla naszego wyjazdu stąd na zawsze!

A nieco później dodał:

— Rzeka ponownie wezbrała! Podejrzewam, że nie będziemy mogli ruszyć prędzej niż za tydzień, a może i za dwa!

Tej nocy księżyc zalał jaskrawym światłem szczyt Słonecznej Skały i w złotej powodzi Szara Wilczyca opuściła

swoje leże, a wraz z nią dreptało troje wilcząt. Puszyste kłębki, wałęsające się wokół niego i raz po raz szarpiące go za kudły, z wielu względów przypomniały psu maleńką Joasię. Od czasu do czasu wydawały równie piskliwe i nieartykułowane dźwięki, a przewalały się na czterech koślawych łapkach równie niezdarnie jak dziecko na dwu tłustych nóżkach. Kazan nie pieścił szczeniąt, jak to czyniła Szara Wilczyca, lecz ich figle i piski napełniały go uczuciem zadowolenia, jakiego nie doznał nigdy przedtem.

Gdy ruszał na łowy, księżyc stał mu wprost nad głową i noc była jasna jak dzień. U stóp skały wielki, biały królik porwał mu się spod nóg. Kazan ruszył w pogoń. Cwałował tak dobre pół mili, aż instynkt wilczy przemógł psią naturę i kazał zaprzestać beznadziejnego pościgu. Kazan mógł bowiem dognać sarnę lub jelenia, lecz na drobną zwierzynę wilk i lis polują jednakowo, z zasadzki. Więc Kazan zaczął bobrować w chaszczach i zaroślach milczkiem jak cień. O dwie mile od Słonecznej Skały wystarczyły dwa tęgie susy, by zdobyć żer dla Szarej Wilczycy. Toteż Kazan zawrócił ku domowi, od czasu do czasu kładąc na ziemi siedmiofuntowego królika, by zażyć krótkiego wypoczynku.

Dotarłszy do wąskiej dróżki wiodącej na Słoneczną Skałę, przystanął raptem. Na wydeptanym szlaku trwał silny odór obcych stąpnięć. Królik wypadł Kazanowi z pyska. Pies zjeżył się cały. Woń którą czuł, nie była wonią kuny, gronostaja ani jeżozwierza. Ścieżką pięła się niedawno bestia o ostrych kłach i pazurach.

Wtem ze szczytu skały dobiegły ku niemu słabe odgłosy i Kazan z okropnym skowytem śmignął w górę. Dotarłszy do wierzchołka ujrzał scenę, która na mgnienie zmieniła go w kamień. Oddalona odeń o pięćdziesiąt stóp, tuż przy wejściu do szczeliny, Szara Wilczyca zmagała się z olbrzymim, siwym rysiem. Leżała właśnie pod brzuchem strasznego kota wrzeszcząc z bólu.

Kazan skoczył. Atakował milcząco i szybko jak wilk, odważnie, wściekle i roztropnie jak huski. Gdyby miał psa za przeciwnika, walka zostałaby rozstrzygnięta w jednej chwili. Lecz ryś nie był wilczurem ani wilkiem. Nie darmo Indianie Sarsi zwą go Mo-li, czyli „Szybki". Calowej długości kły Kazana winny były utonąć w jego tchawicy. Ale w drobnym ułamku sekundy ryś prysnął w bok niby wielka, puszysta kula i zęby psa chwyciły go za mięśnie bark. A nie szło tu przecie o równą walkę, o zapasy z psem lub wilkiem. Przeciwnik miał prócz kłów pazury ostre niby brzytwy.

Kazan bił się kiedyś z. rysiem schwytanym w sidła i nie zapomniał lekcji otrzymanej przy tej okazji. Starał się teraz przygnieść rysia do ziemi, nie pozwalając mu jednak paść na grzbiet, wiedział bowiem, że w tej pozycji straszny kot miałby ogromną przewagę. Jedno szarpnięcie tylnych łap wyprułoby psu wnętrzności.

Opodal Kazan słyszał jękliwe wrzaski Szarej Wilczycy i czuł,. że samka jest ciężko ranna. Miał w sobie siłę i odwagę dwu psów, a jego kły przebiły na wylot skórę i mięśnie na gardle rysia. Jednak olbrzymi kot uniknął śmierci. Zabrakło mu do niej pół cala. Kazan zrozumiał, że chcąc przeciąć tętnicę, należy chwycić po raz drugi. By to wykonać, rozluźnił szczęki.. Ryś na sekundę odzyskał swobodę ruchów. Błyskawicznie przewrócił się na grzbiet. I Kazan w tej pozycji porwał kota za gardło.

W mgnieniu oka pazury przeorały mu bok, nieco zbyt wysoko, by zabić. Dość jednak byłoby nowego ciosu, aby zadać śmierć. Lecz walczyli nad samą krawędzią skały i raptem ziemia umknęła spod nich. Milcząc w zacietrzewieniu runęli w dół. Odległość od podnóża wynosiła w tym miejscu z piętnaście metrów. Spadali wirując, a Kazan coraz głębiej wpijał kły w gardło wroga. Uderzyli o ziemię z okropną siłą: ryś pod spodem, pies na wierzchu. Wstrząs oderwał Kazana od wielkiego kota. i rzucił daleko w bok. Pies. natychmiast zerwał się na nogi, oszołomiony,

warczący, gotów do ataku. Ryś spoczywał płasko i bez ruchu. Kazan postąpił bliżej, wciąż mając się na baczności, i ostrożnie obwąchał martwe ciało. Coś mówiło mu, że walka się skończyła. Zawrócił więc i z trudem wgramolił się na górę.

Szara Wilczyca nie stała już na platformie zlanej miesięcz nym światłem. Tuż obok wielkiego głazu leżały zimne i sztywne ciała trzech wilcząt. Ryś podarł je na strzępy. Kazan z żałosnym jękiem podszedł do szczeliny i wsunął łeb między dwa skalne złomy. Samka ukryła się tam właśnie, skomląc bez przerwy okropnym, pełnym męki głosem. Pies wlazł do wnętrza i począł lizać jej krwawiącą głowę i pocięte barki. Jęczała nadal przez całą noc. Rankiem wypełzła z legowiska i dotarła v. trudem do trojga nieżywych szczeniąt.

Dopiero wtedy Kazan dostrzegł okrutne dzieło rysia. Szara Wilczyca bowiem oślepła; nie na dzień lub dwa, lecz na zawsze.

Udziałem jej stał się mrok, którego żadne światło nie mogło rozproszyć. Może znów instynkt zwierzęcy, mądrzejszy nieraz niż rozum ludziki, powiadomił Kazana o wszystkim. Pies już wiedział, że jego towarzyszka jest teraz okropnie bezradna, bardziej nawet niż owe szczenięta, które swawoliły w blasku księżycowym parę godzin temu. Toteż przez cały dzień nie opuszczał jej ani na chwilę.

Joanna próżno nawoływała swego ulubieńca. Gdy głos dobiegał do Słonecznej Skały, Szara Wilczyca ciaśniej tuliła do Kazana okaleczały łeb, a on kładł uszy w tył i lizał jej rany. Nad wieczorem opuścił ją na krótko i zbiegłszy w dół po pochyłości przyniósł białego królika zabitego poprzedniego dnia. Wilczyca obwąchała turzycę i mięso, lecz nie chciała jeść. Nieco później Kazan pociągnął ją za sobą. Nie miał wcale ochoty pozostawać dłużej na Słonecznej Skale; nie chciał też, by jego samka mieszkała tu nadal. Krok za krokiem wabił ją w dół krętą ścieżką, coraz

dalej od martwych szczeniąt. Poruszała się jednak tylko wtedy, gdy był tuż i mogła dotknąć nosem jego kudłatych bark.

Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie należało skoczyć z wystającej skały na paorostopową odległość, i tu Kazan zrozumiał, jak całkowicie nieporadna jest teraz Szara Wilczyca. Jęczała i ze dwadzieścia razy przypadała do ziemi, nim odważyła się dać susa; wreszcie skoczyła sztywnymi łapami i wywróciła się niezdarnie u nóg Kazana. Jednak po tym doświadczeniu pies nie potrzebował już jej tak przymuszać, gdyż zrozumiała dobrze, że jest zupełnie bezpieczna jedynie w bezpośredniej jego bliskości. Toteż na równinie biegła posłusznie tuż obok Kazana, dotykając barkiem jego bark.

Kazan kierował się ku zaroślom porastającym dno parowu odległe o pół mili, a na tak krótkiej przestrzeni Szara Wilczyca potknęła się ze dwanaście razy i niemal tyle samo razy upadła.

Za każdym upadkiem pies lepiej pojmował rozmiary jej kalectwa. Raz skoczył w pogoń za umykającym królikiem, lecz uczyniwszy ze dwadzieścia sus ów przystanął i spojrzał wstecz. Samka nie zrobiła ani kroku. Trwała bez ruchu, wietrząc, czekając jego powrotu. Kazan stał również dobrą chwilę i czekał na nią. Potem zawrócił. Ilekroć później porzucał ją niespodzianie, zawsze miał absolutną pewność, że zastanie ją na poprzednim miejscu.

Spędzili cały ten dzień wśród gęstych chaszczy. Dopiero nad wieczorem Kazan odwiedził chatę. Joanna i jej mąż byli w domu i oboje natychmiast dostrzegli rozdarty bok psa oraz jego poszarpany łeb i barki.

— Mało brakowało, żeby pozostał na placu boju! — rzekł mężczyzna obejrzawszy ramy. — Był to ryś lub niedźwiedź! Wilk nie potrafiłby tego zrobić!

Joanna zajęła się wnet opatrunkiem ran i pracowała przez dobre pół godziny, przemawiając przez cały czas łagodnym głosem i klepiąc psa łagodnie po łbie i karku. Ciepłą wodą zmyła zakrzepłą krew, potem namaściła skaleczenie gojącym balsamem i Kazan uczuł znów dawne palące pragnienie pozostania przy niej na zawsze. Przez długi czas pozwoliła mu leżeć z pyskiem u swych nóg, na skraju sukni, podczas gdy sama szyła coś dla małej Joasi. Potem zabrała się do przyrządzania kolacji, a pies wstał nieco chwiejnie i podszedł do drzwi. Gwiaździsta noc i Szara Wilczyca przyzywały go natarczywie, więc odpowiedział na to wołanie zgarbieniem bark i ponurym opuszczeniem łba. Szczęście, którego doznawał w bliskości Joanny pierzchło. Wybrawszy dogodny moment, wymknął się przez otwarte drzwi. Księżyc zajaśniał już na niebie, nim odnalazł Szarą Wilczycę. Przyjęła nadejście towarzysza cichym skowytem radości i niewidomym pyskiem popieściła jego kark. Pomimo kalectwa robiła wrażenie szczęśliwszej niż zdrowy i potężny Kazan.

W ciągu następnych dni trwała głucha, lecz ustawiczna walka między Szarą Wilczycą a kobietą. Gdyby Joanna wiedziała, kto leży w nadbrzeżnych chaszczach, gdyby choć raz dojrzała biedne zwierzę, dla którego Kazan był teraz wszystkim: słońcem, gwiazdami, księżycem i jadłem, bez wątpienia wycofałaby się z. tych zapasów. Lecz nieświadoma dramatu, coraz przemyślniej wabiła psa ku chacie i zwolna brała górę. . Upłynął tydzień od walki na Słonecznej Skale i nadszedł wreszcie wielki dzień. Poprzedniego wieczora Kazan zaprowadził Szarą Wilczycę na zadrzewiony cypel rzeczny i pozostawił ją tam idąc do chaty. Tym razem uwiązano mu do obroży mocny rzemień, którego drugi koniec został przytwierdzony do kółka w ścianie. Joanna i jej mąż wstali nazajutrz o brzasku. Słońce wschodziło właśnie, gdy opuszczali chatę wszyscy czworo: mężczyzna niosąc dziecko, a Joanna wiodąc psa na smyczy.

Kobieta odwróciła się, by zamknąć drzwi na skobel, i Kazan usłyszał w jej piersi cichy szloch. Na wodzie przy brzegu kołysała się duża łódź. Joanna wsiadła najpierw, trzymając małą Joasię, po czym przyciągnęła do siebie psa, aż legł całym ciałem aa jej stopach.

Gdy odbijali od brzegu, słońce grzało rozkosznie kark Kazana, więc przymknął oczy w błogim rozmarzeniu i oparł pysk na kolanach kobiety. Jej dłoń opadła miękko na jego łeb. Usłyszał ponownie ów dźwięk, którego wiosłujący mężczyzna nie zauważył: cichy szloch w głębi piersi.

Joanna pokiwała dłonią w kierunku chaty niknącej właśnie są kępą drzew.-

— Do widzenia! — zawołała żałośnie. — Do widzenia! — Raptem wtuliła twarz między Kazana a dziecko i rozpłakała się.

Mężczyzna złożył wiosła.

— Czy martwisz się, Joanno ? — spytał.

Prąd znosił teraz czółno tuż przy zalesionym cyplu lądu i woń Szarej Wilczycy uderzyła w nozdrza Kazana. Wstał i zaskomlił.

— Czy żal ci, że odjeżdżamy stąd? Joanna przecząco poruszyła głową.

— Nie! — odpowiedziała z pewnym wysiłkiem. — Tylko, że ja zawsze mieszkałam w lasach i tu... mój dom!

Cypel wraz z białą piaszczystą łachą pozostał w tyle. Kazan tkwił sztywny, zjeżony i patrzył. Człowiek zawołał nań, a Joanna uniosła głowę. Ona również dostrzegła zwierzę stojące niemal nad samą wodą i raptem smycz wymknęła się z jej palców, a błękitne oczy zajaśniały ogniście. Była to Szara Wilczyca. Zwróciła ślepe oczy w, stronę Kazana. Rozumiała już wszystko. Węch donosił to, czego nie widziały źrenice. Kazan stanowił wraz z ludźmi jedną gromadę i oddalał się coraz bardziej.

— Patrz! — szepnęła Joanna.

Mężczyzna spojrzał. Łapy wilczycy dotykały wody. A gdy łódź płynęła dalej, Szara Wilczyca siadła na piachu, uniosła łeb ku słońcu, którego nie mogła dojrzeć, i rozpaczliwym wyciem po raz ostatni przyzwała Kazana.

Łódź drgnęła. Bure cielsko śmignęło w powietrzu. Kazan skoczył.

Mężczyzna sięgnął po karabin. Joanna powstrzymała go śpiesznie, wyciągając dłoń. Była okropnie blada.

— Zostaw! Niech idzie! — krzyknęła. — Jego miejsce tam, przy niej!

A Kazan dotarłszy do brzegu otrząsnął wodę z burych kudłów i spojrzał ku Joannie.. Łódź wpływała na zakręt rzeki. Jeszcze chwila i znikłą mu z oczu. Szara Wilczyca wygrała.

ROZDZIAŁ X

POŻAR

Od czasu okropnej walki z rysiem u szczytu Słonecznej Skały Kazan coraz słabiej pamiętał dawne dzieje: swe wędrówki na czele pociągowych psów i łowy z wilczym stadem. Nie miał ich jednak nigdy całkowicie zapomnieć i do końca życia pojawiały się nieraz przed nim urywki minionych zdarzeń. Lecz jak człowiek otwiera nową erę wraz z małżeństwem, uzyskaniem kierowniczej posady lub zerwaniem dawnych więzów, tak dla Kazana wszystko zdawało się rozpoczynać z chwilą wybuchu dwu dramatów, które wydarzyły się niemal jednocześnie.

Pierwszym była walka na Słonecznej Skale, gdy ryś rozdarłszy szczenięta oślepił na zawsze jego piękną, wierną towarzyszkę. W zamian on zabił rysia. Lecz Szara Wilczyca nie odzyskała przez to wzroku. Zemsta nie usunęła kalectwa. Wilczyca nie mogła już polować wraz z nim wśród borów i prerii jak za dobrych czasów. Toteż na myśl o tej nocy Kazan zawsze warczał i ściągał wargi ukazując długie na cal, białe kły.

Drugim dramatem było zniknięcie Joanny, jej dziecka i męża. Coś bardziej nieomylnego niż rozum mówiło psu, że ludzie tu nie wrócą. Więc chadzał niejednokrotnie na cypel nadbrzeżny i tęsknie spoglądał na nurt, w który skoczył, by porzucając kobietę wrócić do Szarej Wilczycy.

I tak życie Kazana składało się obecnie z trzech zasadniczych elementów: nienawiści do wszystkiego, co miało woń rysia, tęsknoty do Joanny i dziecka oraz miłości dla Szarej Wilczycy. Było rzeczą naturalną, że nienawiść górowała nad innymi, gdyż na karb fatalnej walki kładł nie

tylko śmierć szczeniąt i kalectwo towarzyszki, lecz także odjazd kobiety wraz z dzieckiem. Od tej pory też stał się zawziętym wrogiem wielkich kotów. Ilekroć napotkał trop siwego drapieżcy, zmieniał się w ryczącego diabła, a szał ten rósł w nim z dnia na dzień i potężniał, w miarę jak opadały więzy cywilizacji.

Kazan uznał, że Szara Wilczyca jest mu teraz niezbędniejsza niż kiedykolwiek. Był w trzech czwartych psem i jako pies pożądał towarzystwa i przyjaźni. Nikt prócz Szarej Wilczycy nie mógł obecnie tej potrzeby zaspokoić. Byli samotni w puszczy. Najbliższa faktoria Kompanii Zatoki Hudsona leżała o sześćdziesiąt mil na zachód, najbliższe miasto o dwieście. Za czasów pobytu w chacie kobiety i dziecka Szara Wilczyca nieraz spędzała noce w samotności, próżno wzywając Kazana. Teraz Kazan nie porzucał jej wcale, gdyż bez niej czuł się nieswojo i źle.

Będąc kaleką nie mogła polować z nim razem, lecz zwolna powstał między nimi nowy kodeks porozumiewawczy, a jej ślepota dała im poznać wiele nowych spraw. Z nadejściem lata Szara Wilczyca umiała już dotrzymać kroku psu, o ile nie gnał zbyt szybko. Biegła u jego boku muskając go pyskiem lub barkiem, a on nauczył się pędzić kłusem, zamiast cwałować w podskokach. Pojął w krótkim czasie, że winien wynajdywać najłatwiejszy szlak dla swej ułomnej towarzyszki. Gdy docierali do miejsca, które należało przebyć jednym susem, Kazan pocierał pysk o jej barki i skomlił, a ona stawała wtedy nieruchomo, nasłuchując. Teraz Kazan skakał, a wilczyca rozumiała już, jaką odległość ma przebyć. Zresztą zawsze skakała zbyt daleko, co było poważną wadą.

Z drugiej strony jednak rozwinęła w sobie zdolności, które miały im później niejednokrotnie oddać nieocenione przysługi. Słuch i powonienie zajęły miejsce wzroku. Z każdym dniem bardziej wydelikacała te dwa zmysły, a jednocześnie ułożyła cały szereg porozumiewawczych

znaków, za pomocą których obwieszczała psu o wykrytych przez siebie nowinach. Wreszcie weszło w zwyczaj, że ilekroć stawali, by węchem lub słuchem badać otoczenie, Kazan zawsze spoglądał na swą towarzyszkę.

Po odjeździe Joanny i dziecka Kazan powiódł ślepą wilczycę ku gęstej kępie drzew szpilkowych rosnących w dole rzeki i tara pozostali aż do początku lata. Dzień w dzień przez szereg tygodni pies odwiedzał chatę, w której ongiś mieszkała Joanna z małą Joasią i mężem. Wałęsał się wokół niej beznadziejnie, próżno wyglądając jakichkolwiek śladów życia. Lecz drzwi były wciąż zamknięte. W oknach nadal czerniały okiennice i mocne zasuwy. Z glinianego komina nigdy nie bił słup dymu. Ścieżkę zaczęły porastać chwasty i pnącze, a woń ludzi, którą pies umiał jeszcze wyczuć tu i ówdzie, rzedła z każdym dniem.

Któregoś ranka znalazł pod oknem dziecięcy trzewiczek. Był stary, zniszczony, zrudziały od śniegu i deszczu. Lecz Kazan położył się obok i przetrwał tak długi czas,. podczas gdy maleńka Joasia, oddalona o tysiąc mil, zabawiała się dziwacznymi wytworami cywilizacji. Potem pies wrócił do Szarej Wilczycy ukrytej śród cedrów i choin.

Chata była jedynym miejscem, do którego ślepa samka nie chciała psu towarzyszyć. Poza tym zawsze i wszędzie znajdowała się u jego boku. Teraz kiedy przyzwyczaiła się już do swego kalectwa, biegła z Kazanem nawet i na łowy aż do chwili, gdy zwietrzył zwierzynę i ruszał w pogoń. Wtedy oczekiwała go cierpliwie, nie ruszając się z miejsca. Kazan polował zazwyczaj na wielkie śnieżne króliki. Lecz pewnej nocy zgonił i zabił młodą łanię. Łup był zbyt ciężki, by go wlec, toteż pies wrócił po Szarą Wilczycę i powiódł ją na plac uczty W miarę jak upływało lato, stawali się coraz bardziej nierozłączni, aż wreszcie po całej kniei ślady ich łap widniały zawsze tylko razem.

Teraz nadszedł pożar.

Szara Wilczyca zwietrzyła jego woń, gdy znajdował się jeszcze o dwa dni na zachód. Tego dnia słońce zaszło wśród mrocznych tumanów. Księżyc czerwieniał jak świeżo rozlana posoka. Gdy pojawia się w takiej postaci, Indianie zwą go krwawym miesiącem, a powietrze jest wtedy pełne złych wróżb.

Nazajutrz od samego rana Szara Wilczyca była ogromnie niespokojna, zaś około południa Kazan wywęszył w powietrzu złowieszczą przestrogę, którą jego samka zwietrzyła niemal

o dzień wcześniej. Specyficzna woń wzmagała się miarowo

i nieustannie, a pod wieczór słońce przygasło zasnute sinym welonem dymu.

Teraz powinna się była zacząć ucieczka wszystkich żywych istot zamieszkujących widły rzek Pipestone i Cree, lecz wiatr zmienił raptem kierunek. Była to wręcz fatalna okoliczność. Ogień gnał z południowego zachodu. Wiatr natomiast uderzył z zachodu na wschód, niosąc ze sobą dym i w czasie tej złudnej przerwy mieszkańcy trójkąta zawartego w ramionach dwu rzek czekali bezczynnie. To pozwoliło płomieniom ogarnąć podstawę trójkąta, zalać ją morzem ognia i odciąć ostatnią drogę ratunku.

Potem wiatr skręcił ponownie i dym runął na północ. Wierzchołek trójkąta stał się śmiertelną pułapką. Południową połać nieba przez całą noc kryła złowieszcza łuna, a rankiem żar, popiół i dym tamowały oddech.

Kazan, ogarnięty przerażeniem, próżno szukał możności ucieczki. Ani na chwilę nie porzucał Szarej Wilczycy. Mógłby z łatwością przepłynąć jedną z dwu rzecznych odnóg, lecz za pierwszym dotknięciem wody wilczyca cofała się z lękiem. Na równi z całym swym plemieniem wolała stawić czoło płomieniom i śmierci, niż puścić się wpław. Kazan nalegał. Kilkanaście razy skakał w bystry nurt i odpływał od

brzegu, lecz jego samka dążyła za nim poty tylko, póki czuła pod łapami twardy grunt.

Słyszeli już teraz głuchy łoskot ognia. Uciekał przed nim kto żył. Łosie, karibu i jelenie rzucały się w. toń bez wahania. Na białą piaszczystą łachę przykłusował wielki, czarny niedźwiedź z dwojgiem młodych i nawet niedźwiadki odważnie weszły do wody i bez trudu popłynęły na drugi brzeg. Kazan, przyglądający się im, zaskomlił do swej towarzyszki.

Lecz na wydmę wypadały teraz inne stworzenia obawiające się wody na równi z Szarą Wilczycą: wielki, tłusty jeżozwierz, śmigła kuna i skunks węszący gorliwie, a popłakujący niby chore dziecko. Istoty, które nie mogły lub nie chciały płynąć, trzykrotnie przewyższały liczbę tamtych szczęśliwców. Setki gronostai śmigały po brzegu jak szczury, gaworząc bez ustanku krzykliwymi głosami; lisy obiegały łachy i zarośla w poszukiwaniu zwalonego pnia, który mógłby stanowić most; ryś szczerzył kły zwrócony w stronę ognia, a pobratymcy Szarej Wilczycy, bure wilki, nie odważyli się stąpić w toń rzeczną dalej niż ona.

Kazan mokry i zdyszany, na pół zdławiony dymem i żarem podszedł znów do boku swojej samki. W pobliżu istniało już tylko jedno bezpieczne miejsce, a była nim wydma. Sięgała na pięćdziesiąt stóp ku środkowi rzeki. Pies szybko powiódł ku niej niewidomą towarzyszkę. Minąwszy niskie chaszcze stanęli raptem oboje jak wryci. Uderzyła ich nozdrza woń nieprzyjaciela bardziej jeszcze znienawidzonego niż ogień. Ryś objął już wydmę w posiadanie i rozłożył się na jej końcu. Trzy jeżozwie-rze dowlokły się nad sam brzeg wody i trwały tam zjeżone jak kolczaste piłki. Skunks szczerzył zęby w stronę rysia. A olbrzymi kot, kładąc uszy po sobie, obserwował psa i wilczycę wstępującą, na białą smugę piasku.

Wierna samka gotowa była do walki i szła bark w bark z Ka-zanem ukazując białe kły. Kazan osadził ją na miejscu

gniewnym kłapnięciem szczęk, więc stanęła drżąc i skomląc, podczas gdy on sunął naprzód sam. Kroczył stawiając lekko łapy, z uszami wysuniętymi ku przodowi, na pozór ani zły, ani wrogi. Była to taktyka psa huski zaprawionego do śmiertelnych zapasów, wielokrotnego zabójcy. Cywilizowany człowiek miałby niezłomne przekonanie, że pies jest pełen pokojowych zamiarów. Lecz ryś dobrze rozumiał, jak się rzecz ma w istocie. Dzieliła ich zresztą wiekowa nienawiść spotęgowana ze strony psa wspomnieniem dramatu na Słonecznej Skale.

Instynkt uprzedził skunksa, co ma zajść niebawem, więc przywarował ostrożnie; jeżozwierze gderząc swarliwie na widok tylu wrogów i gęstniejących kłębów dymu jeszcze bardziej najeżyły ostre szpilki. Ryś leżał na brzuchu jak kot, tylko tylne łapy mu drgały, napięte do skoku. Kazan zdawał się prawie nie tykać piasku, tak lekko krążył wokół przyczajonej bestii. Ryś wirował w miejscu śledząc wroga lśniącymi oczyma i raptem strzelił w powietrze niby futrzany kłąb, od razu przebywając przestrzeń ośmiu stóp dzielącą go od psa.

Kazan nie uskoczył w bok. Nie próbował nawet uniknąć ataku, lecz odparował go całą siłą muskularnych bark. Ważył

o dziesięć funtów więcej niż ryś i wielki kot, odbity jak piłka, odleciał na bok. Kazan błyskawicznie wyzyskał odpowiedni moment sięgając kłami do karku rysia.

W tej chwili ślepa wilczyca runęła naprzód, groźnie rycząc

i spod brzucha Kazana chwyciła jedną z tylnych łap kota. Trzasnęła miażdżona kość. Ryś wlokąc za sobą obu przeciwników uskoczył wstecz i wpadł na jeżozwierza. Setka ostrych kolców wdarła się w jego ciało. Wtedy wrzasnął okropnie, wyrwał się szczękom psa i wilczycy i pomknął w las, na spotkanie pożogi. Kazan nie gonił go. Szara Wilczyca zbliżyła się do swego samca i poczęła lizać szorstkie futro

splamione świeżą, szkarłatną krwią. Skunks leżał niby martwy, obserwował jednak wszystko i wszystkich dwojgiem złośliwych ślepi. Jeżozwierze rozprawiały nadal skrzekliwie jakby prosząc o" łaskę. I oto gęsta, czarna, dusząca ława dymu wypełzłszy z boru pokryła wydmę, a jednocześnie buchnął żar niby z rozpalonego pieca.

Kazan i Szara Wilczyca przywarowali na najdalszym krańcu piaszczystego cypla, zwinięci w kłębki i wetknąwszy nosy pod brzuchy. Ogień był teraz bardzo blisko. Trwał donośny huk niby grzmot wodospadu, a czasem rozlegał się ostrzejszy trzask padającego drzewa. Powietrze gęstniało od popiołu i czerwonych iskier. Kazan dwukrotnie unosił łeb warcząc na żarzące się kawałki gałęzi, które opadając mu na kark piętnowały go boleśnie.

Wzdłuż łożyska rzeki rósł zwarty, zielony zagajnik i ogień dotarłszy doń płonął wolniej, przez co i gorąco znacznie osłabło. Minęło jednak sporo czasu, nim Kazan i Szara Wilczyca mogli wysunąć pyski spod brzuchów i odetchnąć swobodniej.

Wtedy pojęli, że ocaleli jedynie dzięki piaszczystej wydmie. Cały trójkąt zawarty w rzecznych widłach spopielał i sczerniał.

Dym zanikał. Wiatr skręcił ponownie, niosąc z zachodu i północy świeży podmuch. Skunks odmaszerował pierwszy w stronę lądu. tam gdzie niegdyś istniały lasy. Lecz gdy z kolei Kazan i Szara Wilczyca opuścili wydmę, jeżozwierze trwały wciąż jeszcze bez ruchu, zwinięte w kłębki. Pies i wilczyca rozpoczęli wędrówkę w górę rzeki i nim noc zapadła, łapy im obrzękły od gorącego popiołu i tlących się głowni.

Księżyc lśnił tej nocy dziwacznie i złowieszczo jak plama krwi, a w ciągu długich, mrocznych godzin nawet hukanie sów nie przerywało ciszy w krainie, która jeszcze tak niedawno była rajem wszelkich dzikich istot. Kazan wiedział, że o łowach nie ma co marzyć, toteż wędrowali uparcie aż

do świtu. Nad ranem spotkali wąskie pasmo mokradeł rozciągające się nad łożyskiem rzeki. Bobry zbudowały tutaj tamę, która umożliwiała przejście na drugą stronę rzeki w okolice nie nawiedzone pożarem. Kroczyli jednak jeszcze przez cały dzień i całą noc, aż dotarli wreszcie do krainy gęstych borów i wielkich moczarów nad Waterfound.

W tym samym czasie gdy Kazan i Szara Wilczyca nadchodzili z zachodu, z faktorii Kompanii Zatoki Hudsona wędrował ku wschodowi ciemnolicy, półkrwi Francuz, Henryk Loti, najznamienitszy w tych stronach łowca rysi. Poszukiwał tropów i znalazł je w obfitości rozsiane wzdłuż Waterfound. By} to raj łownej zwierzyny, a śnieżne króliki hasały tysiącami. Zatem i ryś chadzał często. Więc Henryk zbudował sobie chatę, po czym wrócił do faktorii, by wnet po pierwszych śniegach przybyć z zaprzęgiem psów, zimowymi zapasami i doborem sideł.

A z południa to wodą, to lądem wędrował właśnie zwolna młody zoolog gromadzący materiał do dzieła pod tytułem Rozum dzikich zwierząt. Nazywał się Paweł Weyman i już zawczasu porozumiał się z Henrykiem Lotim chcąc spędzić w jego towarzystwie część miesięcy zimowych. Miał przy sobie stos papieru, aparat fotograficzny i portrecik młodej dziewczyny, zaś jako jedyną broń — scyzoryk.

Tymczasem Kazan i Szara Wilczyca po gorliwym poszukiwaniu znaleźli legowisko wśród gęsto zadrzewionych moczarów o pięć lub sześć mil od chaty zbudowanej przez Metysa.

ROZDZIAŁ XI

ZAWSZE RAZEM

Na początku stycznia przewodnik z faktorii dowiózł Pawła Weymana do chaty Henryka Lotiego nad Waterfound. Zoolog był mężczyzną lat trzydziestu dwóch lub trzech, pełnym żywotnej energii, i dlatego właśnie Loti polubił swego gościa od pierwszego wejrzenia. Gdyby nie to, pobyt w chacie mógłby się zacząć niezbyt przyjemnie, gdyż Metys był w wyjątkowo podłym humorze. Zaraz pierwszego wieczora, gdy siedząc przy ogniu ćmili fajki, wyjawił, co ma na sercu:

— Co za dziwny wypadek! — zaczął ze złością. — Straciłem już tej zimy siedem rysi złowionych w sidła! Ktoś pokiereszował je tak dalece, że wyglądały niby zające wydarte z lisiego pyska. Żaden zwierz nie robił tego poprzednio, nawet niedźwiedź! Widzę coś podobnego po raz pierwszy w życiu. A tak są poszarpane, że w faktorii nie dadzą ani pół dolara od sztuki. Siedem skór to przeszło dwieście dolarów straty! To robota dwóch wilków, dwóch, wyczytałem to z tropu! Wciąż chadzają razem, nigdy w pojedynkę. Włóczą się wzdłuż mojej linii sideł i żrą króliki schwytane w pastki. Nie ruszą wydry ani skunksa, ani kuny, ani gronostaja, ale ryś! O, psiakrew, zdzierają z niego futro, jakby kto strącał z suchych krzaków kłębki dzikiej bawełny. Próbowałem już kłaść strychninę w gałkach sarniego łoju, zastawiałem żelaza, i „martwe łapki", ale nie mogę ich dostać! A jednak albo ja stąd zwieję albo one! Bo przecież mam dotąd w komorze tylko pięć dobrych skór rysich, a siedem w łachmanach!

Ta opowieść zelektryzowała Weymana. Należał on do tych, którzy wierzą, iż duma człowieka jako pana stworzenia

czvni go ślepym na najcelniejsze przejawy rozumu innych żywych istot. Toteż z zapałem, który mu zyskał wszechświatowy rozgłos, zwalczał ogólne przekonanie, że tylko człowiek posiada logikę myślenia, a zwierzęta posługują się wyłącznie instynktem. Fakty wyczute poza żałosną opowieścią trapera wydały mu się niezmiernie ważne i aż do północy rozmawiano o dwóch niezwykłych wilkach.

— Jeden wilk jest duży, drugi mniejszy! — opowiadał Loti. — I właśnie duży zawsze prowadzi walkę. Widzę to po śladach. Podczas kiedy ten się bije, mniejszy wilk krąży w pobliżu, a dopiero gdy ryś padnie martwy lub ciężko ranny, nadbiega i razem już rwą kota na strzępy. Na śniegu widać dobrze, co i jak! Tylko raz spostrzegłem, że mały i duży walczyły wspólnie. Było wtedy wszędzie moc krwi, ale nie tylko krwi rysia. Szedłem później za tą parą zbójów dobrą milę, gdyż broczyli mocno!

W ciągu następnych dwu tygodni Weyman uzupełnił swą książkę wieloma ciekawymi spostrzeżeniami. Co dnia wzdłuż linii sideł trapera spotykali ślady bytności wilczej pary i literat stwierdził, że zgodnie ze słowami Metysa zwierzęta szły zawsze razem, nigdy oddzielnie. Kiedyś odwiedzili potrzask, w który wpadł ryś, i na widok strzępów futra Loti klął na przemian po francusku i po angielsku, aż mu twarz nabiegła krwią.

Weyman znalazł miejsce, w którym mniejszy wilk oczekiwał siedząc w śniegu, podczas gdy większy zwierz mordował rysia. Nie podzielił się z Henrykiem swymi myślami. Lecz z każdym dniem nabierał głębszej pewności, że znalazł już, choćby częściowo, dramatyczne wyjaśnienie tajemnicy. Zagadka linii sideł miała bezwzględnie rozumowy podkład.

Dlaczego! wilki nie mordują skunksów, wydr czy gronostajów? Dlaczego zwalczają tylko rysie?

Weyman był silnie podniecony. Kochał dzikie zwierzęta i z tej przyczyny nigdy nie nosił ze sobą fuzji. Gdy spostrzegł, jak Henryk zakłada trutki, doznał przykrego uczucia; a gdy stwierdził, że śmiertelna przynęta pozostaje nie naruszona, uradował się w głębi duszy. Miał wyraźną sympatię dla odważnej pary. Pewnego wieczora nagle zwrócił się do Henryka.

— Czy cię to nigdy nie trapi, że mordujesz taką ilość zwierząt? — spytał.

Loti wytrzeszczył zdumione oczy, a potem przecząco poruszył głową.

— Zabiłem tego już parę tysięcy — rzekł niedbale. — I zabiję z czasem drugie tyle!

Weyman nie spuszczał wzroku z twarzy Metysa.

— Takich jak ty, Henryku, jest ze dwadzieścia tysięcy w tej połaci kraju! Mordujecie wszyscy, i to od wieków, a jednak nie udało się wam dotąd wytępić dzikich stworzeń. Można by to nazwać wojną ludzi ze zwierzętami. Lecz ja mam pewność, że i za pięćset lat zwierzęta nie wyginą. Niemal cały świat się zmienia, ale jakże tu przeobrazić owe tysiące mil kwadratowych trudno dostępnych skał, borów i oparzelisk. Tu kolej nie przyjdzie i składam za to Stwórcy serdeczne dzięki. Ach, ta kolej! Weź choćby owe wielkie prerie na zachodzie. Szlaki bawole cięły je ongiś we wszystkich kierunkach. A teraz... Czyś kiedy słyszał o północnym Battlefort?

— Czy to w kierunku Montrealu albo opodal Quebecu? Weyman uśmiechnął się i jednocześnie wyjął z kieszeni fotografię. Był to portret młodej dziewczyny.

— Nie, to daleko na zachód, w krainie Saskatchewanu! Przed siedmiu laty zaglądałem tam często, żeby polować na dzikie ptactwo, kujoty i elki. Miasto jeszcze wtedy nie istniało i jak okiem sięgnąć leżały dziewicze prerie. Tylko nad Saskatchewanem, w miejscu gdzie teraz jest Battlefort,

tkwiła samotna chata, w której okazywano mi gościnność. W chacie mieszkała dwunastoletnia dziewuszka. Chodziliśmy razem na łowy, gdyż w owych czasach byłem zapalonym myśliwym. Dziewczynka płakała nieraz, kiedy zabijałem jakie zwierzę, a ja szydziłem z jej przeczulonych nerwów!

Potem zbudowano linię kolejową jedną i drugą. Przecięły się w pobliżu chaty i raptem jak grzyb po deszczu wyrosło miasto. Przed siedmiu laty stał tylko jeden dom. Przed dwoma było już tysiąc osiemset ludzi. W tym roku, gdy wstąpiłem tam po drodze, ludność liczyła pięć tysięcy głów, a jeszcze za dwa lata podwoi się niechybnie!

W miejscu, w którym stała chata, wznoszą się trzy banki o kapitale zakładowym czterdziestu milionów dolarów; nocą o dwadzieścia mil w krąg widać światła elektryczne. Miasto posiada szkołę powszechną i wyższą uczelnię, szpital i straż ogniową, dwa kluby i izbę handlową, a w najbliższym czasie otrzyma tramwaj elektryczny. Pomyśl tylko, przed niewielu laty wyły tam wilki!

I dziewczynka z chaty wyrosła na młodą pannę, a jej rodzice są bogaci! Nie dbam o to zresztą! Najważniejsze, że wiosną będzie nasz ślub! Wychodzi za mnie, bo gdy miała lat szesnaście, przestałem na jej prośby mordować dzikie zwierzęta. Ostatnią moją krwawą zdobycz stanowiła wilczyca z małem. Eila przygarnęła wilcze szczenię. Teraz biega za nią jak pies. Toteż ponad wszystkie dzikie istoty przekładam wilki i mam nadzieję, że te dwa nie postradają życia na twej linii sideł! Henryk patrzał na swego gościa pełen zdumienia. Weyman podał mu fotografię. Był to portret młodej dziewczyny o łagodnej twarzyczce. Kąty ust Metysa drgnęły nerwowo.

— Moja lowaka zmarła przed trzema laty! — rzekł. — Ona również kochała dzikie zwierzęta! Ale te wilki... Ech, do czarta! Toż one mnie stąd wygryzą, jeśli ja ich nie zgnębię!

Dorzucił paliwa do ognia i bez słowa już począł sobie przygotowywać posłanie.

Któregoś dnia trapera olśnił genialny pomysł. Weyman szedł obok niego, gdy ujrzeli świeże ślady rysia. Tuż znajdował się wielki stos zwalonych drzew, który miał cztery do pięciu metrów wysokości; w jednym miejscu pnie i konary utworzyły coś w rodzaju jaskini szczelnie zamkniętej z trzech stron. Na śniegu leżała gęsta sieć tropów osnuta sierścią króliczą. Henryk uradował się bardzo.

— Dostaniemy je, to fakt! — rzekł dziarsko.

Zbudował schron, ustawił potrzask i rozejrzał się w krąg krytycznym okiem. Potem wyłuszczył gościowi swój plan: Jeśli ryś wpadnie w żelaza, a wilki przyjdą go zabić, walka odbędzie się właśnie w tej jaskini zrobionej z pni i konarów. By dosięgnąć swej zdobyczy, czworonożni zbóje będą musieli przeciąć otwartą przestrzeń. Więc Henryk ustawił pięć mniejszych sideł maskując je zręcznie liśćmi, mchem i śniegiem. Były o tyle oddalone od głównego potrzasku, że ryś miotając się na końcu łańcucha nie mógł w nie wpaść.

— W czasie walki wilk będzie skakał to tu, to tam i złapie się niechybnie! — dowodził Metys. — Ominie jedną łapkę, dwie, może trzy, lecz wreszcie sidła go chwycą!

Tego ranka spadł puszysty śnieg uzupełniając dzieło, gdyż pokrył ślady stóp i zniweczył zdradliwą woń ludzką. Lecz nocą Kazan i Szara Wilczyca mijali zwał drzew w odległości stu stóp i delikatne powonienie ślepej samki wykryło w powietrzu jakąś niepokojącą pozostałość. Powiadomiła o tym psa naciskając barkiem jego bark, a wnet potem skręcili pod kątem prostym i manewrując pod wiatr opuścili linię sideł.

W ciągu dwóch dni i trzech mroźnych, wyiskrzonych gwiazdami nocy nie zaszło nic nowego. Henryk rozumiał przyczynę chwilowego rozejmu i poinformował o niej Weymana. Ryś jest systematycznym łowcą i posiada własny

teren myśliwski, którego obchód trwa zazwyczaj tydzień. Obecnie musiał się oddalić; należało cierpliwie czekać, aż wróci.

Piątej nocy ryś nadszedł w istocie. Gdy mijał zwał drzew, dał się zwabić przynęcie, a stalowe szczęki potrzasku chwyciły go za jedną z tylnych łap. Kazan i Szara Wilczyca, którzy włóczyli się właśnie po lesie w odległości ćwierć mili, usłyszeli brzęk łańcucha, kot bowiem rwał go i szarpał chcąc odzyskać wolność. W dziesięć minut później stali już przy wejściu do drzewnej jaskini.

Była jasna, przejrzysta noc, tak gorejąca światłem gwiazd, że nawet człowiek mógłby polować przy ich blasku. Ryś wyczerpany w nierównych zapasach, leżał na brzuchu odpoczywając, gdy Kazan i Szara Wilczyca nadeszli z głębi boru. Samka, jak zwykle, pozostała w tyle, natomiast Kazan rozpoczął kroki wojenne.

Gdyby ryś posiadał zupełną swobodę ruchów, pies poległby w pierwszej z tych walk z przeciętą tętnicą na szyi lub wyprutymi wnętrznościami. Wielkie koty przewyższały go bowiem zdolnością bojową, jakkolwiek najtęższy z nich ważył dobre dziesięć funtów mniej. Na Słonecznej Skale uratował go jedynie przypadek. Na wydmie w czasie pożaru zarówno Szara Wilczyca, jak i jeżozwierz dopomogli mu do zwycięstwa. A na linii sideł Henryka Lotiego potrzaski stanowiły wiernych sprzymierzeńców. Lecz nawet gdy ryś był na pół bezwładny, Kazan ryzykował grubo. Zaś wobec kota schwytanego ryzykował więcej niż kiedykolwiek.

Ryś był starym zabijaką w wieku lat sześciu lub siedmiu. Pazury miał przeszło na cal długie, a zakrzywione jak tureckie szable. Władał swobodnie obiema przednimi łapami i jedną tylną. Gdy pies sunął naprzód, ryś cofnął się w głąb pieczary, aż zebrał pod sobą kłąb łańcucha. Teraz Kazan nie mógł użyć ulubionej taktyki. Zazwyczaj bowiem póty krążył wokół schwytanego kota, aż ten usiłując mu stawić czoła oplatał się łańcuchem lub też zagmatwał go ograniczając

sobie tym samym swobodę ruchów. Należało atakować z frontu. Raptem pies skoczył. Uderzyli o siebie z wielką siłą. Kazan usiłował chwycić kota za gardziel, lecz chybił. Nim zdołał poprawić chwyt, ryś wyrzucił ku przodowi łapę i nawet Szara Wilczyca usłyszała chrzęst dartego mięsa. Kazan odleciał w tył mając bark rozcięty do samej kości.

Od powtórnego skoku, a co za tym idzie od niechybnej śmierci, ocaliło go jedno z zamaskowanych sideł. Stalowe szczęki capnęły go za przednią łapę i gdy usiłował atakować ponownie, łańcuch szarpnął go wstecz wpół skoku.

Zdarzyło się już raz, że Szara Wilczyca czując instynktownie, iż Kazanowi grozi zguba, dopomogła mu do zwycięstwa. I teraz więc słysząc skowyt bólu runęła psu z pomocą. Trąciła łapami dwa spośród pięciu potrzasków zastawionych przez trapera. Upadła na bok groźnie warcząc. Kazan, miotając się gwałtownie, zamknął dwa ostatnie sidła. Jedno chybiło. Drugie capnęło go za tylną nogę.

Działo się to wnet po północy. I od tej chwili aż do rana ryś, wilczyca i pies darli pazurami śnieg i ziemię usiłując odzyskać wolność. Rankiem cała trójka leżała ciężko dysząc, wyczerpana do cna, krwawiąc z wielu ran. Wyczekując nadejścia człowieka i — śmierci.

Henryk Loti i Paweł Weyman opuścili chatę o brzasku. Gdy skręcili od głównej linii sideł w bok, ku zwałowi drzew, Metys wskazał na śniegu tropy Kazana i Szarej Wilczycy, a jego ciemna twarz pojaśniała radością. Dotarłszy do pieczary stanęli i trwali chwilę milcząc, oszołomieni niezwykłym widokiem; nawet traper nie oglądał jeszcze dotąd nic podobnego.

Lecz zdziwienie nie mogło na czas dłuższy stłumić w. duszy Henryka instynktu myśliwskiego. Wilki leżały bliżej; unosząc karabin, gotował się już wsadzić kulę w mózg Kazana, gdy Weyman porwał go za rękaw. Literat był

niezmiernie podniecony. Wpił palce w ramię Metysa. Na szyi Kazana dojrzał pasmo obroży.

— Czekaj! — zawołał gromko. — To przecie nie wilk, to pies!

Traper zniżył karabin i wpatrzył się niedowierzająco. Weyman natomiast przeniósł wzrok na Szarą Wilczycę. Zwrócona ku nim pyskiem szczerzyła białe kły grożąc wrogom, których nie mogła dojrzeć. Ślepe oczy były zamknięte. Na miejscu źrenic widniały blizny porosłe sierścią.

— Patrz! — krzyknął znów Weyman. — Patrz, na Boga!

— Ten pierwszy to pies, dziki pies, który umknął w lasy. A drugi to wilk! — mówił Metys.

— Ale ślepy! — zawołał Weyman.

— Oui, ślepy! — przyświadczył Henryk w zdumieniu, częściowo posługując się francuskim. Ponownie uniósł fuzję. Weyman powstrzymał go stanowczo.

— Nie zabijaj ich! — rzekł. — Daruj mi je żywcem! Oblicz, ile cię kosztowały zmarnowane skóry rysie, dodaj cenę dwu wilczych, a ja zapłacę! Chcę mieć tę parę! Mój Boże, pies i ślepa wilczyca chadzają razem!

Trzymał wciąż jeszcze dłoń na ramieniu Metysa, a on spoglądał nań, jakby nie rozumiejąc, o co chodzi. Weyman mówił dalej, zarumieniony, z lśniącymi oczyma.

— Pies i ślepa wilczyca żyjący razem! Jakież to niezwykłe! Gdy moja książka wyjdzie, ludzie miejscy powiedzą, że przeholowałem stanowczo. Ale będę miał dowody! Nim zabijesz rysia, zrobię tuzin zdjęć. A psu i wilczycy daruję życie! Zapłacę ci za nie po sto dolarów od sztuki! Zgadzasz się, Henryku?

Metys skinął głową. Trzymał karabin w pogotowiu, podczas gdy Weyman czynił niezbędne przygotowania. Na trzask aparatu ryś i wilczyca odpowiedzieli zgodnym

obnażeniem kłów. Jedynie Kazan warował milcząc, nie ze strachu bynajmniej, lecz w poczuciu wyższości ludzkiej istoty. A gdy Weyman skończył robić zdjęcia, podszedł niemal tuż do psa i przemówił doń łagodniej nawet, niż niegdyś przemawiał mężczyzna żyjący pod jednym dachem z Joanną.

Wreszcie Metys zastrzelił rysia, a na huk wystrzału Kazan zwinął się na miejscu i począł dziko kłapać zębami w stronę konającego wroga. Potem za pomocą drąga i pętli wyciągnięto psa spod zwału drzew i zaprowadzono go do chaty Lotiego, Dopiero wtedy obaj mężczyźni, zaopatrzeni w pęk rzemieni i mocny wór, poradzili sobie z Szarą Wilczycą. Resztę dnia ludzie zużytkowali na budowę mocnej klatki zbitej z młodych pniaków i nad wieczorem umieszczono w niej jeńców.

Przedtem jednak Weyman dokładnie zbadał poszarpaną obrożę na szyi psa. Na metalowej płytce znalazł wyryte słowo „Kazan", co też skwapliwie odnotował w notesie.

Zdarzało się teraz niejednokrotnie, że literat nie towarzyszył traperowi w jego myśliwskich wycieczkach, lecz pozostawał w pobliżu klatki. Po upływie doby odważył się wsunąć dłoń między kraty i dotknąć łba Kazana, a po następnych dwudziestu czterech godzinach pies przyjął z jego dłoni kawał surowego mięsa. Lecz Szara Wilczyca za zbliżeniem Weymana kryła się zawsze pod stos jedliny zwalonej w rogu więzienia. Instynkt przodków mówił jej, że człowiek jest odwiecznym wrogiem wilczego plemienia. Jednak ten człowiek nie krzywdził nikogo, a Kazan nie obawiał się go wcale. Na razie trwożyło ją to okropnie; potem napawało zdumieniem, a wreszcie wielką ciekawością. Począwszy od trzeciego dnia, ilekroć Weyman podszedł do klatki i zawierał z Kazanem bliższą znajomość, wysuwała łeb spomiędzy gałęzi i węszyła gorliwie. Lecz nic nie jadła. Literat zauważył to natychmiast i począł ją kusić doborowymi kawałami jeleniego lub łosiego sadła. Minęło

trzy, cztery, pięć dni, upłynął tydzień, a wilczyca nie przełknęła ani kęsa pożywienia. Można już jej było policzyć wszystkie żebra.

— Umrze! — rzekł raz Henryk Loti. — Padnie z głodu, a nie będzie żarła w klatce! Tęskni do lasu, do łowów, do świeżej krwi!

Ma już ze dwa, trzy lata, jest więc za stara, żeby dać się oswoić!

Metys legł spać o zwykłej porze, lecz Weyman był zdenerwowany i czuwał późno w noc. Napisał długi list do dziewczyny z Battlefort, potem zgasił światło i w rudym blasku ognia łowił wspomnienie jej twarzy. Widział ją ponownie taką, jaka bywała w czasie jego pierwszych łowieckich wycieczek: błękitnooką, rumianą i w koronie puszystych włosów. Nienawidziła go wtedy serdecznie, gdyż lubił zabijać. Parsknął śmiechem na samo to wspomnienie. Jakże go urobiła na swoją modłę.

Wstał, uchylił drzwi i wyszedł. Instynktownie zwrócił wzrok na zachód. Niebo lśniło światłem gwiazd. W ich blasku dojrzał klatkę i trwał przez chwilę bez ruchu, obserwując ją w milczeniu. Dobiegł go jakiś dźwięk. To Szara Wilczyca gryzła pniaki stanowiące mury jej więzienia. Po chwili zabrzmiał niski płaczliwy skowyt i Weyman zrozumiał, że to Kazan tęskni do utraconej wolności.

Oparta o ścianę chaty stała siekiera. Weyman ujął ją krzepko i uśmiechnął się. Był ogromnie szczęśliwy i miał wrażenie, że o tysiąc mil, w dużym mieście nad Saskatchewanem, dusza dziewczęca podziela jego radość. Podszedł do klatki. Kilkanaście ciosów i dwa bale pękły. Wtedy cofnął się. Szara Wilczyca pierwsza odnalazła wyłom i niby cień śmignęła przezeń na otwartą przestrzeń. Nie uciekła jednak. Czekała na psa, a gdy nadbiegł, trwali oboje przez długą chwilę milcząc i bez ruchu, pyskami obróceni w

stronę chaty. Potem pokłusowali w las, a bark Szarej Wilczycy muskał bark Kazana.

Weyman odetchnął głęboko.

— Razem, zawsze razem, aż śmierć położy jedno z nich — wyszeptał.

ROZDZIAŁ XII

CZERWONA ŚMIERĆ

Kazan i Szara Wilczyca powędrowali teraz na północ, w okolice Fond du Lac. Znajdowali się właśnie w tamtych stronach, gdy Jacek, poganiacz Kompanii Zatoki Hudsona, przybyły do faktorii z południa, przyniósł pierwsze wiarygodne wieści o okropnej pladze ospy. Przez parę tygodni mówiono tylko o tym. Pogłoskom i plotkom nie było końca. Ze wschodu, południa i zachodu biły trwożne głosy, aż faktorię opasał niby krąg ponurych wróżb, gdyż każdy przybysz twierdził, że la mort rouge, czerwona śmierć, depce mu po piętach. Toteż drżenie trwogi zmroziło wszystkie serca, od krańca cywilizacji począwszy aż po zatokę Hudsona.

Przed dziewięciu laty analogiczne wieści nadeszły z południa, a w ślad za nimi nadleciała zaraza. Leśny lud dotąd pamiętał pomór, jaki wówczas panował i tysiące bezimiennych mogił — omijanych z daleka niby groby zadżumionych, a rozsianych między zatoką James i krainą jezior Athabaska — świadczyły wymownie o zapłaconym wtedy haraczu.

Kazan i Szara Wilczyca w swej włóczędze spotykali nieraz owe małe kopce usypane nad ciałami zmarłych. Instynkt, coś będącego poza sferą pojęć ludzkich, dozwalał im czuć pod ziemią obecność trupa. Szara Wilczyca, nie skażona cywilizacją, o zmysłach silniej rozwiniętych wskutek częściowego kalectwa, miała przewagę nad Kazanem, gdy szło o wykrycie tajemnic ziemi i powietrza nie dających się objąć wzrokiem. Ona też pierwsza dostrzegła zarazę.

Kazan zwabił samkę w kierunku pewnej linii sideł.

Szlak wiodący wzdłuż smugi potrzasków był już bardzo stary. Nikt go nie używał od wielu dni. W jednej pastce znaleźli królika zamarzniętego na kość. Koło drugiej leżał szkielet lisa odarty z mięsa przez sowy. Większość sideł była zatrzaśnięta. Inne śnieg pokrył grubą warstwą. Kazan uganiał się ścieżką od żelaza do żelaza w poszukiwaniu jadła. Szara Wilczyca w swej ślepocie czuła śmierć, która zawisła nad wierzchołkami cedrów i sosen, szczerzyła zęby w każdym potrzasku. Dech trupi bił w nozdrza coraz silniej. Wreszcie wilczyca wydała krótki skowyt i lekko chwyciła zębami kark Kazana. Lecz Kazan nie zważał na nic. Więc ślepa samka podreptała w prawo na skraj poręby, gdzie stała chata trapera Otto, i tu siadłszy w śniegu uniosła ku niebu łeb wydając długie, ponure wycie.

W tej chwili sierść zjeżyła się na karku psa. Podbiegł, siadł obok i zawył również. Teraz on także czuł śmierć. Była w chacie. A nad chatą u szczytu drąga powiewał czerwony łachman, od zatoki Hudsona po Athabaskę znany jako sygnał zarazy. Otto, wzorem tylu innych bohaterów Dalekiej Północy, wywiesił sam nad dachem ten złowieszczy sztandar, nim go powaliła śmierć.

Nocą pod chłodnym lśnieniem księżyca Kazan wraz ze swą niewidomą towarzyszką skręcił na północ ku Fond du Lac. Wyprzedził ich posłaniec z faktorii nad jeziorem Reindeer, roznoszący wszędzie ponurą wieść otrzymaną z Nelson House i południowo-wschodnich osiedli.

— W okolicach Nelson panuje ospa! — mówił posłaniec do agenta Williamsa z Fond du Lac. — Indianie Cree znad jeziora Wollaston już chorują! Nie wiadomo, co się dzieje nad zatoką Hudsona, ale słyszałem, że Czipewajowie pomiędzy Albany a Churchill mrą jak muchy!

Wyruszył dalej tego samego dnia, choć psy miał zgonione doszczętnie. — Bo muszę przecie uprzedzić ludzi z Reveiłlon! — tłumaczył.

W trzy dni później nadszedł rozkaz z fortu Churchilla, by wszyscy pracownicy Kompanii oraz wszyscy wchodzący w skład służby rządowej gotowali się na przyjęcie czerwonej zarazy. Szczupła twarz Williamsa zbladła jeszcze bardziej.

— To znaczy, że mamy kopać groby! — rzekł. — Jakież inne przygotowania można robić ?!

Głośno przeczytał otrzymane pismo mieszkańcom Fond du Lac i niemal wszyscy mężczyźni ruszyli natychmiast, by ponieść ostrzeżenie na cały obszar terenów faktorii. Gorączkowo zaprzęgano psy, a na każdych wyjeżdżających saniach znajdował się zwój czerwonej materii, którego dotknięcie wywoływało dreszcz w sercach posłańców mających go rozdzielać pomiędzy leśnych ludzi.

Kazan i Szara Wilczyca napotkali szlak jednych takich sań w okolicy Greybeaver i szli później śladami płóz dobre pół mili. Nazajutrz dalej na zachodzie dostrzegli nowe tropy, a czwartego dnia jeszcze jedne. Te były całkiem świeże i Szara Wilczyca uskoczyła na bok warcząc. Wiatr przyniósł właśnie żrący zapach dymu. Przecięli wtedy szlak pod kątem prostym, przy czym Szara Wilczyca przesadziła go w powietrzu, i wbiegli na szczyt pobliskiego wzgórza. W dole na polanie pod wiatr płonęła chata. Psi zaprząg i człowiek ginęli w niedalekiej gęstwinie. Kazan zaskomlił z głębi piersi. Samka tkwiła sztywno niby głaz. Wraz z chatą płonął człowiek zmarły na zarazę. Było to prawo Północy. Pies i wilczyca pojęli instynktownie znaczenie ofiarnego stosu. Tym razem nie uczcili śmierci ponurym wyciem, lecz chyłkiem umknęli w dół na równinę i przystanęli dopiero o zmierzchu, znalazłszy kryjówkę w suchych i dobrze ocienionych torfowiskach o dziesięć mil na północ.

Dnie i tygodnie, które nadeszły obecnie, uczyniły zimę roku tysiąc dziewięćset dziesiątego jednym z najstraszliwszych okresów w. dziejach Dalekiej Północy. Przez cały miesiąc ludzkie życie i życie zwierząt trwało w

zawieszeniu, a głód, chłód i zaraza srożyły się okropnie wśród leśnych mieszkańców.

Kazan i Szara Wilczyca obrali sobie legowisko na wyschłych moczarach w głębokim wykrocie. Było to ciasne, lecz wygodne gniazdo, całkowicie osłonięte od śniegu i wichru. Szara Wilczyca rozgościła się w nim bez zwłoki. Legła płasko na brzuchu i dyszała wywiesiwszy język na znak zadowolenia i radości. Kazan pozostał u jej boku. Miał mglistą wizję pięknej nocy, która zdawała mu się odległa o setki lat, gdy zwyciężywszy w srogim pojedynku wodza wilczego stada zdobył dzisiejszą towarzyszkę. Lecz tej zimy nie szukali towarzystwa dzikich współbraci, nie polowali również na karibu i jelenie. Ze względu na ślepotę Szarej Wilczycy zadowalali się łowami na króliki i przepiórki leśne. Te bowiem Kazan umiał chwytać bez pomocy.

Tymczasem wilczyca przestała płakać, trzeć oczy łapami i tęsknić do widoku słońca, księżyca czy gwiazd. Zwolna zaczęła nawet zapominać, że oglądała niegdyś te wszystkie rzeczy. Biegała już szybko u boku Kazana. Słuch jej i węch zaostrzyły się niezwykle. Z odległości dwu mil wietrzyła obecność karibu, a woń człowieka łowiła na jeszcze dalszą przestrzeń. Cichą nocą słyszała o pół mili plusk pstrąga.

W miarę jak jego samka doskonaliła w sobie zmysł słuchu i powonienia, Kazan zatracał je zwolna. Coraz bardziej polegał na zdaniu ślepej towarzyszki. O pięćdziesiąt jardów wskazywała mu schronienie przepiórki. Kierowała łowami do chwili odnalezienia zwierzyny. Ufając jej na polowaniu, mimo woli zaczął się liczyć z jej każdą przestrogą.

Jeśli Szara Wilczyca była w ogóle zdolna rozumować, oczywiście musiała pojąć, że bez Kazana zginie marnie. Niejednokrotnie próbowała schwytać o własnych siłach królika lub przepiórkę i zawsze doznawała haniebnej porażki. Kazan znaczył dla niej tyle co życie. Toteż instynktownie lub świadomie usiłowała stać mu się

niezbędną. Ślepota dokonała w niej wielu zmian. Częściowo pozbawiła ją wrodzonej dzikości i uczyniła towarzyszką Kazana nie na jeden okres miłosnego popędu, lecz na całe istnienie. Miała w zwyczaju, zarówno latem, jak i zimą, ległszy tuż obok psa opierać mu na barkach swój piękny łeb. Jeśli Kazan warknął na nią czasem zamiast odpowiedzi cięciem kłów — cofała się potulnie. Ciepłym językiem zlizywała sople lodu namarzłe w długim włosiu pomiędzy palcami jego łap. Gdy pies wbił sobie drzazgę, przez szereg dni kurowała starannie jego chorą podeszwę. Kalectwo uzależniło ją od Kazana, lecz przez tę ułomność właśnie stała mu się nad zwykłą miarę potrzebną.

żyli więc szczęśliwie w jamie pod wykrotem. Gniazdo mieli suche i ciepłe, a błota obfitowały w drobną zwierzynę. Z rzadka jedynie, podniecani gorączką łowiecką, opuszczali torfowisko. Na dalszych równinach i pustynnym barren słyszeli nieraz wycie wilczych stad, lecz ten zew nie napawał ich bynajmniej chęcią spotkania gromady.

Pewnego dnia zabrnęli na zachód dalej niż zwykle. Porzuciwszy moczary przecięli gaj nawiedzony zeszłego lata pożarem, wdarli się na urwisko i zstąpili w dół ku nowej dolinie. Tu Szara Wilczyca, przystanąwszy raptem, wciągnęła nosem powietrze. W podobnym wypadku Kazan przyglądał się jej zawsze z ogromną uwagą, wykazując lekkie podniecenie i niepokój, o ile woń była zbyt słaba, by sam mógł ją również zwietrzyć. Lecz dziś rozeznał ją także i wiedział, od razu, dlaczego samka położyła uszy po sobie i lekko przypadła ku ziemi. Woń łownej zwierzyny uczyniłaby ją, przeciwnie, sztywną i nerwową. Lecz to było co innego. Pachniało człowiekiem. Szara Wilczyca cofnęła się za towarzysza i wydała niski skowyt. Potem stali przez długą chwilę milcząc i bez ruchu, aż Kazan wskazał dalszą drogę. O niespełna trzysta jardów w gęstwinie zwarto rosnących drzew szpilkowych omal nie wpadli na zasypane śniegiem tepee. Szałas był opuszczony życie i ogień nie gościły tu od

dawna. Jednak biła zeń woń ludzka. Kazan cały zjeżony, sztywno stawiając łapy, zbliżył się do wejścia.

Zajrzał w głąb. Pośrodku szałasu, na popiele wygasłego ogniska, owinięte w szmaty leżało maleńkie indiańskie dziecko. Kazan widział drobne nóżki obute w skórznie. Lecz śmierć odwiedziła tepeeprzed wielu dniami i obecność jej dała się z trudem wyczuć. Pies cofnął się i dostrzegł, jak Szara Wilczyca ostrożnie obwąchuje podłużny kopczyk. Okrążyła go już trzykrotnie ani razu jednak nie podchodząc bliżej niż na długość karabinowej lufy. Wykonawszy trzeci obieg przykucnęła w śniegu, a Kazan zbliżył się do mogiły i głośno wciągnął powietrze. Wiedział, że pod tym pagórkiem tak jak i w szałasie spoczywa śmierć. Toteż po chwili pomknął w las, a za nim podążyła jego samka. Umykali chyłkiem jak winowajcy zwieszając ogony tak nisko, że mietli za sobą śnieg, a przystanęli dopiero koło wykrotu na mokradłach. Lecz Szara Wilczyca i tu jeszcze czuła powiew zarazy, gdyż leżąc w jamie obok psa raz po raz drżała nerwowo..

Tej nocy wielki, biały księżyc niósł wokół swej tarczy purpurowe kolisko: To oznaczało mróz, okropny mróz. Ospa nadchodzi zawsze w porze wielkich chłodów, a im niższa temperatura, tym obfitsze żniwo zbiera straszna zaraza. Mróz się wzmagał i przenikał do serca wykrotu, aż Kazan i Szara Wilczyca zwarli się ciaśniej. O świcie, czyli około ósmej rano, ruszyli razem na łowy. Termometr wskazałby pięćdziesiąt stopni poniżej zera. Wokół nich drzewa pękały z trzaskiem strzałów rewolwerowych. W najgłębszych chaszczach przepiórki jeżyły się niby kłębki pierza. Śnieżne króliki drzemały wkopane w zaspy lub ukryte pod zwałami padłych drzew. Kazan i Szara Wilczyca spotkali zaledwie parę świeżych tropów i po godzinie bezowocnych usiłowań wrócili do swej jamy. Przed paroma, dniami Kazan psim zwyczajem ukrył w śniegu pół królika: wygrzebali go teraz i zjedli zakrzepłe mięso.

Tymczasem chłód wzrastał bez przerwy. Nadeszła noc wyiskrzona gwiazdami i księżycem. Niebo było całkowicie bez chmur. Temperatura spadła o dalsze dziesięć stopni i żaden żywy stwór nie opuszczał legowiska. W taką pogodę wszelkie sidła pozostają próżne, gdyż nawet zwierzęta futerkowe, jak: kuny, gronostaje czy skunksy, leżą skulone w jamach lub gniazdach. Dojmujący chłód nie był jeszcze dość potężny, by wywabić z wykrotu Kazana i jego samkę. Następnego dnia okropny mróz trwał nadal, jednak koło południa Kazan ruszył na łowy pozostawiając Szarą Wilczycę w dotychczasowym schronisku. Jako pies, Kazan silniej odczuwał brak jadła niż jego towarzyszka. Natura przysposobiła wilka do długich postów i przy normalnej temperaturze Szara Wilczyca mogła śmiało głodować przez pełne dwa tygodnie. Wobec sześćdziesięciu stopni poniżej zera mogła wytrzymać tydzień, najwyżej dziesięć dni. Od chwili spożycia zamarzłego królika upłynęło zaledwie trzydzieści godzin, toteż najspokojniej pozostała w ciepłym wykrocie.

Lecz Kazan był głodny. Rozpoczął łowy idąc pod wiatr w kierunku świeżego pogorzeliska. Obwąchiwał każdy wykrot, każdy zwał drzew i pilnie zwiedzał każdą gęstwinę. Rankiem sypnął drobny, przypominający krupy śnieżek i na jego świeżej warstwie, na przestrzeni od wykrotu po wypaloną równinę, pies zwęszył jeden tylko ślad pozostały po przejściu gronostaja. Spod zwału drzew uderzyła mu w pysk woń królika, lecz biały długouch był teraz równie niedostępny jak przepiórka na gałęziach, toteż po godzinnym ryciu i darciu opornych konarów Kazan uznał swe trudy za daremne. Wrócił do Szarej Wilczycy po trzygodzinnej włóczędze, wyczerpany do cna. Podczas gdy. jego samka z przezornością dzikiej istoty chroniła każdy atom siły i energii, Kazan nadwerężył znacznie zasób mocy życiowych i był głodniejszy niż kiedykolwiek.

Nocą księżyc wypłynął na niebo jasny i lśniący, a Kazan ponownie ruszył na polowanie. Naglił wilczycę, by zechciała mu towarzyszyć; skomlił prosząco z zewnątrz wykrotu, wracał dwukrotnie, lecz samka zwiesiwszy uszy odmawiała stanowczo. Temperatura spadła obecnie do sześćdziesięciu pięciu lub siedemdziesięciu stopni poniżej zera, a wraz z mrozem z północy nadleciał wiatr wytwarzając atmosferę, w której żaden człowiek nie mógłby wytrzymać nawet godziny. O północy Kazan wrócił do kryjówki. Wiatr wzmagał się. Zawodził jak żałobne płaczki, to znów huczał wściekle, przerywany chwilami pasmem martwej ciszy. Był to przybysz z pustynnych barren, położonych między ostatnią smugą lasów a kręgiem arktycznym.

Rankiem wicher rozpętał się na dobre, więc Szara Wilczyca i Kazan warowali ciasno przytuleni do siebie w głębi zacisznej jamy, łowiąc ponury lament huraganu. Raz Kazan wystawił łeb i barki spod osłony wykrotu, lecz pęd powietrza wepchnął go z powrotem. Wszelkie żywe istoty wyszukały sobie schronienie takie czy inne, zależnie od instynktu i upodobania. Drobne zwierzęta futerkowe jak kuna i gronostaj miały się najlepiej, gdyż w czasie ciepłych i sytych dni z przyzwyczajenia poczyniły odpowiednie zapasy. Wilki i lisy odnalazły rozpadliny śród skał lub głębokie wykroty. Stworzenia skrzydlate, z wyjątkiem sów — składających się z dziewięciu dziesiątych z pierza, a tylko z jednej dziesiątej z mięsa — poukrywały się w zaspach lub zwartych chaszczach i krzakach. Dla zwierząt rogatych i kopytnych zamieć stanowiła najcięższą próbę. Jelenie, karibu i łosie nie mogły wleźć pod zwał drzew ani wśliznąć się do szczelin. Kładły się więc u podnóża zasp pozwalając, by śnieg zawalił je całkowicie. To stanowiło ochronę od mrozu i wichru. Lecz nie mogły z niej korzystać wiecznie, gdyż trzeba było przecie jeść. Łoś na przykład musi żuć przez osiemnaście godzin na dobę, by przetrwać chłody zimowe. Jego wielki żołądek wymaga znacznej ilości

pożywienia i niemało czasu mu zajmuje ogryzanie krzaków i krzewów aż do osiągnięcia dwu lub trzech buszli dziennej paszy. Karibu potrzebuje niemal tej samej ilości jadła. Jeleń nieco mniej.

A huragan trwał przez cały ten dzień i cały dzień następny, zaś przez trzecią dobę sypał kłujący śnieg, który wymościł równiny dwustopowym pokrowcem, tu i ówdzie tworząc zaspy głębokości ośmiu do dziesięciu stóp. Był to tak zwany przez Indian „ciężki śnieg", gniotący ziemię niby ołów. Pod nim króliki i przepiórki marły tysiącami, dławione na śmierć.

Na czwarty dzień od chwili wybuchu zamieci Kazan i Szara Wilczyca wyszli z wykrotu. Wiatr ustał i śnieg już nie prószył. Trwał trzaskający mróz. Świat pysznił się niepokalaną bielą nowego płaszcza.

Zaraza ściągnęła daninę od ludzi. Teraz przyszły dnie głodu i śmierci dla dzikich mieszkańców puszczy.

ROZDZIAŁ XIII

SZLAKIEM GŁODU

Kazan i Szara Wilczyca spędzili bez pożywienia około stu czterdziestu godzin. Dla wilczycy oznaczało to dotkliwą przykrość i rosnące osłabienie. Kazan cierpiał głód w całym tego słowa znaczeniu. Sześć dni i sześć nocy postu uwydatniło im żebra i podciągnęło brzuchy.

Ślepia psa gorzały czerwienią; mrużył je silnie i tylko przez szparki spoglądał na śnieżną równinę. Szara Wilczyca podtrzymała go tym razem, gdy okazał chęć porzucenia legowiska. Radośnie i ufnie rozpoczęli łowy. Okrążyli podstawę pobliskiego zwału drzew, w którym zawsze gnieździły się króliki. Obecnie nie napotkali ani tropów, ani woni. Więc zatoczyli półkole przez mokradła, lecz zwietrzyli jedynie śnieżną sowę uczepioną u wierzchołka sosny. Dotarłszy do pogorzeliska zawrócili wstecz, myszkując wśród przeciwległego krańca błot. Wdarli się na wzgórze i z tej wyniosłości spojrzeli w dół, na świat pozbawiony życia. Szara Wilczyca węszyła bezustannie, lecz nie dawała Kazanowi żadnej wskazówki. U szczytu urwiska pies stanął, zdyszany okropnie, był doszczętnie wyzuty z sił.

W powrotnej drodze przez moczary potknął się o pień, który usiłował przesadzić.

Wrócili do wykrotu jeszcze bardziej osłabli i wygłodzeni. Gdy nadeszła noc jasna i pogodna, ponownie przeszukali torfowiska. Dostrzegli jedną tylko istotę — lisa, lecz instynkt uprzedził ich, że tu wszelki pościg będzie daremny i nie warto nawet czynić prób.

Wtedy właśnie Kazan przypomniał sobie chatę. Chata była dlań zawsze równoznacznikiem żywności i ciepła.

Daleko za łańcuchem wzgórz stał dom trapera Otto. Tam wespół z Szarą Wilczycą wyli raz hymn pogrzebowy. Lecz pies nie myślał w tej chwili o człowieku ani o śmierci. Ruszył wprost ku linii urwisk, a Szara Wilczyca podążyła jego śladem. Minęli wzgórza i pogorzeliska, aż weszli na przestwór nowych błot. Kazan poniechał już łowów. Nisko zwiesił łeb. Puszystą kitę wlókł po śniegu. Marzył o chacie; o chacie i o niczym więcej. Tam była jego ostatnia nadzieja. Lecz Szara Wilczyca węszyła nadal, łowiąc wiatr i unosząc głowę, ilekroć Kazan tarł o śnieg skostniały pysk. I wreszcie uchwyciła woń! Kazan ruszył właśnie z miejsca, lecz przystanął widząc, że samka za nim nie dąży. Wtedy cała energia jaka zachowała się w zgłodniałym ciele, objawiła się w nagłym napięciu mięśni i ostrej badawczości wzroku. Szara Wilczyca tkwiła mocno na sztywnych łapach, zdecydowanie obrócona ku wschodowi; szczupły siwy pysk węszył gorliwie, kark drżał.

Raptem usłyszeli dźwięk i Kazan cicho skomląc ruszył we wskazanym kierunku, mając samkę tuż przy sobie. W nozdrzach Szarej Wilczycy woń wzmagała się z każdym krokiem s wkrótce i Kazan również zdołał ją pochwycić. Nie był to zapach królika ani przepiórki. Woń pochodziła od grubego zwierza. Szli ostrożnie, trzymając się wciąż pod wiatr. Krzewy i drzewa gęstniały wokół i raptem w odległości stu jardów przed nimi zabrzmiał trzask i łoskot rogów. Jeszcze dziesięćsekund. Kazan wlazłszy na śnieżną zaspę stanął nagle, po czym; rozpłaszczył się na brzuchu. Szara Wilczyca przywarowała tuż obok, zwrócona łbem w stronę tego, co czuła wyraźnie, jakkol wiek nie mogła tego dojrzeć.

O pięćdziesiąt jardów gromada łosi znalazła schronienie pośród gęstych drzew szpilkowych. Zwierzęta ogryzły sosny i świerki na przestrzeni dobrego akra. Pnie świeciły nagim miąższem tak wysoko, jak łby mogły sięgnąć, a śnieg u ich podnóża był twardo ubity racicami. Łosi było sześć, w tym dwa samce, które w obecnej chwili wiodły zaciekły bój,

podczas gdy trzy klępy i jeden roczniak obserwowały pojedynek zbite w ciasną gromadę.

Tuż przed wybuchem huraganu młody byk łosi, tęgi, nie całkiem jeszcze wyrosły, o drobnych, masywnych rogach czterolatka, przywiódł trzy klępy i cielaka w to zaciszne miejsce. Do poprzedniego wieczora mógł uchodzić za bezsprzecznego wodza gromady. Lecz nocą stary samiec wtargnął na jego placówkę. Był czterokrotnie starszy i dwa razy cięższy od swego przeciwnika. Miał rozgałęzienia rogów niesymetryczne i węzliste. Zwycięzca setki bitew, bez wahania wyzwał na pojedynek młodego samca chcąc go wyrugować ze schroniska i z towarzystwa klęp. Od świtu walczyli już trzykrotnie i mocno zradlony śnieg spłynął krwią. Woń świeżej posoki połechtała nozdrza Szarej Wilczycy i Kazana. Pies sapnął chciwie. W gardle wilczycy zabulgotały dziwaczne dźwięki, podczas gdy nerwowo oblizywała wargi.

Na chwilę dwaj zapaśnicy cofnęli się nieco i stali naprzeciw siebie, nisko trzymając łby. Żaden nie odniósł jeszcze zwycięstwa. Młody byk uosabiał młodzieńczą wytrwałość; w starym łosiu wiek równoważyła tężyzna mięśni, większy ciężar, przebiegłość i para rogów groźnych jak tarany. Lecz lata znaczyły swoje. Gwałtownie robił bokami. Chrapy miał rozdęte niby kielichy dzwonów.

Raptem, jakby ktoś niewidzialny rzucił umówiony znak, oba samce runęły naprzód. Trzask rogów dał się słyszeć o pół mili, a pod naporem tysiąca ośmiuset funtów mięśni i kości młody byk osiadł na zadzie. Lecz tu właśnie dopomogła mu młodość. Porwał się błyskawicznie i ponownie nastawił rogi. Upadał już tak ze dwadzieścia razy i ze dwadzieścia razy atakował powtórnie z coraz to większą, zda się, energią. Teraz bił się zajadlej niż kiedykolwiek.

Kazan i Szara Wilczyca usłyszeli suchy trzask, jakby kto stąpił na kruchą gałąź. Był luty, racicowe zwierzęta zaczęły właśnie tracić rogi, przy czym stare byki jak zwykle zrzucały

je najpierw. Ten fakt rozstrzygnął losy walki. Jeden z olbrzymich rogów starego samca ułamał się tuż u podstawy czaszki, a w następnej chwili młody łoś niby sztyletem przebił mu łopatkę. Wtedy ogromny zwierz stracił całą odwagę, więc począł się cofać krok za krokiem, spływając krwią, gdyż młody byk grzmocił go bez przerwy po łbie i karku. Na krańcu areny wywikłał się wreszcie i z łoskotem runął w las.

Młody łoś nie gonił go. Uniósłszy łeb stał chwilę, ciężko robiąc bokami i rozdymając chrapy, patrzał w ślad za zbiegiem. Potem zawróciwszy pokłusował w kierunku nieruchomych klęp i roczniaka.

Kazan i Szara Wilczyca dygotali jak w febrze. Szara Wilczyca zrobiła pół obrotu i chyłkiem pomknęła wstecz, a Kazan podążał za nią. Klępy i młody łoś nie obchodziły ich już wcale. Widzieli bowiem, jak uciekało stąd mięso znużone w walce i zlane świeżą posoką. W wilczycy przemówił instynkt łowieckiej gromady; Kazan zapragnął szaleńczo smaku krwi, którą tak wyraźnie czuł. Szparko skręcili w kierunku tropu starego łosia i znaleźli go niebawem. Był zbrukany ciemną farbą. Kazan rozdziawił paszczę, słodka woń pędziła mu w żyłach strumień płonącej lawy. Ślepia miał zaczerwienione głodem, lecz bił z nich ogień bardziej morderczy niż w czasach przewodnictwa nad wilczą zgrają. Pies ruszył w pogoń niepomny prawie istnienia Szarej Wilczycy. Lecz ona nie potrzebowała już dotyku jego bark, by dążyć razem. Z nosem tuż przy ziemi rwała szybko, jak niegdyś przed fatalnym kalectwem.

O pół mili znaleźli starego samca. Stał ukryty za kępą sosen, ponad rosnącą w oczach kałużą krwi. Wciąż jeszcze dyszał ciężko. Nisko zwiesił masywny łeb, który obarczony jednym rogiem czynił groteskowe wrażenie. Posoka kapała mu z rozdętych chrap, lecz nawet teraz, wobec olbrzyma osłabionego głodem, walką i upływem krwi, jednak groźnego samym ogromem, niejeden wilk by się zawahał.

Kazan bez chwili namysłu skoczył warcząc. Jego długie kły przez mgnienie ścisnęły grubą skórę na gardle łosia. Potem został odrzucony wstecz, na dwadzieścia stóp. Głód żrzyŅcy psu trzewia pozbawił go wszelkiej rozwagi, więc Kazan sunął znów do ataku wprost na potężny łeb, podczas gdy Szara Wilczyca chyłkiem zabiegała z tyłu, Choć ślepa, wiedziała, gdzie należy uderzyć. Kazan wyzbywszy się instynktu dzikiego zwierzęcia nie miał tej mądrości. Skoczył i pochwycony w powietrzu łopatą, rogu odleciał ponownie wstecz, na pół ogłuszony.

W tej samej chwili długie kły Szarej Wilczycy cięły niby nożem ścięgno na nodze łosia. Utrzymała chwyt przez pełne pół minuty, podczas gdy ranny zwierz wierzgał rozpaczliwie chcąc ją zmiażdżyć. Kazan łatwo korzystał z wszelkich nauk; poglądowy pokaz odniósł natychmiastowy rezultat. Pies dał susa sięgając kłami po wystające ścięgno tuż nad kolanem. Chybił, a gdy skradał się ponownie, Szara Wilczyca odleciała właśnie wstecz. Dopięła jednak swego. Zwyciężony w pojedynku przez zapaśnika z własnego plemienia, zaatakowany przez dwu burych włóczęgów, stary łoś szukał ratunku w ucieczce. Zmykał, lecz za każdym krokiem przypadał na jedną nogę. Ścięgno u lewego kolana miał na pół przecięte.

Szara Wilczyca, jakkolwiek pozbawiona wzroku, zdawała się rozumieć, co zaszło. Przeobraziła się też natychmiast w członka łowieckiej zgrai, rozwijając uświęconą tradycją strategię. Kazan, dwukrotnie uderzony rogiem, poniechał otwartej walki. Wilczyca truchcikiem pobiegła za uciekającym łosiem, lecz pies został jeszcze chwilę i łapczywie łyknął nieco śniegu zbrukanego krwią. Potem i on ruszył w pogoń. Kłusował obok swej samki, barkiem ocierając się o jej bok, o pięćdziesiąt jardów za rannym olbrzymem. Na szlaku widniało teraz więcej posoki — wąska, nieprzerwana wstęga.

Po kwadransie łoś przystanął i zwrócił się ku ścigającym, nisko zwieszając wielki łeb. Ślepia nabiegły mu krwią. Barki i grzbiet zwiotczały. Opuścił go wojowniczy, dziarski duch, niezwyciężony od lat niemal dziesięciu. Nie był już władcą otaczającej kniei; oczy jego straciły wyzywający błysk. Oddech wybiegał z piersi chrapliwie i rzężąco, z każdą chwilą cięższy i trudniejszy. Myśliwy wiedziałby, co to oznacza. Ostry koniec rogu młodego łosia trafił we właściwy punkt i zostały naruszone płuca. Szara Wilczyca w dniach wspólnych łowów ze stadem słyszała niejednokrotnie podobny dźwięk i pojęła jego powód. Zwolna poczęła zataczać kręgi wokół rannego monarchy, trzymając się w oddaleniu dwudziestu jardów. Kazan nie opuszczał jej boku. Obiegli jedno koło, drugie, trzecie. Łoś wirował również, wciąż na jednym miejscu, a za każdym obrotem charczał z wysiłkiem i niżej zwieszał ciężki łeb. Nadeszło południe i mróz wzmógł się jak zwykle u schyłku dnia. Dwadzieścia kręgów zmieniło się w sto, dwieście i jeszcze więcej. Pod łapami Szarej Wilczycy i Kazana śnieg stwardniał ubity w równy szlak. Pod szeroko rozkraczonymi nogami łosia śnieg z białego stał się rudy. Knieja tysiące razy oglądała już podobne widowiska. Żyć znaczyło tu zabijać, a umierać znaczyło przedłużać cudze życie.

Kazan i Szara Wilczyca toczyli kołem bez przerwy. Lecz nadeszła chwila, gdy stary łoś nie zwrócił ku nim czoła. Okrążyli go jeszcze raz, potem drugi, trzeci; trwał bez ruchu. Szara Wilczyca zdawała się pojmować. Pociągając za sobą psa, cofnęła się nieco i opuściwszy wydeptany szlak legła pod karłowatą sosną — w oczekiwaniu końca.

Łoś tkwił przez długi czas nieruchomo, tylko zad osiadał mu coraz niżej, aż z głębokim westchnieniem, zdławionym krwią, zwierzę runęło. Kazan i Szara Wilczyca ani drgnęli. Lecz gdy po chwili wrócili znów na udeptane kolisko, wielki łeb rannego zwierza bezwładnie spoczywał na śniegu. Więc poczęli zataczać kręgi, coraz bardziej zacieśniając pętlę, aż

od zdobyczy dzieliło ich już tylko dziesięć, dziewięć, wreszcie osiem jardów. Łoś usiłował wstać i padł ponownie. Szara Wilczyca usłyszała wymku czony ruch. Usłyszała też ciężki upadek potężnego cielska i raptem szybko a cicho dała wielkiego susa. Zatopiła ostre kły w chrapach łosia, a Kazan, wzorem innych huski, porwał zwierza za gardło. Tym razem nie odleciał wstecz. Straszliwy chwyt Szarej Wilczycy dał mu możność przerwania grubej skóry i wniknięcia głębiej, coraz głębiej, aż do tętnicy. Fontanna ciepłej krwi uderzyła mu w paszczę. Lecz nie rozluźnił szczęk. Trzymał równie krzepko jak niegdyś gardziel swego pierwszego karibu w dawno minioną miesięczną noc. Szara Wilczyca pierwsza cofnęła kły. Odpełzła wstecz, węsząc i nasłuchując. Potem zwolna uniosła łeb i na zmarzłą, zgłodniałą knieję rzuciła triumfalny zew: do jadła!

Dla nich dwojga dni postu minęły.

ROZDZIAŁ XIV

PRAWO KŁÓW

Śmierć starego łosia przyszła w samą porę, by ocalić życie Kazana. Nie mógł on znosić głodu równie długo jak jego dzika towarzyszka. Długi post i temperatura oscylująca pomiędzy pięćdziesięciu, a siedemdziesięciu stopniami poniżej zera uczyniły zeń cień dawnego dziarskiego zapaśnika.

Gdy łoś skonał, Kazan, wyczerpany okrutnie, wyciągnął się na krwawym śniegu, podczas gdy Szara Wilczyca, mniej utrudzona, szarpała zajadle grubą skórę na karku zdobyczy chcąc obnażyć czerwone mięso. Dopiąwszy swego nie jadła, lecz podbiegłszy do boku psa szturchnęła go nosem, skomląc prosząco. Wreszcie zabrali się do uczty leżąc jedno obok drugiego i rwąc ciepłe, słodkie mięso.

Ostatnie blade błyski północnego dnia topniały szybko i noc wchodziła w swoje prawa, gdy cofnęli się od jadła nażarci tak dokładnie, że brzuchy im spęczniały. Wiatr ucichł. Obłoki, które dotąd zaścielały niebo, pożeglowały ku wschodowi, a wypłynął księżyc wielki i lśniący. Noc jaśniała z każdą chwilą, sycona miesięcznym blaskiem, migotem gwiazd i daleką łuną zorzy polarnej gorejącej nad biegunem. Jej monotonny skrzyp i syk, podobny do świegotu płóz na wyjeżdżonym śniegu, słabo docierał do uszu Kazana i Szarej Wilczycy.

Nie uszli jeszcze i stu jardów od ciała martwego łosia, gdy na pierwszy dźwięk tajemniczej zjawy stanęli nasrożeni nieufnie. Potem, zwiesiwszy uszy na boki, truchcikiem wrócili do swej zdobyczy. Instynkt mówił im, że mięso póty będzie stano wiło ich własność, póki zdołają je obronić.

Walczyli dla zdobycia go. Zgodnie z prawem kniei mieli walczyć nadal, by móc je zachować. W okresie sytych dni ruszyliby dalej w las bez wahania. Lecz długie godziny męki głodowej pouczyły ich o czym innym. Tej nocy cichej i jasnej, która nastała po dniach zawiei i postu, setki tysięcy zgłodniałych istot opuściły swe leża w pogoni za jadłem. Ó tysiąc osiemset mil na wschód i zachód i o tysiąc mil na północ i południe szczupłe, o zapadłych brzuchach stworzenia szukały żeru. Kazan i Szara Wilczyca nie widząc odgadli tę ruchawkę, toteż ani na chwilę nie porzucali ważnego posterunku. Spoczęli oboje pod kępą karłowatych sosen wyczekując biegu zdarzeń. Ślepa wilczyca łagodnie pieściła psa pyskiem. Raptem wydała cichy skowyt, który posłużył psu jako przestroga. Potem wciągnęła powietrze i nastawiła uszy.

Zesztywnieli oboje do ostatniego mięśnia. Minęło ich coś żywego, wiedzieli o tym, jakkolwiek nie dojrzeli nic, nie złowili szmeru ani żadnej niemal woni. Wróciło znów, szybując w powietrzu, tajemnicze niby cień, aż jak wielki kłąb śniegu opadła w dół ogromna białopióra sowa. Kazan widział, jak skrzydlaty potwór siada na karku łosia. Błyskawicznie wyskoczył z ukrycia, a Szara Wilczyca pędziła w ślad za nim. Z gniewnym rykiem kłapnął kłami za białym łupieżcą i chwycił pustkę. W rozpędzie przesadził ścierwo łosie. Gdy skręcił, sowa znikła.

Odzyskał już niemal całą dawną moc. Kłusem obiegł wokół powalonego cielska, mając sierść zjeżoną jak szczotka i szeroko rozwarte groźne ślepia. Warczał unosząc łeb ku górze. Szczęknął kłami, potem przysiadł i spoglądał na krwawy ślad, którym łoś przybył. Instynkt bardziej nieomylny niż rozum, uprzedzał go, że niebezpieczeństwo pojawi się stamtąd właśnie.

Szlak ginął w kniei niby purpurowa taśma. Drobne, szybkonogie gronostaje myszkowały wszędzie tej nocy, podobne w ruchu do białych szczurów. Pierwsze też wykryły

trop i podniecone, krwiożercze pomknęły nim, skrzecząc głośno i nerwowo. Lis złowił aromat świeżej posoki o ćwierć mili pod wiatr i śmig nął bliżej. Spod głębokiego zwału drzew wychynął wynędzniały skunks o oczach jak paciorki i stanął na szkarłatnej wstędze.

Ten skunks zmusił właśnie Kazana do nowego wywiadu. Pies zwęszył lub dosłyszał zwierzę i wypadł spod strzechy karłowatych sosen niby bury pocisk. W księżycowym świetle rozgorzała krótka, zacięta walka, warkot, darcie pazurów, buchnął ostry wrzask i skunks zapomniał o głodzie w szalonej ucieczce. Kazan wrócił do Szarej Wilczycy z pociętym i pokrwawionym nosem. Samka oblizała go czule, podczas gdy pies trwał w napiętym oczekiwaniu.

Lis, przestrzeżony z dala odgłosem walki, umknął chyżo. Nie był on rycerzem, lecz łotrzykiem mordującym po kryjomu, toteż nieco później skoczył z zasadzki na sowę i podarł ją na strzępy, by w powodzi pierza odnaleźć pół funta mięsa.

Lecz nic nie mogło odstraszyć gronostajów, nocnych łazików Dalekiej Północy. Przemknęłyby nawet między nogami człowieka, byle się dobrać do świeżego mięsa i krwi. Kazan uganiał za nimi bez skutku. Były zbyt nieuchwytne, podobne raczej do błędnych ogni niż do żywych istot. Podkopywały się pod cielsko martwego łosia żrąc chciwie, podczas gdy pies szalał ryjąc śnieg łapami i drąc go pyskiem. Szara Wilczyca siedząc opodal trwała w błogim spokoju. Gronostaje nie wytrącały jej z równowagi. Kazan zrozumiał po chwili, iż należy brać z niej przykład, toteż buchnął w śnieg i leżał dysząc z wywieszonym ozorem.

Teraz nastał długi okres niemal całkowitej ciszy. Raz z bardzo daleka nadleciało wycie wilka i w regularnych odstępach hukała śnieżna sowa podkreślając milczącą zadumę kniei. Księżyc stał tuż nad padłem łosia, gdy Szara Wilczyca wyczuła pierwszy powiew realnej groźby. Błyskawicznie powiadomiła Kazana i zwróciła pysk w stronę

szlaku, dygocąc śmigłym ciałem, szczerząc białe kły i warcząc głucho. Jedynie w obliczu śmiertelnego wroga — rysia, sprawcy jej kalectwa, zachowywała się w ten sposób. Kazan zrozumiał i jednym skokiem wysunął się przed nią, jakkolwiek nie zwietrzył jeszcze woni pięknej siwej bestii, która złodziejskim ruchem zakradała się z głębi boru.

Raptem nastąpiło nieoczekiwane intermezzo. O milę wybuchnął samotny, dziki, przeciągły zew.

Pomimo wszystko był to głos istotnego władcy kniei — wilka. Wył z głodu. Takie wycie mrozi krew w żyłach samotnego wędrowca; porywa na nogi wypoczywające łosie i karibu i każe im drżeć. Głos płynął żałobną nutą nad lasy i mokradła, nad otulone śniegiem zręby urwisk, sięgając milami w osrebrzoną księżycem dal.

Teraz nastała cisza pełna ukrytych znaczeń. Kazan i Szara Wilczyca stojąc bok w bok spoglądali w stronę zewu. Odbywała się w nich dziwna zmiana pojęć, gdyż ten głos nie groził i nie przestrzegał, lecz dziergał nić porozumienia. Gdzieś w dali poza rysiem, lisem i skunksem śmigali członkowie ich rodu, wilcza gromada uznająca prawo wspólnej zwierzyny i jadła, płowi pobratymcy. Więc Szara Wilczyca siadłszy w śniegu zawyła w odpowiedzi donośnie, a triumfalnie, wieszcząc stadu, że u kresu krwawych tropów leży martwa zdobycz.

Ryś, wzięty między te dwa głosy niby w dwa ognie, zawrócił i chyłkiem pomknął w las.

ROZDZIAŁ XV

POJEDYNEK PRZY ŚWIETLE GWIAZD

Kazan i Szara Wilczyca czekali przykucnąwszy w śniegu. Minęło pięć minut, dziesięć, piętnaście i samka poczęła się niepokoić. Nikt nie odpowiedział na jej wołanie. Zawyła ponownie, gdy Kazan drżąc nasłuchiwał u jej boku, lecz doczekała się jedynie śmiertelnej ciszy. To nie było zwyczajem stada. Wiedziała, że jej głos dotarł do celu i tajemniczość wypadków napełniała ją troską. Lecz wreszcie pojęli oboje, że gromada czy też pojedynczy wilk znajdują się w pobliżu. Woń świeżej krwi syciła powietrze tworząc wystarczający drogowskaz. Po chwili Kazan dostrzegł ruchomy cień sunący w księżycowym świetle. Do pierwszego dobiegł drugi, potem trzeci, aż pięć burych ciał skradało się półkolem w oddaleniu siedemdziesięciu jardów. Raptem wszystkie przywarowały w śniegu, leżąc na płask i nieruchomo.

Szara Wilczyca warknęła ostro, a Kazan spojrzał na nią. Niewidoma samka pełzła wstecz. W blasku gwiazd groźnie łyskały białe kły. Uszy ciasno przylgnęły do czaszki. Kazan zdumiał się. Po co okazywać gniew i trwogę, skoro z głębi kniei nadbiegły nie rysie, lecz wilki? I dlaczego te wilki nie biorą się do uczty? Zwolna ruszył ku nim, ale Szara Wilczyca zaskomliła usiłując go powstrzymać. Nie zważał na to, lecz szedł lekko stawiając łapy, wyniośle dzierżąc łeb z grzbietem zjeżonym niby szczotka.

W zapachu przybyszów zwietrzył jakąś rzecz znaną i bliską. To przyśpieszyło jego krok, a gdy wreszcie stanął o dwadzieścia jardów od małego grona, ogon jego wykonywał przyjazny, wahadłowy ruch. Jedno ze zwierząt skoczyło na nogi i postąpiło naprzód. Reszta poszła za jego przykładem i

w jednej chwili Kazan, otoczony zewsząd, węszył gorliwie, sam obwąchiwany z niemniejszym zapałem. To były psy, nie wilki.

Gdzieś w samotnej leśnej chacie umarł ich pan, więc umknęły w głąb boru. Nosiły jeszcze ślady uprzęży. Wokół karków miały skórzane obroże. Na żebrach świeciły im łysiny, a jeden wlókł. po śniegu trzystopowy ogryzek rzemienia. Ślepia ich łyskały głodem i krwią. Psy były chude, wyniszczone postem; Kazan, skręciwszy raptem w miejscu, powiódł je ku padlinie. Potem cofnął się i dumnie przykucnął w śniegu obok Szarej Wilczycy, nasłuchując kłapania paszcz, skrzypu dartych mięśni oraz innych odgłosów uczty.

Szara Wilczyca przywarła bliżej do Kazana. Pieściła pyskiem . jego kark, a Kazan psim zwyczajem szeroko przejechał ozorem po jej mordzie upewniając niejako, że bieg wypadków jest najzupełniej pomyślny. Teraz rozpłaszczyła się w śniegu, gdy psy skończywszy jeść podeszły bliżej, by wzorem swej rasy obwąchać ją i zawrzeć bliższą znajomość z Kazanem. Kazan wstał i zasłonił sobą samkę. Jeden potężny czerwonooki pies, ten właśnie, który wlókł u szyi koniec rzemienia, nieco zbyt długo wodził nosem po barkach wilczycy i Kazan warknął ostrzegawczo. Pies cofnął się wprawdzie, lecz przez chwilę kły obu przeciwników łyskały nad pięknym łbem niewidomej. - Mocarny huski był wodzem zaprzęgu i gdyby który z towarzyszy ośmielił się nań warknąć, niechybnie on skoczyłby mu do gardła. Lecz Kazan nie okazywał ani cienia uległości pociągowych wilczurów. Stał nieulękły niby wódz w obliczu wodza; ponadto towarzyszył wilczycy. Gotów był walczyć nie tyle o berło władzy, co właśnie o nią. Więc huski skręcił w bok warcząc ponuro, szczerząc kły i wyładował swą złość sięgając zębami żeber jednego z zaprzęgowych zwierząt.

Szara Wilczyca pojmowała, co się dzieje, jakkolwiek nie mogła nie widzieć. Przylgnęła bliżej do Kazana. Wiedziała,

że epilogiem zwady samców o samkę jest zawsze śmierć. Toteż skomląc wabiąco i gładząc miękkim pyskiem grzbiet Kazana próbowała go odciągnąć od trupa łosia. Kazan odpowiedział na te zabiegi złowrogim grzmotem z głębi piersi. Potem legł obok towarzyszki, przejechał ozorem po jej ślepych oczach i spojrzawar, na obce zwierzęta.

Księżyc opadał nad las, aż znikł na zachodzie za frędzlistą smugą szczytów drzew. Gwiazdy pobladły, jedna po drugiej gasła na sinym stropie niebios. Błysnął ponury świt. Z brzaskiem wódz psiej zgrai wstał i ruszył ku ścierwu. Kazan, obserwujący go bacznie, porwał się w tej chwili i zastąpił mu drogę. Zaczęli teraz krążyć łukowatym ruchem, nisko wiodąc łby i jeżąc barki. Huski cofnął się, a Kazan przywarował koło padła rwąc kawały zamarzniętego mięsa. Nie był głodny. Lecz właśnie w ten sposób dokumentował swe prawo do zdobyczy i rzucał wyzwanie drugiemu psu.

Na chwilę zapomniał o istnieniu Szarej Wilczycy Huski na razie pomknął wstecz niby cień, teraz zaś tkwił nad samką i obwąchiwał ją pilnie. Zaskomlił. W skowycie brzmiały: namiętność, prośba, zachęta. Tak szybko, że oko nie mogło pochwycić tego ruchu, wierna wilczyca wpiła kły w bark nieproszonego zalotnika.

Bury błysk, bury pocisk milczący a okropny strzelił w sinym powietrzu. To był Kazan. Nadleciał bez warknięcia, bez dźwięku i w mgnieniu oka on i huski rozpoczęli śmiertelny bój.

Reszta psów podbiegła szybko i stanęła o kilkanaście kroków od walczących, w głuchym oczekiwaniu. Szara Wilczyca leżała płasko na brzuchu. Olbrzymi huski i Kazan nie wiedli uczonej szermierki wilków lub wilczurów. Dzika pasja kazała im gryźć na ślepo jak kundle. Obaj od pierwszej chwili zdołali umocnić chwyt. To jeden był górą, to drugi, a odbywało się to tak szybko, że cztery wyczekujące zwierzęta traciły wątek zapasów. W innym wypadku skoczyłyby bez zwłoki na pierwszego powalonego zapaśnika

i podarły go na strzępy. Takie było prawo wilków i wilczurów. Lecz teraz stały bez ruchu niepewne i zalękłe.

Ogromny huski nigdy nie doznał porażki. Po przodkach dogach wziął kościec olbrzyma i szczęki zdolne zdruzgotać łeb zwykłego psa. Lecz Kazan jednoczył w sobie czołowe zalety mieszanej krwi. Miał przy tym przewagę pełnego żołądka i wypoczętych mięśni. Ponadto walczył o swą samkę. Jego kły przeniknęły w głąb barku przeciwnika, a huski zwierał zęby obu szczęk przez skórę i muskuły karku Kazana. Jeszcze cal i mógł przebić tętnicę. Kazan wiedział o tym. Miażdżąc łopatkę wroga nie zapominał ani na chwilę, iż nowy chwyt wielkiego huski może być śmiertelny.

Wreszcie uwolniły się oba jednocześnie i odskoczyły wstecz Kazan ociekał krwią, lecz nie czuł bólu. Poczęły krążyć zwolna, zataczając koła, a pociągowe psy podeszły teraz bliżej, nerwowo rozdziawiając paszcze i łyskając oczyma w oczekiwaniu fatalnego wyniku. Nie spuszczały ślepi z wielkiego huski. Wirował już tylko w miejscu, kulejąc za każdym obrotem. Miał przetrąconą łopatkę. Obserwował Kazana i kładł uszy po sobie, prawie przylepiając je do czaszki.

Kazan podniósł uszy i kroczył lekko, muskając śnieg łapami. Władał ponownie całą bojową rozwagą i doświadczeniem nabytym w szeregu pojedynków oraz zwad. Minęła ślepa wściekłość, więc kalkulował przezornie jak ongiś w rozprawie z rysiem. Pięciokrotnie obiegł w krąg wielkiego huski, aż runął jak piorun, całym ciężarem i całą siłą skoku, zbijając go z nóg. Sięgnął kłami wprost ku rozwartej paszczy. Był to najdotkliwszy chwyt. Huski padł, potoczył się na bok i w mgnieniu oka cztery pociągowe wilczury zwaliły się nań jak burza. Biorąc odwet za wielomiesięczną udrękę, za razy kłów, za przemoc silniejszego, literalnie rozdarły go na strzępy.

Kazan przykłusował do Szarej Wilczycy, a ślepa samka z radosnym skowytem złożyła mu głowę na karku. Po raz

drugi walczył o nią na śmierć i życie. Po raz drugi zwyciężył.

ROZDZIAŁ XVI

KAZAN SŁYSZY ZEW

Nastały dni sytości i ciągłych uczt nad zamarzniętym padłem łosia. Daremnie Szara Wilczyca usiłowała zwabić Kazana w głąb kniei lub na torfowisko. Cieplało z każdą dobą. Nie brakło zwierzyny łownej. Szara Wilczyca pragnęła pozostać sam na sam z Kazanem. Lecz on posiadłszy władzę i posłuch nabrał nowych upodobań. Był bowiem teraz wodzem psiej zgrai jak ongi wodzem wilków. Nie tylko samka, lecz i cztery huski dążyły wiernie jego śladem. Zatem raz jeszcze doznawał dawno zapomnianych rozkoszy i jedynie Szara Wilczyca, przenikliwa w swym kalectwie, trwożnie węszyła niebezpieczeństwo, które mogło wyniknąć z nowego stanu rzeczy.

Przez trzy dni i trzy noce koczowali w bliskości łosiego padła, gotowi bronić go od wszelkich grabieżców, lecz z każdą dobą trzymając mniej czujną straż. Aż nadeszła noc czwarta, gdy udało się im ubić młodą łanię. Kazan wiódł łowy i po raz pierwszy, upojony władzą, dozwolił Szarej Wilczycy zostać w tyle. Gdy dopadli zdobyczy, pierwszy skoczył jej do gardła. Reszta psów ośmieliła się jeść dopiero wtedy, gdy on zaspokoił głód. Był panem. Mógł je zmusić do ucieczki jednym groźnym warknięciem. Na widok jego kłów pokornie warowały w śniegu.

Krew w żyłach Kazana wrzała triumfalnie, a urok i upojny czar władzy z każdym dniem usuwały Szarą Wilczycę na dalszy plan. Przybyła dopiero w pół godziny, po dokonanym mordzie, mniej lekkonoga niż zwykle, z obojętnie zwisły mi uszami i niedbale zwieszonym łbem. Jadła mało. A pysk zwracała wciąż w kierunku Kazana. Gdzie się ruszył, wodziła za nim spojrzeniem ślepych oczu, jak

gdyby wyczekując lada chwila znajomego sygnału — owego skowytu z głębi piersi, którym wzywał ją tak często w dniach samotnej włóczęgi.

Lecz Kazan, wódz gromady, przeżywał okres przeobrażeń. Gdyby szło o wilcze stado, Szara Wilczyca bez trudu zdołałaby go odeń odciągnąć. Ale tu wszedł między zwierzęta najbliższe mu krwią i duchem. On był psem i one były psami. Wygasły płomień rozgorzał na nowo. We współżyciu z Szarą Wilczycą gryzła go zawsze samotność. Przyroda wpoiła weń pragnienie gromadnej przyjaźni i obecności nie pojedynczego druha, lecz całej ich czeredy. Z urodzenia był także niewolnikiem ludzi. Znienawidził ich z czasem, lecz należał nadal do psiego społeczeństwa. Co prawda u boku Szarej Wilczycy dozna wielu radości i więcej szczęścia niż w towarzystwie człowieka oraz własnych braci, lecz troski życia, które ongiś wiódł, poszły w niepamięć, natomiast zew krwi przemówił silnym głosem.

Z każdym dniem stawało się coraz słoneczniej i cieplej, aż w południe śnieg począł tajać. Od walki z olbrzymim huski upłynęły dwa tygodnie. Gromada stopniowo dążyła na wschód, aż odbiegła o pięćdziesiąt mil od wykrotu na torfowiskach. Szara Wilczyca bardziej niż kiedykolwiek tęskniła do opuszczonego gniazda. Zapowiedź wiosny niosła jej po raz wtóry w życiu zapowiedź macierzyństwa.

Lecz usiłowania odciągnięcia Kazana od gromady były całkiem bezowocne; nie zważając na jej protesty Kazan z każdym dniem wiódł swoją bandę coraz dalej na południo-wschód.

Instynkt skłaniał cztery psy pociągowe do wędrówki w tamtą stronę. Zbyt krótko żyły wolnym życiem kniei, by zapomnieć o człowieku, a w tym kierunku właśnie byli ludzie. Niezbyt daleko już stała faktoria Kompanii Zatoki Hudsona, gdzie w towarzystwie swych panów składali ongiś daninę futer. Kazan nie podejrzewał tego jeszcze. Lecz pewnego dnia zaszło coś, co wyjaskrawiło zbladłe

wspomnienia i zrobiło nową podnietę tworząc tym samym głębszą przepaść między nim a Szarą Wilczycą.

Zwierzęta znajdowały się właśnie u szczytu urwiska, gdy coś wstrzymało ich wędrówkę. Był to głos ludzki wykrzykujący donośnie to jedno słowo, które w ciągu tylu lat rozpłomieniało krew w żyłach Kazana: m'hoosz, m'hoosz, m'hoosz! Stanęły więc i spojrzały w dół. Po równinie gnał zaprząg sześciu psów, a za saniami pędził człowiek wołając raz po raz:

— M'hoosz, m'hoosz, m'hoosz!

Cztery huski i Kazan drżeli nerwowo, tkwiąc wciąż na jednym miejscu. Szara Wilczyca warowała za nimi dygocąc. Do piero gdy człowiek i zaprząg znikli w oddaleniu, psy zbiegły w dół i dopadłszy do szlaku obwąchiwały go skomląc niespokojnie. Potem ruszyły śladem płóz, kłusując ochoczo dobrą milę. Szara Wilczyca ociągała się wyraźnie, biegnąc o dwadzieścia jardów w prawo; świeża woń ludzka przykro drażniła jej nozdrza. Jedynie miłość do Kazana i wiara weń trzymały ją na uwięzi.

Dobiegłszy na skraj mokradła Kazan zwolnił pędu i porzucił szlak. Nad tęsknotą do ludzi zagórowała znów nieufna podejrzliwość, dziedzictwo krwi wilczej. Gdy skręcił w las, Szara Wilczyca wydała radosny skowyt i przysunęła się doń tak blisko, że ponownie, jak kiedyś, kłusowali ramię przy ramieniu.

Wkrótce nadeszły roztopy wróżąc panowanie wiosny, a tym samym opuszczenie kniei przez ludzi. Kazan i jego kompania wyczuli niebawem atmosferę powszechnej wędrówki. Znajdowali się obecnie w odległości trzydziestu mil od faktorii. Zewsząd dążyli traperzy wioząc futra zdobyte u schyłku zimy. Wszystkie szlaki ze wschodu i zachodu, z północy i południa wiodły do domu agenta. Psy wpadły niby w oka wielkiej sieci. Nie minął tydzień, by nie przecięto ludzkich tropów, czasem nawet dwu lub trzech.

Szarą Wilczycę dręczyła teraz nieustanna trwoga. Pomimo swego kalectwa czuła, że osacza ich groza ludzkiej obecności. Natomiast Kazan wyzbywał się z każdym dniem lękliwej rozwagi dzikiego zwierza. W ciągu ubiegłego tygodnia trzykrotnie słyszał ludzkie głosy, a raz doszedł go śmiech mężczyzny i radosne ujadanie sfory otrzymującej dzienną strawę. W powietrzu łowił ostry dym ognisk obozowych. Kiedyś nocą doleciała go chóralna pieśń.

Urzekający czar człowieka zwolna, lecz pewnie wlókł go w stronę faktorii. Dziś milę, jutro dwie. A Szara Wilczyca, walcząc do ostatka mimo pewnej przegranej, czuła już bliskość chwili, gdy Kazan ją odbiegnie i gdy pozostanie samotna.

W faktorii panował radosny ruch. Była to pora obliczania zysków i wesołej niefrasobliwości. Zdobyte zimą futra wysyłano na rynek światowy. Tegoroczne zgromadzenie traperów miało ponadto na widoku inny cel. Ospa przetrzebiła leśnych mieszkańców i dopiero przy powszechnym zjeździe dało się naocznie stwierdzić, kto umarł, a kto jeszcze żyje.

Indianie Czipewajowie i Metysi z południa zaczęli przybywać pierwsi, wiodąc zaprzęgi kundli i pokurczów pochwytane byle jak wzdłuż granicy cywilizacji. Tuż za nimi nadeszli łowcy z zachodnich barren, obładowani futrami białych lisów i skórami karibu, zaopatrzeni w sfory wielkołapych i długonogich mackenzie mocnych niby konie, a kwilących jak bite szczenięta, ilekroć groźne wilczury dobierały im się do kudłów. Znad zatoki Hudsona ciągnęły straszliwe psy labradorskie, które jedynie śmierć umiała poskromić. Były bure i płowe drobne szpice eskimoskie, równie szybkie w cięciu kłami jak ich panowie w razach biczem. Walecznie stawiały czoło znacznie większym, ciemniej zabarwionym malemutom z Athabaski. Człapały zgraje dzikich huski, wrogo usposobione względem wszystkiego i wszystkich, warczące, łyskające białymi kłami,

mające po przodkach wilkach głęboko zakorzenione w piersi umiłowanie świeżej krwi i mordu.

Walki trwały bez przerwy. Wzięły początek zaraz w pierwszym dniu zjazdu. Groźne paszcze od świtu do zmroku szczękały po całym obozie, a nocą wokół obozowych ognisk. Zwady między poszczególnymi psami i między psami a ludźmi wybuchały z lada powodu oraz bez powodu nawet.

Śnieg był poradlony tysiącem łap i zbrukany posoką, a woń krwi jeszcze bardziej drażniła oszalałe bestie.

Co dnia i co nocy zdarzało się pół tuzina burd z wynikiem śmiertelnym. Ginęły przeważnie kondysy przybyłe z południa, mieszańce mastyfów, dogów lub owczarków, i fatalnie ciężkie w ruchach psy mackenzie.

Wokół faktorii płonęły wieńcem obozowe ogniska gromadząc żony i dzieci myśliwych. Gdy odwilż zjadła sanną drogę, agent Williams stwierdził, że braknie wielu traperów, toteż wyczekawszy nieco, wydrapał z ksiąg sumy ich rachunków pewien, że już się nigdy nie upomną o swą należność ani nie spłacą zaciągniętych długów.

Nadeszła wreszcie noc karnawałowa. Od tygodni i miesięcy cały lud leśny marzył o tym święcie. Pod stropami chat, w kurnych szałasach, a nawet w śnieżnych schronach Eskimosów oczekiwanie zabawy poiło dusze radością i wytrwaniem. Był to wielki cyrk — dzika noc uciechy dwa razy do roku darowywana traperom przez Kompanię.

Tym razem, by zagłuszyć wspomnienia zarazy i śmierci, agent rozwinął gorączkową działalność. Jego ludzie ustrzelili cztery tłuste karibu. Na polanach zwalono wielkie stosy suchych bali, a nad każdym biły w niebo dwa mocne słupy rozwidlone u szczytu. Na tych widłach spoczywała młoda sosna odarta z kory i gałęzi i wdziany na olbrzymi rożen zwisał cały karibu, mający się rumienić w płomieniach rozpalonego poniżej ognia. Rozniecono je o zmierzchu i gdy

pierwsze złote jęzory buchnęły ku górze, Williams rozpoczął dziką pieśń:

Och, ten karibu, karibu

Piecze się wysoko.

Ledwie widzi oko

Tego wielkiego, białego karibu!

— A teraz — ryknął — teraz wszyscy razem!

Więc lud leśny porwany jego zapałem zbudził się z wielomiesięcznej niemoty, a dzika pieśń szaleńczą wrzawą buchnęła ku niebu.

O dwie mile na południo-zachód wrzawa ludzkich głosów dosięgła uszu Kazana, Szarej Wilczycy i czterech bezpańskich huski. Wraz z wrzaskiem i śmiechem mężczyzn, kobiet, dzieci huczało po lesie ujadanie i wycie niezliczonej gromady psów. Huski zwróciły łby w kierunku wrzawy, niespokojnie drepcąc na miejscu i skomląc nerwowo. Kazan trwał przez parę chwil jakby wykuty z głazu. Potem spojrzał na wilczycę. Samka cofnęła się nieco i przywarowała pod nawisłymi gałęźmi karłowatych jedlin. Łeb, ciało i nogi rozpłaszczyła na śniegu. Leżała niema, lecz marszczyła wargi i zęby jej błyszczały chłodną bielą.

Kazan podbiegł ku niej truchcikiem, obwąchał ślepy pysk i zaskomlił. Szara Wilczyca trwała nadal bez ruchu. Więc wrócił do psów, nerwowo kłapiąc paszczą. Dziki zgiełk karnawału brzmiał coraz wyraźniej i cztery huski niepomne, że tak długo chodziły pod przewodnictwem Kazana, zniżywszy łby, chyłkiem pomknęły w stronę faktorii. Kazan wahał się jeszcze, wabiąc Szarą Wilczycę. Lecz żaden mięsień jej ciała nie drgnął chęcią biegu. Poszłaby za nim na ścianę ognia, lecz nie między ludzi. Uszy miała pełne nienawistnych głosów, słyszała jednak tupot łap, gdy Kazan odchodził. Po chwili wiedziała już, że ją porzuca. Wtedy, lecz dopiero wtedy, uniosła łeb i zawyła długo a żałośnie.

Prosiła, by wrócił. Lecz silniej nad ten zew gorzał we krwi Kazana urzekający czar psów i ludzi. Huski wyprzedziły go znacznie, więc przez chwilę rwał wyciągniętym cwałem chcąc je dognać. Potem zwolnił biegu idąc truchtem, aż o sto jardów dalej stanął. Ognie płonęły zaledwie o pół mili, sycąc niebo szkarłatną łuną. Kazan zwrócił łeb wstecz, stwierdził, że Szara Wilczyca mu nie towarzyszy, i ruszył dalej, aż trafił na szeroki, mocno ubity szlak. Śnieg był udeptany skórzniami ludzi i łapami psów, gdyż przed paroma dniami wleczono tędy dwa świeżo ubite karibu.

Dotarł wreszcie do wąskiej obręczy zarośli opasujących polane, a blask płomieni rozgorzał w jego ślepiach. Zgiełk pieśni, śmiechów i skowytów krążył mu w żyłach niby lawa. Kazan pragnął skoczyć naprzód, wmieszać się w tłum, na nowo rozpocząć byt, który był ongiś jego udziałem. Gibki niby wąż, jard za jardem pełzł wśród zarośli, aż wychynął z gęstwiny. Tu stanął i ukryty w cieniu igliwia spoglądał na życie, którym kiedyś żył, drżący, stęskniony, a jednak w ostatniej chwili pełen wahania.

W odległości stu jardów wrzało mrowisko ludzi, psów i płomieni. W nozdrza bił mu mocny aromat pieczonego karibu i podczas gdy pies czaił się, jeszcze nieufny, ludzie zbrojni w potężne drągi zwalili ogromną, brunatną pieczeń na topniejący śnieg. Wnet łyskając nożami zwarł się kręgiem tłum mężczyzn, opasany nie mniej ciasnym i chciwym koliskiem warczących psów. Kazan zapomniał od razu o Szarej Wilczycy, o rozwadze, którą wpajała mu miesiącami, i wypadł z gęstwiny niby bury pocisk.

Gdy dopadł stada psów, one cofały się właśnie, a kilku mężczyzn spomiędzy sług faktorii siekło je po pyskach długimi biczami uwitymi z jelit karibu. Jakiś szpic eskimoski, cięty boleśnie, kłapnął kłami broniąc się od razów i trafił w bok Kazana. Kazan uderzył nań jak błyskawica i walka rozgorzała natychmiast. W następnym mgnieniu już się

przewalały po ziemi, przy czym Kazan trzymał swego przeciwnika za gardło.

Ludzie skoczyli ku nim wrzeszcząc. Bicze cięły powietrze niby ostrza szpad. Kazan, który znajdował się na wierzchu, uczuł dotkliwy ból i zaraz odzyskał pamięć dawnych, nienawistnych zdarzeń, dni kija i bata. Warknął. Wolno wyswobodził kły ze skóry psa eskimoskiego. Wtem z kłębowiska zwierząt i ludzi wypadł człowiek z kijem. Kij gruchnął Kazana po grzbiecie i wtłoczył go w śnieg. Pies uniósł się ponownie Spoza kija wyzierała brutalna, czerwona gęba, podobna do tej, która pierwsza zbudziła w Kazanie chęć ucieczki w knieję. Kij świsnął. Pies uskoczył w bok i szczęknął kłami. Człowiek zamierzył się po raz trzeci, a Kazan szalonym susem uchwycił w powietrzu zbrojne ramię i rozdarł je od łokcia po dłoń.

—O Boże! — jęknął ranny.

Kazan dostrzegł błysk fuzji i pomknął w las. Huknął strzał. Wzdłuż grzbietu psa przeleciało coś jak rozpalony pręt żelazny, lecz Kazan przystanął dopiero w głębi boru, by polizać bolące pasmo wyżarte przez kulę. Strzał trafił o tyle, że zgolił kudły i podrażnił mięśnie.

Szara Wilczyca oczekiwała wciąż pod nawisłymi gałęziami jedliny, gdy Kazan do niej wrócił. Radośnie skoczyła mu naprzeciw. Raz jeszcze człowiek odesłał jej towarzysza. Kazan czule polizał jej pysk i barki, potem stał chwilę, wsparty łbem na jej siwym grzbiecie, nasłuchując dalekiej wrzawy.

Wreszcie położył uszy po sobie i ruszył prosto na północozachód. Lecz teraz Szara Wilczyca mknęła z nim bark w bark jak za dawnych, dobrych dni. Instynkt silniejszy niż rozum uprzedzał ją radośnie, iż celem podróży jest stary wykrot na mokradłach.

ROZDZIAŁ XVII

SYN KAZANA

Opuścili bagniska przed miesiącem, gdy śnieg krył wszystko wokół grubą warstwą. W godzinie ich powrotu, jako w pierwszym niezaprzeczenie wiosennym dniu, słońce dopiekało jut niezgorzej. Wszędzie mknęły strużki i potoki topniejących zasp, trzaskał lód, mróz umykając kąsał jeszcze złośliwie ziemię, głazy i drzewa, a co noc, przez wiele nocy, zimne, blade lśnienie zorzy polarnej pełzło coraz dalej w stronę bieguna w rnierzchnącej glorii barw.

Oto już pąki topoli nabrzmiały zielenią, powietrze zaś wionęło aromatem żywicy. Tu gdzie przed niewielu tygodniami śmierć i głód pląsały wśród ciszy — Kazan i Szara Wilczyca chwytali słuchem nieustającą pieśń życia. Ponad ich głowami polatywały świeżo skojarzone sójki świergocąc gderliwie. Wielki drozd stroszył w słońcu lśniące pióra. Z dala dobiegał trzask chrustu naciśniętego ciężką stopą. Z urwiska powiało ostrą wonią starej niedźwiedzicy, która właśnie naginała gałęzie topoli dla swych sześciotygodniowych szczeniąt urodzonych w czasie zimowego snu.

W promieniach słońca i słodyczy fal powietrznych Szara Wilczyca łowiła tajemniczy nakaz przyjaźni i macierzyństwa. Wydając cichy skowyt potarła o kark Kazana niewidomy łeb. Od dawna już próbowała mu na swój sposób wyjawić ważną, nowinę. Bardziej niż kiedykolwiek pragnęła lec zwinięta w kłębek w ciepłym i suchym gnieździe wykrotu. Bynajmniej nie tęskniła o łowów. Trzask chrustu pod ciężką łapą i specyficzna woń niedźwiedzia pozostawiały ją obojętną.

Teraz, gdy śniegi zeszły, spostrzegli, że od wykrotu położonego na małym pagórku dzieli ich rwąca struga. Szara Wilczyca nastawiła uszy słysząc bełkot wody na miniaturowych porohach. Od dnia pożaru, kiedy razem z Kazanem znalazła schronienie na wydmie nadrzecznej, straciła w znacznym stopniu wrodzony wstręt do wody. Kroczyła więc odważnie i niema! wesoło w ślad za swym samcem, podczas gdy on badał możliwości przebycia przeszkody.

Po drugiej stronie koryta Kazan widział wykrot. Szara Wilczyca czuła go, więc skomliła radośnie. O sto jardów w bok, w poprzek strugi, spoczywał olbrzymi cedr i Kazan wkroczył na ten zaimprowizowany most. Wilczyca zawahała się na mgnienie, podążyła jednak za nim. Bok w bok przydreptali do wykrotu. Wetknąwszy łby i barki w ciasny otwór węszyli długo i przezornie. Potem weszli w głąb. Kazan usłyszał, jak samka pada na suchą podściółkę. Dyszała głośno nie z wyczerpania bynajmniej, lecz z radosnego zadowolenia. W mroku Kazan rozdziawił paszczę. On również był rad, że wreszcie są w domu u siebie. Zbliżył się do towarzyszki, a ona oblizała mu pysk dysząc coraz prędzej. Nie podobna było się mylić co do jej uczuć i Kazan zrozumiał.

Przez chwilę leżał tuż koło niej nasłuchując i spoglądając ku wejściu. Potem wstał i zaczął obwąchiwać ściany jaskini. Raptem doleciał go nowy, mocny zapach, więc zesztywniał cały i najeżył grzbiet. W ślad za wonią rozbrzmiał gderliwy skrzek. Przez szparę wlazł do środka jeżozwierz i sunął naprzód, gwarząc piskliwie jak dziecko, w swój zwykły głupkowaty sposób. Był ogromnie zabawny, czemu też zawdzięczał łaskawą przyjaźń leśnych ludzi. Kazan niejednokrotnie przedtem słyszał jego nieartykułowane gawędy i wzorem innych stworzeń stale ignorował obecność nieszkodliwego grubasa. Lecz teraz nie zastanowił się wcale , kim jest nieproszony gość; nie pomyślał, że na pierwsze

jego warknięcie kolczasty zwierzak wycofa się, ile sił w krótkich nóżkach, bełkocąc jedynie pod nosem różne przekleństwa. Wiedział tylko, że intruz ośmiela się naruszyć nietykalność domostwa, do którego wrócił przed chwilą. Po upływie dnia , być może nawet po upływie godziny, Kazan wykazałby więcej rozsądku. Teraz, pełen wojowniczego ferworu, runął na jeżozwierza. Donośne parskanie, prosięcy kwik i wreszcie coraz silniejsze wycie przypieczętowały bezrozumny atak. Szara Wilczyca podskoczyła ku wyjściu. O kilkanaście kroków tkwił jeżozwierz zwinięty w iglastą kulę, a opodal Kazan ryczał dzikim głosem, obłąkany najstraszliwszą męczarnią, jaka tylko może spotkać mieszkańca kniei. Jego nos i łeb robiły wrażenie poduszki do szpilek. Przez chwilę tarzał się i wiercił w mchu i błocie, szaleńczo trąc kłujące ostrza. Potem porwał się do biegu i zaczął gnać w kółko, piszcząc za każdym skokiem jak każdy pies, który zawarł zbyt bliską znajomość z poczciwym jeżozwierzem.

Szara Wilczyca przyjęła to zdarzenie dość filozoficznie. Być może nawet wyczuwała ponury komizm sytuacji. Węch powiadomił ją o sąsiedztwie jeżozwierza, więc wiedziała, że Kazan jest pełen kolców. Ponieważ na razie nie było nic do roboty, a nie miała z kim walczyć, siadła opodal wykrotu w wyczekującej postawie, podnosząc jedynie uszy, ilekroć Kazan mijał ją w swej szaleńczej gonitwie. Za czwartym czy piątym nawrotem jeżozwierz nieco spuścił zjeżone kolce, podwyższył trochę nieustanną nić piskliwej gawędy, podreptał ku pobliskiej topoli, wgramolił się na nią i począł żuć delikatną korę pnia.

Kazan przystanął wreszcie obok Szarej Wilczycy. Początkowy ostry ból od setek igieł rwących jego mięśnie przeobraził się teraz w tępą, okrutną mękę. Wilczyca podeszła bliżej i zaczęła starannie badać jego rany. Ujęła zębami wystające końce dwu czy trzech szpilek i wyciągnęła je. W Kazanie psia natura górowała teraz niepodzielnie.

Wydał głośny skowyt, a potem zapłakał, gdy Szara Wilczyca wyrwała nowy pęk kolców. Wreszcie przywarował na brzuchu, wyciągając przednie łapy, zamknął ślepia i bez protestu, piszcząc jedynie od czasu do czasu, poddał się dalszym zabiegom. Szczęściem żaden kolec nie wbił mu się w gardło. Lecz nos i wargi spłynęły wkrótce krwią.

Szara Wilczyca pracowała wytrwale przez dobrą godzinę, a po upływie tego czasu potrafiła wydobyć większość igieł. Pozostało jednak kilka zbyt krótkich lub pogrążonych zbyt głęboko.

Teraz Kazan poczłapał nad brzeg strumienia i wetknął w wodę płonący pysk. Chłodny nurt przyniósł mu ulgę, lecz tylko na krótką chwilę. Nie usunięte zadziory przebijały się przez mięśnie niby żywe żądła. Nos i wargi obrzmiały. Z pyska ciekły obficie ślina i krew, a oczy poczerwieniały jak rubiny. Po upływie dwu godzin jeden kolec przebiwszy wargę rozranił język. Kazan w rozpaczy począł gryźć kawał suchego drewna. W ten sposób ułamał i stępił zadzior niwecząc jego niszczącą siłę. Instynkt pouczył go o jedynej możliwości ratunku. Niemal do zmierzchu żuł i miażdżył nieustannie to ziemię, to chrust. Nad wieczorem wpełzł do wykrotu, a Szara Wilczyca pieściwie oblizała mu pysk chłodnym, miękkim językiem. Nocą Kazan parokrotnie chadzał nad strugę szukając ukojenia w jej lodowatym prądzie. Nazajutrz dostał tak zwanej jeżozwierzowej melancholii. Łeb obrzmiał mu tak bardzo, że Szara Wilczyca, gdyby los uczynił ją raptem człowiekiem przywracając jednocześnie wzrok, bez wątpienia wybuchnęłaby śmiechem. Wargi miał obrzękłe jak poduchy. Oczy niby dwie wąziutkie szparki. Wyszedłszy z wykrotu na świat mrugał niepewnie, gdyż widział dziś niewiele lepiej od swej samki. Lecz ból zniknął niemal całkowicie. Następnej nocy Kazan począł myśleć o łowach, a zaledwie błysnął dzień, już pies przyniósł do jaskini wielkiego królika. W parę godzin później miał właśnie schwytać przepiórkę, lecz w chwili gdy ją

podchodził, usłyszał raptem w pobliżu piskliwą gawędę jeżozwierza. Stanął jak wryty. Mało kto mógł skłonić Kazana do ucieczki. Ale na ten idiotyczny skrzek podwinął ogon i wycofał się skwapliwie z niebezpiecznego sąsiedztwa. Jak człowiek czuje wstręt do gadów i unika ich w miarę możności, tak pies miał odtąd stronić od kolczastego wesołka, chociaż ten, obdarzony niewyczerpaną pogodą ducha, nigdy za ludzkiej pamięci nie szukał z nim zwady.

Następne dwa tygodnie przyniosły dnie coraz dłuższe, wiele słońca i wiele szczęśliwych łowów. Śnieg minął szybko. Z ziemi strzelały zielone pędy. Pnącze baknisz czerwieniały z każdą dobą, pąki topoli rozwierały brunatną pochewkę, a na słabo ocienionych łęgach bielały pierwiosnki.

Początkowo Szara Wilczyca chętnie szła na łowy u boku Kazana. Nie odbiegali zbytnio od legowiska. Błota roiły się od drobnej zwierzyny i co dnia lub co noc mieli świeże mięso. Po upływie tygodnia wilczyca polowała rzadziej i z mniejszym zapałem.

Nadeszła wreszcie ciepła, balsamiczna noc pełna księżycowych blasków, gdy Szara Wilczyca odmówiła stanowczo wszelkiej włóczęgi. Kazan nie nalegał. Instynkt pozwolił mu wyczuć przyczynę. Sam też nie oddalał się zbytnio. Wróciwszy przyniósł królika. Lecz z najciemniejszego kąta jaskini przywitało go ostre warknięcie ślepej samki. Stanął więc niezdecydowany. Nie pogniewał się zresztą, tylko trwał chwilę bez ruchu i patrzał nic nie widząc, gdyż w jamie panował absolutny mrok. Potem zic ożył królika na ziemi i legł przy wejściu. Po minucie wstał trochę zdenerwowany i uczynił parę kroków po mokradle. Lecz nie porzucał wykrotu.

Gdy powtórnie zajrzał do wnętrza, był już dzień. Sapał węsząc ciekawie, tak samo jak węszył kiedyś u szczytu Słonecznej Skały. Lecz to, co złowił w powietrzu nie stanowiło dlań tajemnicy. Zbliżył się do swej samki, ą ona nie przywitała go już warknięciem. Gdy musnął ją pyskiem,

wydała błagalny skowyt. Potem nos Kazana trącił coś jeszcze. Był to ciepły, miękki kłębuszek piszczący cichutko. Kazan zaskomlił w odpowiedzi, a Szara Wilczyca szybko przesunęła językiem po jego łbie.

Pies zawrócił, wyszedł z jaskini i legł tuż na słońcu. Dolna szczęka mu opadła i ział tak chwilę, gdyż był niezwykle rad.

ROZDZIAŁ XVIII

BARI

Kazan i Szara Wilczyca, pozbawieni już raz przez wielką, siwą bestię rozkoszy ojcostwa i macierzyństwa, nieco zmienili normalny sposób zachowania się. Pamiętali, jakby to było wczoraj, księżycową noc i rysia, który oślepił biedną samkę, oraz walkę, w której Kazan krwawo pomścił śmierć szczeniąt i kalectwo towarzyszki. Teraz, gdy drobny, żywy kłębek piszczał -u jej boku, Szara Wilczyca jaśniej niż kiedykolwiek miała w pamięci miniony dramat, więc dygotała ustawicznie, gotowa za byle szmerem skoczyć na wroga, którego nie mogła dojrzeć, gotowa rozerwać każdą istotę nie będącą jej młodem ani Ka-zanem.

Kazan stróżował również bez wytchnienia i wypoczynku. Lada szelest porywał go na nogi. Nie dowierzał nawet cieniom. Chrzęst chrustu opodal wydzierał mu z piersi groźne warknięcie. Gdy powietrze przynosiło obcą woń, złośliwie szczerzył kły. I w nim także wspomnienie dramatu na Słonecznej Skale, śmierć pierwszych szczeniąt oraz ślepota Szarej Wilczycy zrodziły nowy instynkt. Ani na sekundę nie poniechał czat. Z równą pewnością, z jaką człowiek wygląda wzejścia słońca, on wyczekiwał, że prędzej czy później wypełznie z kniei ich śmiertelny wróg. Kiedyś o tej samej porze i w jednakowych okolicznościach ryś wywołał straszną katastrofę. Zabił i oślepił. Toteż dniem i nocą Kazan czyhał na rysia. Marny byłby los każdej istoty, która by się ośmieliła podejść do jaskini.

Lecz cisza słoneczna pochylała nad mokradłem czarę obfitości. Nikt nie naruszał spokoju Kazana i Szarej Wilczycy z wyjątkiem hałaśliwych bekasów, czerwonookich sójek, świergotliwych wróbli, myszy leśnych i wszędobylskich

gronostajów. Po paru dniach Kazan zaczął częściej odwiedzać samkę w jej gnieździe, lecz jakkolwiek szperał pilnie, nie mógł odnaleźć więcej niż jedno małe.

Nieco dalej na zachód Indianie „Psie żebro nazwaliby szczenię „Bari , a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, że było jedynakiem; po drugie dlatego, że łączyło w sobie krew psią i wilczą. Był to od razu brzdąc ruchliwy i pełen energii, gdyż matka mogła mu poświęcać cały zasób swej troskliwości oraz sił żywotnych. Rozwijał się z zadziwiającą szybkością wilka, nie zaś z powolnym niedołęstwem psa. Pierwsze trzy dni tkwił bezustannie u boku rodzicielki ssąc, ilekroć czuł apetyt, śpiąc bardzo wiele, bez przerwy pieszczony i wygładzany językiem Szarej Wilczycy. Począwszy od czwartego dnia zbudziła się w nim nowa energia i zmysł badawczy. Odnalazł ślepy pysk swej mamy, po wielu wysiłkach i upadkach przewędrował zaporę jej łapy, a zabrnąwszy o parę cali w bok sapał wzywając płaczliwie ratunku. Wkrótce zaczął pojmować, że Kazan należy również do rodziny, a ukończywszy tydzień zwinął się raz do snu między przednimi łapami ojca. Kazan zdziwił się niemało. Lecz Szara Wilczyca, westchnąwszy głęboko, umieściła łeb tuż obok marnotrawnego syna i Kazan ani drgnął przez dobre pół godziny.

Bari mając dziesięć dni nabrał przekonania, że niezwykle miło jest igrać z kłębkiem turzycy. Nieco później dokonał nowego, doniosłego odkrycia — zobaczył światło i słońce. Słoneczny dysk, który płynął teraz po niebie wyższą drogą około południa słał więź promieni przez główny otwór pieczary. Na razie Bari wytrzeszczał tylko ślepka na złotą smugę. Potem zapragnął z nią poswawolić jak z króliczą sierścią. Wreszcie z każdym dniem zaczął się coraz bardziej zbliżać do szczeliny pełniącej funkcję drzwi. Aż nadszedł czas, gdy dotarłszy do wejścia przykucnął tam mrużąc ślepki, zalękniony nieco niezwykłym obrazem. Szara Wilczyca nie próbowała go powstrzymać. Przeciwnie,

wyszedłszy na słońce wołała go ku sobie. Lecz dopiero po trzech dniach słabe oczki szczeniaka wzmocniły się o tyle, że mógł podążyć za matką. Teraz Bari gwałtownie pokochał słońce, ciepły powiew niosący słodycz życia, a znienawidził mroczny zaduch rodzinnej jaskini.

Wkrótce jednak poznał, że ten nowy świat nie jest wcale tak przyjazny, jak się na pierwszy rzut oka wydał. Pewnego dnia Szara Wilczyca czując nadejście burzy usiłowała zwabić go z powrotem. Po raz pierwszy wołała syna w ten sposób, więc Bari nie zrozumiał. Gdy matce się nie powiodło, przyroda dała malcowi nauczkę. Ulewa lunęła nań niespodzianie. Przybiła go co ziemi płaszcząc zupełnie i zmokłą, półprzytomną kruszynę Szara Wilczyca musiała zębami wciągać do gniazda.

Raz po raz nabierał potem rozlicznych doświadczeń. Kolejno przemawiał w nim wieloraki instynkt. Pamiętny był dzień, gdy nos Bariego dotknął po raz pierwszy krwawiącego i ciepłego jeszcze królika. Nigdy dotąd szczeniak nie chłeptał świeżej krwi. Wydała mu się rozkosznym przysmakiem. Odtąd pilnie wyglądał chwili, gdy Kazan wracając z polowania przynosił w pysku nową zdobycz. Wkrótce też począł tarmosić gałązki za- miast puchu i turzycy, aż ząbki jego zrobiły się ostre i mocne jak rząd igieł.

Pewnego dnia poznał Wielką Tajemnicę. Kazan przydźwigał do jaskini ogromnego królika, żywego jeszcze, lecz pokaleczonego tak dotkliwie, że nawet puszczony wolno nie mógł biec. Bari wiedział już, że króle i przepiórki dają ciepłą, słodką krew, smaczniejszą bodaj niż matczyne mleko. Lecz widywał je tylko martwe. Żaden z tych potworów nie żył w jego obecności. Teraz; zaś królik ciśnięty na ziemię, mając przetrącony grzbiet, wierzgał i miotał się bez ustanku. Bari speszony odstąpił wstecz. Długą chwilę pełen zdumienia obserwował konającą zdobycz Kazana.

Kazan zaś i Szara Wilczyca zdawali się pojmować, że szczeniak bierze pierwszą lekcję walki i mordu, toteż stojąc tuż obok królika bynajmniej nie próbowali go dobić. Samka kilka razy obwąchała puszyste zwierzątko, po czym zwróciła w kierunku syna niewidomy łeb. Kazan wyciągnął się w pobliżu, bacznie obserwując bieg wydarzeń. Za każdym razem, gdy Szara Wilczyca wąchała królika, Bari ciekawie nastawiał uszki. Widząc, że nic się nie dzieje i że mama nie doznaje żadnych obrażeń, przystąpił bliżej. Wkrótce już, ostrożnie wydłużony na sztywnych łapkach, mógł nosem trącić zwierzynę. W ostatnim spazmatycznym wysiłku królik wierzgnął skokami i Bari padł na grzbiet skomląc rozpaczliwie. Wstał zresztą niebawem i po raz pierwszy od dnia narodzin uczuł napływ oburzenia i chęć zemsty. Wrócił do królika mniej ostrożnie, choć sztywniej, i po chwili zanurzył ząbki w jego karku. Czuł dreszcz życia w delikatnym ciele; mięśnie konającego zwierzątka dygotały pod nim nerwowo, lecz nie puszczał, aż królik zwisł cichy i martwy.

Szara Wilczyca była ogromnie dumna. Polizała Bariego jak najserdeczniej i nawet Kazan sapnął pełen zadowolenia. A Bariemu krew nie smakowała jeszcze nigdy tak słodko jak dziś.

Szczeniak rozwijał się szybko i wkrótce nie tylko pił krew, lecz również żarł mięso. Jedne po drugich poznawał zagadki bytu. Słyszał już wstrnymtne, miłosne bełkoty sów, łomot padającego drzewa, huk piorunu, szum pędzącej wody, wrzask wydry, ryk łosia i odległe wycie szarych braci leśnych. Lecz ponad wszystko inne korciła go tajemnica woni. Pewnego dnia zabrnąwszy o pięćdziesiąt metrów od wykrotu trafił noskiem na świeży trop króliczy. Natychmiast, bez żadnych wskazówek, zrozumiał, że należy iść tym śladem, by znaleźć tak bardzo ulubioną krew i mięso. Podreptał więc naprzód, aż dotarł do zwalonego pnia, który

królik przesadził jednym skokiem. Tu woń urywała się pozornie i Bari zawrócił ku domowi.

Lecz potem co rano wyruszał na poszukiwanie przygód. Początkowo czuł się jak podróżnik bez kompasu i mapy zbłąkany w obcym środowisku. Co dzień napotykał rzeczy nowe, często zadziwiające, nierzadko okropne. Ale bał się coraz rzadziej: natomiast coraz częściej czuł niezachwianą ufność we własne siły i spryt. Poznawszy, że żadna ze straszliwych rzeczy nie wyrządza mu zła, zapuszczał się coraz dalej w głąb kniei. Jednocześnie z przeobrażeniem pojęć zmieniał się i jego zewnętrzny wygląd. Beczułkowate ciało nabierało prawidłowych kształtów. Stał się zręczny i lotny. Żółte futerko ściemniało, a wzdłuż grzbietu przebiegło siwe pasmo tak jak u Kazana. Miał podgardle matki i tak jak ona wdzięcznie osadzony łeb. Poza tym był nieodrodnym synem swego ojca. Łapy zdradzały przyszłą moc i tężyznę. Miał wypukłą pierś, a oczy rozmieszczone szeroko i napiętnowane w kącikach kropelką krwi. Traperzy wiedzą, czego należy się spodziewać po psie huski znaczonym od maleństwa tym purpurowym piętnem. Świadczy ono o dzikim pochodzeniu i domieszce rasy wilczej. W Barim owa pieczęć jaśniała tak wyraźnie, że trudno było się mylić. Jakkolwiek mieszanej krwi, miał zawsze ciążyć ku burym, leśnym włóczęgom.

Zresztą dopiero pierwsza samodzielna utarczka postawiła go na właściwym miejscu. Pewnego dnia zabrnął dalej niż kiedykolwiek. Od siedziby rodzinnej dzieliło go pełnych sto jardów. Spostrzegł też nowe cudo. Był to strumień. Bari słyszał już poprzednio jego perlisty bełkot i spoglądał nań z daleka, z odległości pięćdziesięciu jardów co najmniej. Lecz dziś odważył się zejść nad sam brzeg i stał zuchwale, mając u stóp gderliwy nurt, a po drugiej stronie łożyska tajemniczy i pełen dziwów krajobraz. Potem ruszył brzegiem koryta. Nie uszedł i dwunastu kroków, gdy tuż przed nim zabrzmiał głośny łopot. Ogromna kanadyjska

sójka, jedna z największych tego gatunku, tkwiła mu na drodze. Nie mogła latać. Jedno z jej skrzydeł zwisało bezwładnie, złamane zapewne przy spotkaniu z którymś z małych leśnych drapieżników. Lecz Bari uważał przez chwilę ptaka za wyjątkowo groźną i zadzierzystą bestię.

Po pewnym czasie jednak siwy włos na karku zjeżył mu się i Bari uczynił krok naprzód. Sójka trwała bez ruchu, a gdy , szczeniak był oddalony już tylko o trzy stopy, poczęła się cofać. Natychmiast chwiejna decyzja Bariego stężała na stal. Z ostrym, nerwowym skowytem skoczył na rannego ptaka. Pogoń trwała parę sekund i Bari pogrążył zęby w puch i pierze. Ptak zaczął się bronić bijąc dziobem na prawo i lewo. Kanadyjska sójka, choć niewielka, należy do dziarskich szermierzy.

W porze zalotów niejednokrotnie pozbawia życia wróbla lub dzięcioła. Teraz zajadle łomotała mocnym dziobem, lecz syn Kazana posiadł już wojowniczy temperament i ból razów niecił w nim gniew zamiast trwogi. Coraz głębiej zanurzał kły. Wreszcie dosięgnął mięsa i warknął komicznie. Szczęściem dla siebie trzymał ptaka pod skrzydło i ten słabł bardzo szybko. Po upływie pięciu minut Bari rozluźnił szczęki i cofnął się, by wygodniej obejrzeć zmięty, zbrukany kłębek leżący u jego stóp. Sójka już nie żyła. Pierwszą utarczkę uwieńczyło bezsprzeczne zwycięstwo. A wraz z poczuciem wygranej opromieniła go nowa świadomość; zrozumiał, że nie jest już zbędnym leniuchem w leśnym państwie, tylko od dziś pełnoprawnym członkiem wielkiej rodziny, gdyż sam zdobył własny żer.

W pół godziny później Szara Wilczyca odnalazła go po śladach. Z ptaka pozostały tylko strzępy. Pióra fruwały tu i ówdzie, zaś nosek Bariego krwawił. On sam spoczywał nad zdobyczą jak zuchwały triumfator. Szara Wilczyca zrozumiała wszystko i upieściła go zapalczywie. Gdy razem wrócili do jaskini, Bari dźwigał w mordce żałosne resztki biednej sójki.

Odtąd myślistwo stało się dla szczeniaka główną ozdobą istnienia. Oddawał mu się z pasją. O ile nie spał na słońcu lub w jamie, o ile nie jadł — szukał życia, które by mógł zniweczyć. Sprawił srogą rzeź w rodzinie leśnych myszy. Schwytał trzy sójki jako stosunkowo łatwą zdobycz. Potem napotkał gronostaja i mały, biały drapieżnik dał mu poznać po raz pierwszy gorycz porażki. Przegrana ochłodziła jego zapał na parę dni pouczając go jednocześnie, że zgodnie z prawami natury pazury i kły nie powinny siebie wzajem uważać za pożywienie. Instynkt podszepnął mu jeszcze wiele pożytecznych wiadomości. Bari unikał jeżozwierza nie zaznawszy nawet ukłucia jego kolców. Raz stanął nos w nos z wydrą. Oboje szukali zdobyczy, że zaś żadne mięso nie leżało między nimi, każde poszło swoją drogą.

Bari oddalał się coraz bardziej od rodzinnego domu, ciągle idąc brzegiem strugi. Nieraz przepadał godzinami. Na razie Szara Wilczyca niepokoiła się mocno nieobecnością syna, lecz towarzyszyła mu rzadko, przestała się więc wkrótce zbytnio troszczyć o jego los. Prawo natury miało bieg przyrodzony. Teraz Kazan zdradzał silną nerwowość. Nadeszły księżycowe noce i chęć włóczęgi rozpalała krew w żyłach psa. Szara Wilczyca również tęskniła coraz częściej do swobodnej wędrówki po szerokich leśnych rozłogach.

Pewnego popołudnia Bari zabrnął dalej niż zwykle. O pół mili od wykrotu ubił pierwszego w życiu królika. Pozostał obok trupa do zmierzchu, Wzeszedł księżyc wielki, jaskrawozłoty i oblał świat blaskiem. Noc była niemal równie jasna jak dzień. Bari porzucił królika i ruszył przed siebie. Nie kroczył zaś w stronę jaskini, przeciwnie, oddalał się od niej coraz bardziej.

Szara Wilczyca wyczekiwała syna przez całą noc. Przez całą noc nasłuchiwała jego powrotu. A gdy księżyc spłynął nisko na południowo-zachodnią połać nieba, usiadła w trawie i unosząc wysoko smukły łeb zawyła po raz pierwszy od dnia urodzin Bariego.

W dali szczeniak usłyszał; lecz natura weszła już w swoje prawa, więc Bari nie zawrócił z drogi.

ROZDZIAŁ XIX

NAJEŹDŹCY

U schyłku promiennej wiosny, a na początku znojnego lata, gdy noce gorzały gwiazdami jak tysiącem klejnotów. Kazan wraz z Szarą Wilczycą ruszyli doliną pomiędzy dwoma górskimi grzbietami na dalekie łowy. Był to początek napadu włóczęgostwa, ogarniającego zawsze czworonożne istoty natychmiast po opuszczeniu gniazd przez młode pokolenie.

Ruszyli zatem od wykrotu wprost na zachód. Polowali przeważnie nocą, znacząc swój pochód na pół obgryzionymi szkieletami przepiórek i królików. O tej porze roku zabijano dla przyjemności i z nadmiaru sił żywotnych, nie zaś dla zaspokojenia głodu. W odległości dziesięciu mil od moczarów zamordowali jelonka. Porzucili go po jednej uczcie śpiesząc w dalszą drogę. Byli wiecznie opchani świeżym mięsem i krwią. Utyli oboje, sierść ich lśniła, co dnia dłużej i leniwiej kąpali się w słońcu. Nikt nie wchodził im w drogę. Rysie zwiedzały gęstsze mateczniki na południu. Wilków brakło zupełnie. Wzdłuż strugi zamieszkiwały co prawda skunksy, kuny i łasice, lecz one nie należały do groźnych konkurentów.

Pewnego dnia napotkali starą wydrę. Był to samiec, istny olbrzym, z nadejściem lata porastający siwym włosem. Kazan otyły i leniwy przyglądał mu się nonszalancko. Ślepa samka wciągała ciekawie woń przesyconą odorem ryby. Zresztą zważali nań niemal tyle co na płynącą gałąź. Należał do gatunku istot wodnych, zatem obcych ich światu, toteż ruszyli w swoją drogę nie przypuszczając nawet, że ta dziwaczna kreatura stanie się wkrótce ich sprzymierzeńcem w jednej z najzażartszych wojen.

Nazajutrz po spotkaniu wydry Szara Wilczyca i Kazan uszli jeszcze trzy mile krocząc wciąż na zachód, wzdłuż koryta strugi. Lecz wreszcie trafili na przeszkodę, która zmusiła ich do skręcenia na północ, ku linii wzgórz. Przeszkodę stanowiła ogromna tama bobrowa. Ciągnęła się ona na dobre sto jardów kryjąc pod wodą całą milę błot i lasu. Zarówno Szara Wilczyca, jak i Kazan nie dbali zbytnio o bobry. Te ziemnowodne stworzenia tworzyły wespół z rybą i lotnym ptakiem zwierzostan niedostępnych im żywiołów.

Toteż skręcili na północ ani przypuszczając, że przyroda kazała już im czworgu: psu, wilczycy, bobrowi i wydrze, wejść w tragiczny konflikt. Mieli stoczyć walkę bez pardonu, jedną z tych jakie oglądają jedynie słońce, księżyc i gwiazdy, a które pozostają zawsze tajemnicą głuszy.

Od wielu lat żaden człowiek nie niepokoił kolonii bobrów. Gdyby jednak myśliwiec z plemienia Sasi wędrując wzdłuż bezimiennej strugi zabrnął w te okolice i schwytał patriarchę oraz wodza osady, poznałby wnet, że ma przed sobą wiekowe stworzenie, a władając barwnym indyjskim językiem bez zwłoki nadałby mu odpowiednie imię. Nazwałby go „Szczerbatym , gdyż jeden z czterech kłów bobra, służący mu do piłowania drzew, był wyłamany ze szczęki

Przed sześciu laty Szczerbaty przywiódł w te strony paru towarzyszy i przy ich wydatnej pomocy założył pierwszą niewielką tamę oraz zbudował pierwszy domek. W następnym roku w kwietniu samka wodza wydała na świat czworaczki, a każda z pozostałych dam kolonii pomnożyła liczbę jej mieszkańców w ten sam lub nieco skromniejszy sposób; Po upływie czterech lat, o ile wypadki miały iść normalnym biegiem, cała młodzież winna była porzucić rodzinne pielesze i łącząc się w pary zakładać nowe żeremia . Tymczasem, jakkolwiek skojarzono wiele małżeństw, nikt nie opuścił starej kolonii. Po roku nowa, czteroletnia teraz generacja osiadła również obok rodziców. Toteż obecnie

siedziba bobrów robiła niemal wrażenie miasta, które przez dłuższy czas było oblegane. Ostatnio przybyły jeszcze cztery bębny, wydane na świat w marcu i kwietniu. Tama wydłużyła się i zajęła przestrzeń dwustu jardów. Wodą pędzono z dala wielkie pnie brzóz i topoli oraz sprowadzano całe pęki delikatnych gałęzi wierzb i olch. Mimo to brakło pożywienia, a domki pękały niemal od nadmiaru mieszkańców. Tymczasem bobry przywiązują się do rodzinnych chat na równi z ludźmi. Lepianka Szczerbatego miała wewnątrz dokładnie siedem stóp na dziewięć długości, a zamieszkiwało ją, wliczając w to dzieci i wnuki, dwadzieścia siedem stworzeń. Toteż senior rodu postanowił naruszyć uświęconą latami tradycję. Właśnie gdy Kazan i Szara Wilczyca łowili niedbale specyficzną woń bobrowych żeremi, Szczerbaty wyprowadzał całą swą rodzinę i potomstwo na dobrowolną emigrację.

Jak dotąd był on uznanym wodzem kolonii. Żaden inny bóbr nie dorównał mu we wzroście ani mocy. Krępy korpus miał pełne trzy stopy długości. Zwierzę ważyło dobre sześćdziesiąt funtów. Ogon, długości czternastu cali, a szerokości pięciu, klasnąwszy po wodzie w cichą noc słał odgłos uderzenia na ćwierć mili w dal. Tylne łapy pociągnięte błoną urosły dwukrotnie większe niż łapy jego samki, przy czym bez trudu osiągnął sławę najlepszego pływaka gromady.

Od chwili gdy Kazan i Szara Wilczyca skręcili na północ, minęło zaledwie parę godzin. Nadeszła cicha, jasna noc. Szczerbaty wlazłszy na tamę otrząsnął się z wody i obejrzał, by sprawdzić, kto za nim podąża. Wygwieżdżona toń stawu falowała drżąc, mącona ruchem wielu ciał. Parę starszych bobrów wygramoliło się w ślad za patriarchą, więc dał nurka w głąb wąskiej strugi migocącej po drugiej stronie tamy. Lśniące, jedwabiste sylwetki emigrantów wykonały ten sam ruch. Parami, trójkami lub pojedynczo matki pięły się na wysoką zaporę wiodąc tuzin małych urodzonych przed

trzema miesiącami. Ruszyli wpław szybko i wprawnie, tnąc wygwieżdżoną wodę, przy czym brzdące wiosłowały zaciekle, by nie zostać w tyle. Ogółem towarzystwo liczyło czterdzieści głów. Szczerbaty znacznie wyprzedzał gromadę, mając za sobą najbardziej zaufane siły robocze. Matki z dziećmi tworzyły ariergardę.

Płynęli tak przez całą noc. Gdy mijali wydrę, najzaciętszego z wrogów, gorszą dla nich nawet niż człowiek, nie dostrzegli jej, gdyż legła cicho w gęstej kępie wierzbiny. Przyroda po wiek wieków powaśniła ze sobą bobra i wydrę. Ta ostatnia karmiąc się wyłącznie niemal rybą nie tylko pobiera z niej dziesięcinę, lecz zarazem strzeże ją od zbyt szybkiego wymarcia. Być może więc odgadła kiedyś, że nadmierna ilość tam krępuje swobodę wiosennych wędrówek, a co za tym idzie — tarła, i że wraz z rozrostem bobrowych żeremi ryby giną. Niejednokrotnie musiała z trudem chwytać potrzebny pokarm, a nawet cierpiała głód. Toteż nie mogąc zwalczać poszczególnych członków licznych kolonii,. postanowiła niszczyć ich budowle. W jaki sposób zagłada tam wywoływała śmierć samych bobrów, pokaże najbliższa przyszłość.

W ciągu nocnej wędrówki Szczerbaty kilkanaście razy przybijał do brzegu badając zasoby kraju. Lecz tam gdzie rosła obfitość dobrej kory i młodych pędów, teren nie nadawał się do budowy tamy. A stary patriarcha był nie tyle nawet żarłokiem, ile urodzonym architektem. Za każdym razem zaś, gdy ruszał dalej, nikt z rodziny nie ważył się pozostać w tyle. O brzasku minęli pogorzelisko i dotarli do błot, wśród których ział wykrot Kazana i Szarej Wilczycy.

Zgodnie z prawem pierwszego odkrywcy i osadnika to torfowisko stanowiło własność psa i wilczycy. Wszędzie pozostawili ślady swojej bytności. Lecz Szczerbaty był raczej wodnym stworzeniem i jak wszyscy z jego rasy, obdarzony miernym węchem. Toteż płynął dalej, zwalniając tylko pędu, w miarę jak na brzegu gęstniało poszycie leśne.

Tuż poniżej wykrotu wstrzymał jazdę, a wylazłszy na ląd, stanął dęba i zaczął się kołysać na tylnych łapach, zaopatrzonych w błony, oraz na czterofuntowym płaskim ogonie. Tu wreszcie znalazł idealne warunki. W poprzek wąskiej strugi łatwo było przeciągnąć tamę, a las rosnący nad wodą dawał obfitość brzóz i topoli, wierzb i olch. Ponadto gęstwina boru chroniła od wiatrów północnych, obiecując zaciszną zimę.

Szczerbaty dał szybko do zrozumienia towarzyszom, że tu założą nową osadę. Wnet bobry rozpierzchły się w zaroślach po obu stronach koryta. Zgłodniałe maleństwa poczęły bez zwłoki żuć delikatną korę wierzb i olch. Starsi zmienili się natychmiast w inżynierów i budowniczych, a całkowicie pochłonięci pracą jedynie z rzadka urywali tu i ówdzie trochę jadła.

Tego samego dnia poczęto stawiać domy. Szczerbaty wybrał osobiście wielką brzozę pochyloną nad strugą i zaczął trzema mocnymi zębami nadgryzać drzewo mające dziesięć cali średnicy. Jakkolwiek stary wódz postradał jeden kieł, inne jego zęby zachowały dawną moc. Z zewnątrz miały niezmiernie twardą emalię, wewnątrz delikatną kość. Robiły wrażenie idealnych nożyc, bowiem emalia nie niszczała nigdy, a kość narastała co roku świeżą warstwą w miarę zużycia.

Przykucnąwszy na tylnych łapach, przednimi obejmując drzewo, mocno wsparty na ciężkim ogonie, Szczerbaty nacinał wąski pierścień wokół pnia. Pracował przez kilka godzin bez wytchnienia, a gdy wreszcie postanowił odpocząć, inny robotnik zajął jego miejsce. W tym czasie kilkanaście bobrów trudziło się wielce, tnąc pomniejsze krzewy. Oto z hukiem runęła w wodę młoda olcha, zaś wyżłobiony pień brzozy przybrał formę szkiełka klepsydry. Po upływie dwudziestu godzin białe drzewo trzeszcząc padło w poprzek strugi .

Jakkolwiek bóbr jest przede wszystkim nocnym robotnikiem,

o ile zajdzie potrzeba, pracuje i we dnie. Szczerbaty w ciągu następnych kilku dni nie folgował ani trochę swojej licznej świcie. Zwierzęta wykazywały przy tym niemal ludzką inteligencję. Walono młode drzewa dzieląc je potem na słupki długości czterech lub pięciu stóp. Później toczono je nad wodę pchając łapami i łbem, ciskano w toń, a za pomocą drobnych gałęzi

i szuwaru wiązano starannie do owej brzozy. Gdy szkielet był gotów, bobry przystąpiły do robót murarskich. Tu przewyższały nawet człowieka. Ich wspaniałą budowę mógł z czasem rozwalić jedynie dynamit.

Pod szeroką brodą znosiły ku tamie mieszaninę błota i chrustu, za jednym nawrotem dostarczając w ten sposób pół funta, a nieraz i funt materiału. Uszczelniały nim szpary wśród pni i gałęzi. Na pozór praca była niewykonalna, lecz robotnicy Szczerbatego mogli harować dzień i noc znosząc na dobę tonę lepkiej zaprawy. Po upływie trzech dni struga wylała z pierwotnego łożyska zatapiając kilka drzew i kępę krzewów. To ułatwiło dalszą pracę. Materiał cięto w wodzie i holowano go wpław. Podczas gdy część bobrów umacniała zaczątki tamy, reszta piłowała nowe pnie waląc je na jednej linii z brzozą. Zapora rozrosła się w obie strony osiągając długość kilkudziesięciu metrów.

Zadanie było niemal ukończone, kiedy pewnego ranka Kazan i Szara Wilczyca wrócili do domowych pieleszy.

ROZDZIAŁ XX

WALKA W GŁUSZY

Łagodny zefir dmący z południo-wschodu przyniósł do nozdrzy Szarej Wilczycy woń najeźdźców. Natychmiast uprzedziła o tym Kazana i on również, napiąwszy uwagę, uchwycił w powietrzu podejrzany zapach. Woń stawała się coraz silniejsza, w miarę jak się posuwali. O dwieście jardów od wykrotu usłyszeli raptowny trzask padającego drzewa i zatrzymali się zdziwieni. Przez dobrą minutę trwali nasłuchując. Wtem ciszę przerwał skrzekliwy krzyk i plusk jak gdyby wielkiej ryby. Nastawione uszy Szarej Wilczycy opadły ku tyłowi, zwróciła pysk w stronę psa jak gdyby mówiąc, że już pojmuje wszystko. Teraz ruszyli truchcikiem, bok w bok, zabiegając od tyłu do znajomej jaskini. Lecz dopiero ze szczytu pagórka tworzącego ich sadybę Kazan objął wzrokiem niezwykłe zmiany zaszłe w czasie ich krótkiej nieobecności. Stanął wnet oszołomiony zupełnie. U podnóża skłonu znikła wąska struga. Natomiast jej miejsce zajął modry staw. Miał dobre sto stóp średnicy, a powódź zatopiła las i chaszcze na przestrzeni bodaj sześciokrotnie większej.

Pies i wilczyca nadeszli ukradkiem, toteż Szczerbaty i jego plemię, mając zmysł powonienia dość tępy, nie wiedzieli nic c ich obecności. Zaledwie o pięćdziesiąt stóp od wykrotu patriarcha nacinał osobiście pień smukłej olszyny. Na prawo igrało kilka małych bobrów budując z iłu i chrustu miniaturową tamę. Po drugiej stronie sadzawki leżała wyniosła wydma, z której dwuletnia młodzież, już na wpół dojrzała, lecz jeszcze nie wdrożona do pracy, ześlizgiwała się w dół po piaszczystej pochyłości, niby saneczkujące uczniaki. Stamtąd dolatywały plusk i wrzawa.

Dorosłe bobry pracowały statecznie mniejszymi i większymi partiami.

Przed paru tygodniami Kazan oglądał podobną scenę opodal dawnej siedziby Szczerbatego. Wtedy widok ten był mu całkowicie obojętny. Natomiast teraz zaszła zupełna zmiana zapatrywań. Bóbr przestał być ziemnowodnym stworzeniem, mało nęcącym jako pokarm, gdyż obdarzonym antypatyczną wonią. Stał się raptem najeźdźcą i wrogiem. Pies milcząc obnażył kły. Włos na barkach zesztywniał mu niby szczecina, mięśnie zaś łap naprężyły się pod skórą jak postronki. Nie wydając dźwięku, błyskawicznie runął w dół na Szczerbatego.

Stary bóbr dostrzegł wroga dopiero w odległości dwudziestu stóp. Z natury mało zwrotny na lądzie, zawahał się przez chwilę. Potem umknął spod drzewa, Kazan wpadł na niego i zaczęli się toczyć ku wodzie po stromej pochyłości, porwani rozpędem psa. Lecz już w następnej sekundzie ciężkie, obłe ciało patriarchy wyśliznęło się spod łap Kazana niby naoliwiona piłka i Szczerbaty znalazł pewną ostoję w rodzinnym żywiole, mając jedynie mięsisty ogon przegryziony na wylot.

Doznawszy jednej porażki, Kazan jak błyskawica skoczył teraz w prawo. Młode bobry jeszcze nie umknęły. Zdumione i przerażone dziwnym zajściem, trwały w zupełnym osłupieniu. Dopiero widząc, że Kazan sadzi ku nim, odzyskały zdolność ruchu. Trzy dopadły wody. Dwa pozostałe, trzymiesięczne bębny, nie umiały już nadążyć. Jednym chwytem szczęk Kazan złamał grzbiet pierwszego z nich. Drugiego chwycił za gardło i trząsł nim, jak terier trzęsie szczurem. Gdy Szara Wilczyca nadbiegła, oba stworzonka już nie żyły. Obwąchała drobne, miękkie ciałka i pisnęła żałośnie. Być może maleństwa przypomniały jej Bariego, gdyż gładząc bobry pyskiem, skomliła pełna tęsknoty. Był to płacz matki po utracie dzieci.

Lecz Kazan nie hołdował w tej chwili żadnym sentymentom. Po prostu zabił dwa spośród wielu stworzeń, które ośmieliły się zawładnąć jego dziedziną. Postąpił względem małych bobrów równie bezlitośnie jak siwy ryś względem szczeniąt Szarej Wilczycy na Słonecznej Skale. Teraz, gdy ubroczył pysk krwią nienawistnych wrogów, dygotał cały od chęci mordu. Miotał się więc wzdłuż brzegu stawu, warcząc na nieprzyjazny żywioł, w głębi którego znikł Szczerbaty. Tymczasem wszystkie bobry znalazły schronienie pod wodą i toń falowała od ruchu wielu ciał. Wreszcie Kazan zobaczył tamę. Była to rzecz całkiem nowa. Instynktownie przeczuł, że jest dziełem bobrów i przez dobrą chwilę rwał zębami zmierzwione pnie i gałęzie.

Raptem woda wezbrała tuż koło tamy, o pięćdziesiąt stóp od psa, i wyłonił się z niej wielki, siwy łeb Szczerbatego. W ciągu pół minuty pełnej napięcia Kazan i Szczerbaty obserwowali się wzajemnie z tej odległości. Potem bóbr wydźwignął lśniące cielsko na zaporę i rozpłaszczył się na niej, wciąż nie spuszczając psa z oczu. Stary wódz był sam. Żaden inny bóbr nie odważył się porzucić kryjówki. Powierzchnia stawu znieruchomiała już całkowicie. Próżno Kazan usiłował znaleźć przejście, które by mu pozwoliło dotrzeć do czujnego najeźdźcy. Pomiędzy solidnym środkiem tamy a brzegiem leżał splątany chaos wikliny i chrustu, tu i ówdzie przecięty bujną strugą wody. Kazan próbował trzykrotnie przedrzeć się przez tę gmatwaninę i za każdym razem niespodzianie dawał przykrego nurka. Przez cały ten czas Szczerbaty ani drgnął. Gdy wreszcie Kazan zrezygnował z ataku, senior rodu ześliznął się z tamy i znikł w głębi stawu. Poznał już, że pies, tak jak ryś, nie może Walczyć w wodzie, i śpieszył powiadomić o tym zaniepokojonych członków kolonii.

Szara Wilczyca i Kazan wróciwszy do wykrotu legli na słonecznym skwarze. W pół godziny później Szczerbaty wgramolił się na przeciwległy brzeg stawu. W ślad za nim

podążały inne bobry. Poza osłoną wody na nowo podjęły przerwaną pracę. Drwale wrócili do cięcia drzew. Pół tuzina murarzy uwijało się po toni nosząc ładunki iłu i chrustu. Połowa sadzawki stanowiła linię demorkacyjną. Nikt nie ośmielił się naruszyć tej granicy. Lecz parokrotnie jeden ze starych bobrów podpływał ku niej spoglądając uważnie na lśniące ciała dwóch maleństw pomordowanych przez Kazana. Zapewne była to matka, a Szara Wilczyca przeczulonymi zmysłami niewidomej wyczuła obecność biedaczki. Dwukrotnie bowiem chodziła obwąchiwać martwe kruszyny, za każdym razem zwracając ślepy pysk w kierunku ich rodzicielki.

Tymczasem Kazan ochłonął z pierwszej pasji i na zimno obserwował pracujące bobry. Doświadczenie pouczyło go, iż nie są to bojowe istoty. Wielokrotnie przewyższając go liczbą, zmykały przed nim jak gromada myszy. Szczerbaty nie próbował się nawet bronić. Toteż pies zaczął zwolna pojmować, że te dziwaczne stwory, których żywiołem jest na równi ląd i woda, trzeba będzie tropić i dusić jak króliki lub przepiórki.

Nad wieczorem chyłkiem pomknął w gęstwę krzewów mając tuż za sobą Szarą Wilczycę. Niejednokrotnie podchodził królika, oddalając się od niego początkowo, więc obecnie zastosował względem bobrów ten wilczy podstęp. Poza wykrotem skręcił ostro, wraz z wiatrem dążąc brzegiem strugi. Na przestrzeni ćwierć mili łożysko pogłębiło się dość wyraźnie. Bród, który im zawsze służył, całkowicie znikł pod wodą, więc Kazan puścił się wpław, każąc Szarej Wilczycy czekać na siebie.

Znalazłszy się sam ruszył szparko w kierunku tamy, biegnąc równolegle do strugi, jednak w odległości mniej więcej dwustu stóp. Nieco poniżej sztucznej zapory zwarta gmatwanina wierzb i olch schodziła niemal nad samą toń stawu; Kazan wyzyskał tę okoliczność. Chyłkiem przekradł się w pobliże tamy i legł w gęstwinie wyczekując dogodnej

okazji. Większość bobrów pracowała teraz w wodzie. Cztery czy pięć harowało co prawda na lądzie, jednak w pewnym oddaleniu od zasadzki i nad samą niemal tonią. Po upływie paru minut Kazan był już gotów zaryzykować szalony atak, gdy raptem zwrócił jego uwagę jakiś ruch na tamie. Zaledwie w odległości ludzkiego ramienia sam Szczerbaty utwierdzał we właściwym miejscu wielki topolowy konar.

Był tak pochłonięty pracą, że nie widział ani nie słyszał psa. Inny bóbr rzucił się raptem w głąb toni, pluskiem przestrzegając towarzyszy. Szczerbaty spojrzał i zobaczył tuż nad sobą groźne szczęki Kazana. Nie miał czasu zawrócić. Cisnął się więc wstecz, lecz o sekundę zbyt późno. Kazan już go dopadł. Zatopił kły w karku bobra. Obaj stracili równowagę. Jednocześnie zęby Szczerbatego, niby kleszcze, uchwyciły luźną fałdę skóry na podgardlu psa. Tak złączeni runęli razem w głąb stawu.

Szczerbaty ważył sześćdziesiąt funtów. W chwili gdy dotknął wody, znalazł się w przyjaznym żywiole i mocno dzierżąc psa za gardzie] poszedł na dno niby żelazna bryła. Kazan zatonął z nim razem. Woda napłynęła mu do pyska, nosa, oczu i uszu. Natychmiast zaniewidział i stracił wszelką orientację. Lecz zamiast usiłować odzyskać swobodę, wpijał kły coraz głębiej. Dosięgli grząskiego dna i na chwilę zaryli się w bagnisty grunt. Tu Kazan rozluźnił chwyt. Nie szło mu już o zgon bobra, tylko

o własne życie. Całą siłą potężnych członków walczył o pozbycie się przeciwnika, o wypłynięcie na powierzchnię, o łyk czystego powietrza. Trzymał pysk zwarty wiedząc, że inaczej czeka go śmierć. Na lądzie bez trudu uwolniłby się od Szczerbatego. Lecz pod wodą chwyt starego bobra był groźniejszy niż w lesie kły i pazury rysia.

Tuż obok przepłynął nowy bóbr wytwarzając lekki wir

i drobną falę. Gdyby podążył z pomocą, pies zginąłby natychmiast. Lecz przyroda przeoczyła widać możliwość

walki tych ziemnowodnych stworzeń z psem lub wilkiem. Stary wódz nie widział teraz powodu, aby utrzymywać wroga na dnie. Nie znał uczucia zemsty. Nie pragnął smaku i widoku krwi. Wiedząc, że jest wolny i że dziwaczny zwierz, który go atakował dwukrotnie, nie może mu wyrządzić krzywdy, rozwarł szczęki. Był najwyższy czas. Kazan resztką sił wychynął na powierzchnię. Na wpół przytomny przerzucił jednak przednie łapy przez gałąź wystającą z boku tamy. To mu pozwoliło zaczerpnąć powietrza i wykrztusić wodę, która przyprawiła go niemal o uduszenie. Wypoczywał przez dobre dziesięć minut, nim się odważył dopłynąć do brzegu. Z trudem wylazł na ląd. Stracił wszelką moc. Łapy pod nim drżały. Szczęki zwisały mu bezwładnie. Był zmaltretowany okrutnie. A zwyciężyła go istota nie tylko mniejsza, lecz na pozór gorzej uzbrojona. Czuł przygnębiające poniżenie podobnej klęski. Wymokły, osłabły powlókł się do wykrotu i legł na słońcu oczekując powrotu Szarej Wilczycy.

Płynęły dni za dniami, Kazan zaś żył jedynie pragnieniem odwetu. Tama nabierała z każdą dobą znaczenia i mocy. Prace murarskie wykonywane pod wodą postępowały naprzód szybko i bezpiecznie. Staw rósł wszerz i wzdłuż. Woda skręciła teraz w wyżłobienie gruntu opasującego wykrot i jasne było, że o ile bobry nie poniechają swych czynności, w niedługim czasie domostwo psa i wilczycy będzie jedynie samotną wyspą otoczoną zewsząd głębią toni.

Kazan polował teraz jedynie dla jadła, nie zaś dla rozrywki. Bezustannie wyglądał okazji fortunnej napaści. Na trzeci dzień po przeprawie ze Szczerbatym ubił pewnego bobra, który nieostrożnie zapędził się na brzeg. Piątego dnia dwa młodzieniaszki zawieruszyły się w pobliżu wykrotu i pies dopadłszy ich w płytkiej wodzie poszarpał na strzępy. Bobry, poniósłszy trzykrotnie bolesne straty, zaczęły pracować przeważnie nocą. Lecz Kazan będąc nocnym łowcą zyskał jedynie na tym. W czasie dwóch nocy pod rząd

zdusił dwu robotników. Jego ofiary, licząc w to pierwszą parę małych, dosięgły cyfry siedmiu, gdy na plac boju przybyła wydra.

Szczerbaty nigdy jeszcze nie miał przeciwko sobie dwu tak zaciekłych i tak niebezpiecznych wrogów. Na lądzie Kazan posiadał przygniatającą przewagę jako zwierz prędki w ruchach, sprytny i obdarzony świetnym węchem. Pod wodą wydra stanowiła bodaj jeszcze większą groźbę. Pływała szybciej niż ryby, będące jej pożywieniem. Miała zęby jak stalowe igły. Była tak śliska i zwinna, że nawet zdoławszy ją osaczyć bobry nie mogły jej uczynić szkody swymi zbyt wygiętymi kłami.

Wydra nie łaknie zapachu krwi. Mimo to na Dalekiej Północy trzebi bobry bardziej niż jakiekolwiek inne zwierzę, bardziej bodaj niż człowiek. Śmiga to tu, to tam jak zaraza, groźna zawsze, lecz najgroźniejsza zimą. W tym okresie nie próbuje nawet napadać bobrów w ich domkach. Natomiast podejmuje pracę, którą człowiek jest w stanie wykonać jedynie za pomocą dynamitu — mianowicie przerywa tamę. Toń opada szybko, lód pęka i wszędzie obnażają się żeremia. Mieszkańców czeka głód, chłód i śmierć. Chaty pozbawione ochrony wody, sadzawka pod postacią chaosu lodowatych brył i ostrych tafli, to wszystko przy czterdziestu lub pięćdziesięciu stopniach mrozu tworzy warunki, w których bobry giną po upływie kilku godzin. Zwierzęta te, mimo ciepłego futra, są mniej wytrzymałe na chłód niż człowiek. W ciągu całej zimy pancerz wody wokół lepianek jest im potrzebniejszy niż ogień małemu dziecku.

Lecz obecnie panowało lato, toteż na pozór wydra nie zagrażała zbytnio Szczerbatemu i jego plemieniu. Oczywiście naprawa wyrządzonych przez nią szkód wymagałaby pewnej pracy, lecz było ciepło i jadła znajdowano pod dostatkiem.

Przez dwa dni wydra śmigała wokół tamy, nie robiąc na razie zła. Kazan wziął ją za bobra i próżno się na nią

zaczajał. Spoglądała nań podejrzliwie i miała się dobrze na baczności. Żadne z nich nie przypuszczało nawet, że dążą do jednego celu.

Tymczasem bobry pracowały nadal, choć coraz ostrożniej. Poziom wody stawu rósł i paru murarzy podjęło właśnie budowę trzech nowych domków. Lecz w wydrze zbudził się raptem instynkt niszczycielski. Zaczęła badać tamę tuż przy fundamentach. Znalazłszy słabsze miejsce, za pomocą ostrych zębów i kulistej głowy poczęła wiercić otwór. Cal za calem nadwerężała przeszkodę, to łamiąc chrust, to wymijając grubszy konar, lecz zawsze krusząc łączącą zaprawę. W ten sposób wybijała nieregularnych kształtów tunel o siedmiocalowej średnicy. W ciągu sześciu godzin przerwała na wylot podstawę tamy szerokości pięciu stóp.

Strumień wody chlusnął z sadzawki i poziom jej począł gwałtownie spadać. Gdy zaszedł ten znamienny fakt, Kazan wraz z Szarą Wilczycą czatowali na południowym odcinku wybrzeża. Słyszeli ryk prądu bijącego przez wydartą szczerbę i widzieli, jak wydra siadłszy na tamie prycha i otrząsa, się niby wielki szczur wodny. W ciągu pół godziny staw w sposób widoczny zmalał, a wartki prąd omywając tunel powiększał jego średnicę. Po dalszych trzydziestu minutach fundamenty trzech nowozbudowanych chat, położone pierwotnie pod wodą, stanęły na błocie. Dopiero wtedy widząc, że zbawczy żywioł porzuca ich siedziby, Szczerbaty rozpoczął alarm.

Kolonię ogarnął popłoch. Wkrótce wszyscy jej mieszkańcy uganiali się rozpaczliwie po lśniącej powierzchni stawu. Bobry pływały od brzegu do brzegu, nie zważając już na linię demarkacyjną. Szczerbaty wraz z wyborową asystą pośpieszył ku tamie, co widząc wydra z szorstkim wrzaskiem dała nurka między nich i jak błyskawica przeciąwszy sadzawkę wpadła do łożyska strugi.

Tymczasem wody ubywało nadal, w miarę czego bobry ogarniała coraz większa panika. Zapomniano o obecności Kazana i Szarej Wilczycy. Parę młodszych zwierząt wylazło na brzeg od strony wykrotu i pies skomląc nerwowo chciał już im zabiec drogę, gdy pewien stary bóbr zawieruszył się nieopatrznie w pobliże jego kryjówki. Kazan dopadł go w dwu susach mając Szarą Wilczycę zaledwie o jeden skok za sobą. Reszta bobrów widząc fatalny wynik krótkiej walki co prędzej uciekła na przeciwległy brzeg.

Woda opadła do połowy dawnego poziomu, gdy Szczerbaty i jego pomocnicy odnaleźli wyłom. Natychmiast wzięto się do naprawy. Jednak, by jej dokonać, należało zdobyć sporo grubszych gałęzi, by zaś je dostać, bobry musiały wlec niezdarne cielska przez szerokie pasmo błotnistego gruntu. Lecz obawa kłów nie wstrzymała ich tym razem. Instynkt uprzedził je, że tu idzie o życie całej kolonii, że jeśli nie załatają w porę dziury, staw zniknie, a wraz z jego końcem przyjdzie kres i na nie.

Dla Kazana i Szarej Wilczycy był to dzień mordu. Zabili jeszcze dwa bobry obok kępy wierzb. Potem, przeszedłszy w bród płytką strugę poniżej tamy, odcięli w zagłębieniu gruntu dalsze trzy zwierzęta. Ta trójka nie miała najmniejszych szans ucieczki, nastała więc sroga rzeź. Nieco później Kazan schwytał i zadusił szóstego bobra.

Nad wieczorem mord wygasł. Szczerbaty, wspomagany przez swych dzielnych towarzyszy, zdołał załatać dziurę i woda w sadzawce zaczęła się podnosić.

O pół mili w górę strugi wydra leżąc na płaskim pniu zwalonego drzewa grzała się w promieniach zachodzącego słońca. Nazajutrz miała ponownie ruszyć ku tamie i rozpocząć raz jeszcze swą niszczycielską działalność. Taka była jej metoda. Bawiła się, nic więcej.

O zmierzchu Kazan wałęsając się wzdłuż brzegu wraz z Szarą Wilczycą dostrzegł raptem drzemiącą wydrę.

Całodzienna praca, pełny żołądek i ciepła pieszczota słońca rozmarzyły wydrę. Leżała również nieruchomo jak pień, który służył jej za posłanie. Była już leciwa, wielka, siwo zabarwiona. Żyła od lat dziesięciu, zadając kłam rzekomej wyższości ludzkiego sprytu nad sprytem zwierząt. Próżno zastawiano na nią sidła. Daremnie chytrzy traperzy budowali z drzewa i głazów wąskie kanały; nie dała się omamić i uniknęła żelaznych szczęk czyhających w końcu pułapki. Brnąc po błocie zostawiała po sobie olbrzymi ślad. Niewielu łowcom powiodło się ją oglądać. Gdyby nie wyjątkowa przebiegłość, jej piękne futro dawno by już zostało sprzedane do którejś z europejskich stolic. Było godne książęcych ramion. Jednak od lat dziesięciu nikt nie zdołał go zdobyć.

Lecz teraz panowało lato. Żadnego trapera nie skusiłby obecnie widok wydry, futro bowiem nie przedstawiało najmniejszej wartości. Instynkt uprzedził ją o tym. Latem nie lękała się człowieka, nieobecnego zresztą. Zatem drzemała słodko, nie zważając na nic, cała oddana rozkoszy snu i pieszczocie słońca.

Kazan, przejęty wciąż jeszcze pościgiem zaborczych bobrów, skradał się cicho brzegiem strugi. Szara Wilczyca dreptała z nim bark w bark. Nie wywoływali żadnego szelestu, przyjazny zaś wiatr niósł ku nim wszelkie wonie. Przyniósł również zapach wydry. Dla psa i wilczycy był to odór ziemnowodnego zwierzęcia, silnie cuchnącego rybą, toteż uznali, iż należy do bobra. Zaczęli sunąć jeszcze ostrożniej. Wreszcie Kazan ujrzał śpiącą wydrę i przestrzegł swoją samkę. Natychmiast stanęła nieruchomo, z uniesionym w górę łbem, podczas gdy pies kroczył naprzód.

Wydra poruszyła się niespokojnie. Zapadał zmierzch. Słoneczny blask zgasł. W pobliskiej gęstwinie sowa niskim hukaniem witała nadchodzącą ciemność. Wydra westchnęła głęboko., Zmarszczyła wąsaty pyszczek. Budziła się już, już miała wstać, gdy Kazan wpadł na nią jak piorun. Na trzeźwo,

w uczciwej walce stara wydra była. niełatwą zdobyczą. Lecz obecnie nie miała żadnych szans. Kły Kazana rozdarły tętnicę. Zapewne skonała nie wiedząc nawet, kto jest jej mordercą — skonała bowiem błyskawicznie. A Kazan i Szara Wilczyca ruszyli dalej, tropiąc nowych wrogów, nieświadomi wcale, że wraz ze śmiercią wydry zginął jedyny sprzymierzeniec, który mógł im pomóc do zwycięstwa. Teraz z każdym dniem sytuacja psa i wilczycy przedstawiała się coraz bardziej beznadziejnie. Gdy wydra znikła, Szczerbaty i jego plemię od razu wzięli górę. Z każdą dobą woda wkraczała dalej na przestwór błot. W połowie lipca jedynie wąska smuga suchego lądu wiązała wykrot z pobliskim borem. Bobry, chronione przez głąb wodną, pracowały bezkarnie. Poziom toni rósł,. aż drobna fala zaczęła się przelewać przez pasmo drogi. Kazan i Szara Wilczyca, przebiegłszy tędy po raz ostatni w życiu i na zawsze żegnając ulubioną pieczarę, podążyli w górę strugi. Kłusując brzegiem wciągali ustawicznie ostrą woń rybią i z zainteresowaniem nasłuchiwali znajomych dźwięków. Ciekawość ich łączyła się z uczuciem lęku, obecna bowiem porażka zdawała się im przypominać troski spowodowane ongiś przez ludzi. Toteż gdy nocą zwietrzyli bliskość osady, z której wyemigrował Szczerbaty, co prędzej skręciwszy na północ wpadli na rozległe ciche prerie. Leciwy patriarcha wpoił im raz na zawsze szacunek należny przedsiębiorczej odwadze i pracowitej wytrwałości bobrów.

ROZDZIAŁ XXI

STRZAŁ NAD RZEKĄ

Lipiec i sierpień 1911 roku były na Dalekiej Północy okresem wielkich pożarów. Ulubione błota Szarej Wilczycy i Kazana oraz dolina zamknięta wśród dwu górskich stoków uniknęły fatalnej Męski. Lecz teraz, gdy na nowo podjęli włóczęgę, ich miękkie łapy wstąpiły w krótkim czasie na suchy i czarny grunt pogorzeliska. Plaga ognia nadeszła niemal bezpośrednio po klęsce zarazy i głodu, która pustoszyła kraj ubiegłej zimy.

Kazan wiódł swą niewidomą towarzyszkę wprost na południe. O dwadzieścia mil od osady bobrów trafili na wypalony las. Wichry z zatoki Hudsona niosły falę ognia ze wschodu na zachód niby nieprzerwaną powódź i rozpętany żywioł nie zostawił po sobie ani śladu życia, ani kępy zieleni. Ślepa samka, jakkolwiek nie widziała tej pustyni, odczuwała jej ponurą beznadziejność przypominającą pożar wybuchły po walce na Słonecznej Skale. Cudowny instynkt, wydelikacony kalectwem, szeptał nieomylnie, że tereny łowów leżą na północy, nie zaś na południu. Lecz psia dusza Kazana wlokła go właśnie w tamtą stronę. Nie szło mu bynajmniej o powrót do ludzi, nienawidził ich obecnie na równi bodaj z wilczycą. Ale pies zawsze wybiera południowy kierunek, widząc tam zbawienie, gdy wilk szuka ratunku na północy. Jednak po trzydniowym konflikcie zwycięstwo przypadło w udziale Szarej Wilczycy. Więc zawróciwszy z drogi przecięli małą dolinę zamkniętą wśród górskich grzbietów i ruszyli na północo-zachód w krainę Athabaska zachowując kierunek, który miał ich zawieść ku źródłom rzeki Mac Farlane.

W ubiegłym roku późną jesienią do fortu Smith nad rzeką Slave przybył pewien wędrowiec przynosząc puszkę od konserw pełną złotego piasku i złotych bryłek. Znalazł skarb w łożysku Mac Farlane. Najbliższa poczta rozsiała tę wieść po całym kraju i już w połowie zimy pierwsi kopacze spłynęli zewsząd, jedni na rakietach śnieżnych, inni posługując się psim zaprzęgiem. Rychło dokonano nowych okryć. Rzeka Mac Farlane obfitowała w złoto, więc dziesiątki rąk wytyczyło parcele i zabrano się do pracy. Późniejsi przybysze osiedli dalej na północo-zachód, a do fortu Smith mknęły wieści o złożach bogatszych niż złoża Jukonu. Dziesiątki, potem setki i tysiące chciwców dążyły ku nowemu Eldorado . Większość pochodziła z południowych prerii oraz znad Saskatchewanu i Frazeru. Lecz nadciągano również i znad wielkiego Jukonu, chociaż w bardziej ograniczonej liczbie, tamtejsi bowiem kopacze wiedzieli już, co znaczą głód, chłód i męcząca śmierć na raty.

Jako jeden z późniejszych przybył Sandy Mac Trigger. Opuścił Jukon dla wielu rozlicznych względów. Był na przykład w naprężonych stosunkach z policją patrolującą kraj na zachód od Dawson. Poza tym nie wiodło mu się ostatnimi czasy. Był jednak świetnym poszukiwaczem złota, najlepszym bodaj spośród wielu myszkujących na brzegach Klondyke. Poczynił parokrotnie milionowe odkrycia, lecz stracił rychło cały majątek, namiętnie rżnąc w karty i pijąc bez miary. Był chytry. Był sprytny. Nie posiadał żadnych skrupułów, miał natomiast wystarczający zasób odwagi. Jego twarz na pierwszy rzut oka zdradzała nieokiełznaną brutalność. Cofnięta dolna szczęka, szeroko osadzone ślepia, niskie czoło i siwiejący czub rudej grzywy uprzedzały każdego, że nie należy mu ufać poza obrębem wzroku lub poza zasięgiem fuzji. Podejrzewano go parokrotnie o morderstwo i o niejedną kradzież, ale policja nie zdołała dotąd zebrać wyraźnych dowodów jego winy. Jednak obok wielu złych cech Sandy wykazywał zimną krew podziwianą

nawet przez wrogów, i swoistą inteligencję, której istnienia ordynarna gęba nie pozwalała nawet przypuścić.

Ford Smith leży o pięćset mil od krańca cywilizacji, a o sto pięćdziesiąt mil dalej w głąb kniei nad rzeką Mac Farlane wyrosło raptem Red Gold City. Gdy Sandy przybył tam wreszcie, spojrzał badawczym okiem na skupisko prymitywnych chałup, domów gry i rozrywkowych lokali, po czym stwierdził, że teren niedojrzał jeszcze do prowadzenia na wielką skalę pobocznych interesów. Wziął się więc do kart i w krótkim czasie wygrał tyle, że zakupił nieco żywności i połowę normalnego ekwipunku, którego jądro stanowiła wiekowa fuzja ładowana przez lufę. Sandy, który posługiwał się dotychczas świetną bronią firmy Sawage, i to najnowszym jej modelem, parsknął śmiechem na widok tego antyku. Lecz finanse nie pozwalały mu tym razem na nic lepszego.

Któregoś dnia wsiadłszy do czółna ruszył w górę Mac Farlane. Poza pewną granicą nikomu nie udało się dotychczas zwęszyć śladu złota. Sandy pewien siebie minął tę granicę. Dopiero znalazłszy się w dziewiczej okolicy, podjął staranne badania. Zwolna pchał czółno korytem małego dopływu, którego źródła leżały mniej więcej o sześćdziesiąt mil na południo-wschód. Tu i ówdzie znajdował złoża cennego kruszcu. Mógł zdobyć dziennie sześć do ośmiu dolarów. Lecz podobny rezultat napełniał go wyraźnym obrzydzeniem. Całymi tygodniami bobrował wzdłuż rzeczułki i z każdym dniem przybrzeżny piasek zawierał mniej żółtych drobinek. Wreszcie jedynie przypadkowo spotykał złoty pył. Wobec takiej fazy niepowodzeń Sandy stawał się groźny dla współtowarzyszy. Gdy był sam, nie mógł nikomu zaszkodzić.

Pewnego popołudnia wpędził łódź na białą wydmę. Wydma leżała na skręcie, gdzie nurt poszerzał się znacznie, obiecując jaką taką zdobycz. Sandy nisko pochylony badał grunt, gdy raptem zaintrygował go trop na mokrym piasku.

Były to ślady zwierzęcych łap. Dwa stworzenia zeszły do wodopoju. Gasząc pragnienie stały bok w bok. Trop był świeży, zaledwie sprzed godziny. W oczach Mac Triggera rozgorzał ognik ciekawości. Spojrzał wstecz, za siebie, a potem w górę rzeczki.

— Wilki! — warknął. — Gdyby tak je dostać na strzał! He, słuchajcie no! I to w biały dzień.

Zerwał się na równe nogi i skoczył w las.

W odległości ćwierć mili Szara Wilczyca wyczuła nienawistny obecność człowieka i słała ku niebu przestrogę. Było to przeciągłe, żałosne wycie i dopiero gdy echo po nim zamarło, Sandy odważył się wykonać nowy ruch. Po cichu wrócił do czółna, ujął w dłoń fuzję, wsadził w lufę świeży nabój i znikł w przybrzeżnych chaszczach.

Kazan wraz ze ślepą towarzyszką włóczyli się od tygodnia po dorzeczu Mac Farlane, lecz dopiero teraz, po raz pierwszy od pół roku, wilczyca złowiła w powietrzu woń ludzką. Gdy wiatr przyniósł ku niej ten wstrętny odór, była sama. Kazan odbiegł ją przed paroma minutami w pościgu za śnieżnym królikiem, więc leżąc na brzuchu w zwartych krzakach oczekiwała jego powrotu. Gdy była sama, miała zwyczaj węszyć bez ustanku. Najprzód pochwyciła chrobot wiosła Mac Triggera o burtę łodzi. Wnet potem nadleciała woń.

W pięć minut po sygnale Kazan stał już obok z uniesionym łbem i rozwartą paszczą, bardzo zdyszany. Sandy polował ongi! na podbiegunowe lisy i stosując obecnie wypróbowaną wtedy taktykę zataczał półkole, aż wiatr uderzył mu w twarz. Pies jedynie raz pochwycił kłąb powietrza przepojony ludzkim zapachem i najeżył grzbiet. Lecz Szara Wilczyca miała lepszy węch niż czerwonookie lisy polarne. Wyciągniętym nosem zwolna śledziła kierunek ruchu Mac Triggera. W odległości trzydziestu jardów usłyszała trzask chrustu pod jego stopą. Złowiła metaliczny

szczęk lufy w zetknięciu z konarem brzozy. W chwili zaś gdy człowiek znikł jej pod wiatr, wydała niski skowyt i trąc bokiem o bark Kazana zrobiła parę kroków w kierunku południowo-zachodnim.

W takich wypadkach jak obecnie, Kazan z rzadka jedynie narzucał swoją wolę. Oddalili się więc bez zwłoki lekkim truchcikiem i podczas gdy Sandy sunął naprzód niby wąż mając wiatr w oczy, Kazan, ukryty w nadbrzeżnych chaszczach, spoglądał na białą wydmę i na rzucone tam czółno. Po godzinie bezowocnych usiłowań człowiek wróciwszy do łodzi spostrzegł od razu świeży trop odciśnięty na piasku. Przyjrzał się mu mocno zdumiony, aż złowieszczy uśmiech wykrzywił jego szpetną twarz. Chichotał i wtedy, gdy schylony nad ładunkiem łodzi dobywał z ukrycia mały gumowy woreczek. Z woreczka wyłuskał drobną, mocno zakorkowaną flaszkę pełną żelatynowych kapsułek. W każdej leżało po pięć ziarnek strychniny.

Chodziły słuchy, iż stary włóczęga wypróbował raz siłę trucizny wrzucając ją do kawy pewnego jegomościa, lecz policji nie udało się tych plotek udowodnić. Bądź co bądź Sandy był wykwalifikowanym znawcą jadowitych substancji. Za pomocą strychniny upolował w życiu do tysiąca lisów. Więc śmiał się wciąż, odliczając dwanaście kapsułek i myśląc, jak łatwo mu będzie zaspokoić raz na zawsze ciekawość dwu natrętnych wilków.

Przed dwoma dniami ubił młodego karibu. Teraz zawinął każdą z żelatynowych kulek w płat świeżego sadła posługując się przy tej czynności nie palcami, lecz parą krótkich pręcikękw, tak by przynęta nie miała w sobie woni ludzkiej. Nim słońce zaszło, przewędrował brzeg rozmieszczając trutki. Większość przymocował do niskich krzaków. Resztę posiał na szlakach wydeptanych przez króliki lub jelenie, po czym wrócił nad rzekę i zabrał się do przyrządzania wieczerzy.

Rankiem wstał bardzo wcześnie i zaraz poszedł sprawdzić przynętę. Pierwsza trutka nie była wcale naruszona. Druga również. Lecz trzecia znikła! Rozglądając się wkoło Sandy dygotał z radości pewien, że w promieniu dwustu lub trzystu jardów znajdzie swą zwierzynę. Wtem wzrok jego opadł ku ziemi; Sandy zaklął szpetnie. Trutki nikt nie połknął. Płatek sadła leżał pod krzakiem, a biała kuleczka tkwiła w nim po dawnemu. Sandy spotkał się tu po raz pierwszy z przeczulonym instynktem ślepego stworzenia i niemal zgłupiał. Nigdy dotąd nie słyszał o podobnej przenikliwości. Zazwyczaj, o ile tylko lis lub wilk odważył się tknąć przynętę, zjadał ją niechybnie.

Mac Trigger ruszył dalej. Trutki czwarta i piąta tkwiły na dawnym miejscu. Szóstą zwierzę strąciło z. krzaka, tak samo jak trzecią. Ponadto kapsułka pękła i biały proszek opylił ziemię. Ósmą i dziewiątą spotkał ten sam los. Sandy wiedział, że są to sprawki wilczej pary, w kilkunastu bowiem miejscach znalazł ślady łap. Zły humor nagromadzony w ciągu tygodni bezowocnych poszukiwań znalazł teraz ujście w wybuchu wściekłej pasji. Sandy klął więc okropnie. Uznał jednak, że los wyraźnie sprzysiągł się przeciwko niemu, i że należy wracać do Red Gold City. Wnet po południu spuścił czółno na wodę i dał się nieść prądowi. Był rad, że przynajmniej nie potrzebuje się trudzić, toteż używał wiosła tyle tylko, by utrzymać łódź na równej linii z wybrzeżem. Wygodnie siedząc na rufie kurzył fajkę mając starą rusznicę złożoną w poprzek kolan. Wiatr dął mu w twarz, więc bacznie spoglądał w obie strony, czy nie dostrzeże jakiej zwierzyny.

Tego samego dnia nad wieczorem Kazan i Szara Wilczyca zbiegli ku rzece o pięć lub sześć mil poniżej miejsca wczorajszego postoju łodzi. Kazan tkwiąc na piaszczystej wydmie chłeptał zimną wodę, gdy Sandy wypłynął cicho zza zakrętu w odległości stu jardów. Gdyby wiatr był im przychylny albo człowiek robił wiosłem, Szara

Wilczyca wyczułaby z daleka grożące niebezpieczeństwo. Lecz obecnie uprzedził ją dopiero metaliczny szczęk kurka staromodnej broni. Bliskość strasznego wroga podziałała piorunująco. Kazan również usłyszał dźwięk i przestał pić. W tej chwili Sandy nacisnął cyngiel. Buchnęły dym i ogień. Pies uczuł, jak gorąca fala zalewa mu mózg. Zachwiał się, zatoczył, łapy umknęły spod niego i runął jak szmata. Szara Wilczyca skoczyła w gąszcz niby pocisk. Będąc ślepa nie dostrzegła, że Kazan pada. Dopiero gdy człowiek i ryczący grzmot zostali o ćwierć mili w tyle, wstrzymała bieg, by zaczekać na towarzysza.

Sandy Mac Trigger z triumfującym wrzaskiem osadził czółno na brzegu.

— Mam cię, stary diable! — wołał. — Dostałbym i drugą bestię, gdybym miał inną broń, nie tę przeklętą relikwię!

Za pomocą lufy odwrócił nieco łeb Kazana i na jego twarzy zamiast radości błysnęło raptem zdziwienie. Po raz pierwszy dojrzał na szyi zwierzęcia pasmo obroży.

— O Boże — sapnął — toż to nie wilk! Sandy, toa id="filepos302564"> to nie wilk lecz pies!

ROZDZIAŁ XXII

SYSTEM SANDY MAC TRIGGERA

Mac Trigger ukląkł na piasku. Przesunął obrożę wokół szyi psa, aby wyczytać słabo widoczne na zniszczonej metalowej płytce słowo: Kazan. Przesylabizował je wymawiając każdą literę z osobna. Oczy miał wciąż jeszcze pełne niedowierzania.

— Pies! — wykrzyknął wreszcie. — Pies, i to wspaniały okaz!

Wstał i z góry spojrzał na swą zdobycz. Przy nosie Kazana na białym piasku czerniała kałuża krwi. Po chwili Sandy przykucnął ponownie, chcąc zbadać, gdzie ugodził jego pocisk. Ta inspekcja wzbudziła w nim niemałe zainteresowanie. Ciężka kula trafiła zwierzę w sam czubek łba. Był to zupełnie powierzchowny cios, który nie naruszył nawet czaszki, i Sandy zrozumiał natychmiast znaczenie nerwowych skurczów łap i bark Kazana. Poprzednio sądził, iż są to znamiona agonii. Lecz pies był daleki od śmierci. Mocno ogłuszony i na razie omdlały, za parę minut winien był się ocknąć. Mac Trigger uchodził całkiem słusznie za pierwszorzędnego znawcę pociągowych zwierząt. Spędził wśród nich trzy czwarte życia. Od pierwszego wejrzenia umiał określić wiek i wartość psa i odgadnąć znaczną część dotychczasowych jego dziejów. Na śniegu odróżniał trop mackenzie od malemuta i ślad eskimoskiego szpica od śladu huski znad Jukonu. Spojrzał na nogi Kazana. Były to łapy wilcze i Sandy zachichotał. Kazan należał do leśnych istot. Był potężny i muskularny więc człowiek pomyślał o nadchodzącej zimie i o wysokich cenach na psy w Red Gold City.

Poczłapał do czółna i wrócił niosąc kłębek mocnego rzemienia. Potem siadłszy na piasku naprzeciw Kazana począł splatać kaganiec. Czynił to niemal w ten sam sposób, jak się robi osnowę śnieżnych rakiet. Po upływie dziesięciu minut kaganiec był gotów i Sandy umocował go starannie na łbie psa. Do obroży uwiązał dziesięciostopową linkę. Wreszcie spoczął wygodnie, czekając, by więzień otworzył oczy.

Gdy Kazan uniósł łeb po raz pierwszy, nie widział absolutnie nic. Na oczach miał szkarłatną błonę. Lecz ta przeszkoda znikła szybko i pies dojrzał człowieka. Instynktownie spróbował wstać. Wywrócił się trzykrotnie, nim mu się to powiodło. Sandy siedział wciąż w odległości sześciu stóp i trzymając koniec linki chichotał złośliwie. Kazan obnażył kły. Warknął i groźnie najeżył sierść. Człowiek skoczył na równe nogi.

— Zdaje mi się, że odgaduję, jaki z ciebie ananas! — rzekł ostro. — Miałem już nieraz do czynienia z takimi jak ty! Przeklęte wilki przewróciły ci we łbie. Weźmiesz dobrą porcję kijów, nim wrócisz wreszcie do rozumu. A teraz, patrz!

Jako przewidujący pogromca zwierząt, Sandy miał już w pogotowiu mocny kij. Teraz wziął go do ręki. Kazan odzyskał już całą dawną energię. Ustał szum w jego głowie. Szkarłatny tuman opuścił ślepia. Przed sobą pies ponownie zobaczył śmiertelnego wroga — człowieka z kijem. Błyskawicznie zagrała w nim wrodzona dzikość i nabyta krwiożerczość. Instynktownie wiedział, że Szara Wilczyca opuściła go i że ten ludzki potwór jest wszystkiemu winien.

Warknął i skoczył jak ryś na Sandy Mac Triggera, Człowiek nie oczekiwał bynajmniej podobnego ataku, toteż nim zdołał skręcić w bok lub odparować napad kijem, cały ciężar psa uderzył go w piersi. Ocalał jedynie dzięki temu, że kaganiec krępował szczęki wilczura. Kły mające mu

rozerwać gardziel kłapnęły w próżni. Lecz pod ciosem ogromnego cielska wywrócił się niby gruchnięty maczugą.

W następnym mgnieniu był już na nogach i mocno owijał wokół dłoni koniec linki. Kazan skoczył ponownie, lecz tym razem szalony młyniec kija uchwycił go w powietrzu. Cios trafił w prawy bark i cisnął psa na piasek. Nim Kazan zdołał wstać, Sandy wpadł na niego z nieokiełznaną pasją furiata. Skręcił rzemień splątując go kilkakrotnie i łomotał pałką zwinnie i zręcznie jak doświadczony praktyk.

Pierwsze razy pogłębiły jedynie wściekłość Kazana i jego nienawiść, atakował więc coraz gwałtowniej. Ponawiał napady bez chwili wytchnienia, wciąż grzmocony tak zajadle, że kości omal nie pękały od tych ciosów. Wokół ust człowieka zastygł wyraz okrutnej decyzji. Nigdy jeszcze nie miał do czynienia z podobnym okazem, toteż pomimo kagańca na pysku delikwenta czuł nerwowy lęk. Gdyby nie rzemienna plecionka, zęby psa parokrotnie pochwyciłyby go za gardziel. Więc Sandy myślał mimo woli, że kaganiec może się zsunąć lub pęknąć. A wtedy..

Ta myśl zdwoiła siłę jego ramienia i już w następnej chwili Kazan, straszliwie zdzielony w łeb, rozciągnął się na ziemi jak martwy. Mac Trigger oddychał ciężko. Był niemal bez tchu. Dopiero gdy kij wyleciał mu z odrętwiałej dłoni, zrozumiał, jak rozpaczliwą stoczył walkę.

Nim pies ocknął się z omdlenia, Sandy zbadał kaganiec i wzmocnił plecionkę dodając nowy rzemień. Potem dowlókł Kazana do wielkiego pnia wyrzuconego na brzeg w czasie wiosennej powodzi i uwiązał do drzewa koniec smyczy. Wreszcie wyciągnął jeszcze czółno na piaszczystą wydmę i zabrał się do wieczornych porządków.

Odzyskawszy przytomność Kazan leżał przez jakiś czas bez ruchu i obserwował Sandy Mac Triggera. Bolały go wszystkie kości. Szczęki miał skrwawione i piekące. Górną wargę rozmiażdżył zdradliwy cios. Jedno oko — obrzękło.

Człowiek, zachwycony udaną egzekucją, parokrotnie pochylał się nad psem, szczegółowo badając stłuczenia i rany. Za każdym razem przynosił ze sobą kij. Przychodząc po raz trzeci, połechtał nim Kazana, który warknął usiłując chwycić zębami narzędzie tortury. O to tylko szło. Rozpoczęło się na nowo katowanie. Trwało zaś póty, aż Kazan po bohaterskim oporze, okropnie skomląc, wpełzł pod drzewo i schronił się przed dalszymi ciosami. Ledwo już mógł się wlec. Prawą przednią łapę miał niemal złamaną. Zad jego bezwładnie osiadał ku ziemi. Po tej wtórnej porcji razów nie mógłby wyzyskać wolności, gdyby mu kto zdjął więzy. Sandy promieniał.

— Już ja wypędzę z ciebie diabła! — prawił. — Nic tak nie uczy rozumu jak kij! Od dziś za miesiąc wart będziesz dwieście dolarów albo cię żywcem obłupię ze skóry!

Nim zapadł zmrok, Sandy drażnił psa jeszcze ze trzy lub cztery razy. Lecz buntowniczy duch więźnia zupełnie uleciał. Uderzenie kuli w czaszkę i dwukrotnie przebyte katusze zmogły go do szczętu. Leżał oparłszy łeb o przednie łapy, przymknąwszy oczy, nieświadom nawet obecności człowieka. Ani dbał o mięso wetknięte mu pod sam nos. Nie widział, że słońce znikło już poza pasmem borów na zachodzie i nastała noc. Wreszcie jednak coś wyrwało go z letargu. Stępiały i otumaniony mózg poruszył zew minionych czasów, więc pies uniósł głowę nasłuchując.

Mac Trigger rozpalił na piasku spory ogień i teraz stał wyprostowany w krwawym lśnieniu płomieni, spoglądając na czarną smugę lasu. On również natężał słuch. Głos, który wstrząsnął Kazanem, doszedł ponownie: żałosne wycie samotnej Szarej Wilczycy.

Pies wstał i skomląc szarpnął linkę. Sandy porwał z ziemi kij i skoczył ku niemu.

— Leżeć, głupcze! — wrzasnął.

Kij uniósł się i opadł w dół niby piorun. Gdy Mac Trigger wrócił ku ognisku, znowu z trudem chwytał oddech. Rzucił kij obok der, które poprzednio rozesłał gotując sobie posłanie. Drzewo zmieniło wygląd. Było lepkie od krwi i kosmate od kłaków sierści.

— Tym razem bodaj naprawdę zmiękł! — rechotał Sandy.— A jeśli nie, będę walił znowu!

Tej nocy Kazan słyszał parokrotnie wycie swojej samki. W odpowiedzi skowyczał tylko jak najciszej w obawie nowej porcji razów. Bacznie obserwował ognisko, a gdy płomienie wygasły, wypełzł ostrożnie spod okapu drzewa. Raz, potem drugi i trzeci usiłował stanąć na nogach, lecz za każdym razem padał jak łachman. Nie miał co prawda złamanych kości, cierpiał jednak niewysłowienie. Paliła go gorączka. Przez całą noc tęsknił do łyku wody. Rankiem Sandy wylazłszy spod kołder dał mu jeść i pić. Kazan wychłeptał miskę wody, lecz nie tknął nawet mięsa. Człowiek radośnie obserwował zmianę zaszłą w zachowaniu się psa. Nim słońce wstało, był gotów do drogi. Sandy pochylił się nad Kazanem odważnie i bez kija. Odwiązawszy smycz powlókł go nad wodę. Pies upadł na piasek, podczas gdy Sandy umocował rzemień do rufy czółna. Człowiek chichotał złośliwie. Czekała go nowa rozrywka. Nad Jukonem poznał najlepsze metody poskramiania krnąbrnych zwierząt.

Odepchnął się od brzegu dziobem naprzód. Oparty na wiośle zaczął teraz wlec psa ku wodzie. Po upływie paru chwil pies tkwił już na wilgotnym piasku szeroko rozstawiwszy łapy. Sandy na mgnienie rozluźnił napięcie smyczy, po czym jednym mocnym szarpnięciem rzucił psa w wodę. Natychmiast skierował łódź na środek rzeki, ustawił ją z prądem i zaczął robić wiosłem w ten sposób, by rzemień łączący ofiarę z rufą był mocno naprężony.

Kazan pomimo osłabienia i bólu musiał teraz płynąć co sił chcąc utrzymać łeb na powierzchni. Mimo to wobec coraz szybszego biegu czółna doznawał z każdą chwilą

okropniejszych tortur. Częstokroć jego kudłata głowa całkowicie znikała pod wodą. To znowu Sandy wyczekawszy, aż prąd zbliży doń psa, wiosłem przyciskał mu głowę w dół. Pies słabł najwidoczniej. Po upływie pół mili — tonął już. Dopiero wtedy człowiek wciągnął go do czółna.

Kazan padł na dno ciężko dysząc. Chęć walki wywietrzała zeń zupełnie. Nie usiłował nawet odzyskać swobody. Wiedział, że ten człowiek jest jego władcą, a wszelki opór wywołuje klęskę. Pragnął jedynie, by mu dozwolono leżeć spokojnie poza zasięgiem wody i kija. Kij spoczywał między nim a panem. Koniec narzędzia kary znajdował się o parę stóp od nosa psa i Kazan węszył mdlący zapach własnej krwi.

Jazda w dół rzeki trwała pięć dni i tyle samo nocy, zaś autorytet Mac Triggera wzmocniły trzy dalsze porcje razów i jedna tortura wody. Rankiem szóstego dnia dotarli do Red Gold City, gdzie Sandy rozbił namiot nad brzegiem. Wydostał potem skądś mocny łańcuch i uwiązawszy psa bezpiecznie, zdjął mu kaganiec.

— Trudno tkać ci mięso przez tę plecionkę! — tłumaczył. — A ja sobie życzę, żebyś nabrał sił i odwagi. Mam wspaniałą myśl. Twoje zdolności należy odpowiednio wyzyskać. Urządzimy widowisko, które napełni nam kieszenie złotem. Zajmowałem się tym już dawniej, dlaczegóżby więc zabawy nie powtórzyć? Wilk i pies, do diabła, atrakcja nie lada!

Odtąd dwa razy dziennie dostarczał psu świeżego surowego mięsa. Kazan rychło odzyskał wrodzony animusz i zadzierzystość. Ból opuścił jego członki. Zmiażdżone szczęki wygoiły się zupełnie. Po upływie czterech dni witał już swego pana wyzywającym lśnieniem kłów. Lecz Mac Trigger nie katował go obecnie. Nie dawał mu też ryby ani mąki z sadłem, jedynie surowe mięso. Kiedyś zrobił pięć mil w górę rzeki, by przynieść wnętrzności świeżo zabitego karibu.

Pewnego dnia przyprowadził ze sobą jakiegoś obcego mężczyznę, a gdy drab przystąpił nieco zbyt blisko, Kazan skoczył nań znienacka. Człowiek cofnął się ze zdławionym okrzykiem.

— Nadaje się! — mruknął. — Waży co prawda o dziesięć lub piętnaście funtów mniej od mego doga, ale ma dobre kły i jest bardzo zwrotny. Będzie na co patrzeć, nim zginie!

— Stawiam w zakład czwartą część mego zarobku, że on wygra! — skwapliwie zaofiarował Sandy.

— Trzymam! — odparł tamten. — Kiedyż twój pies będzie gotów?

Mac Trigger pomyślał chwilę.

— Jeszcze tydzień! — rzekł. — Dopiero za tydzień odzyska pełną wagę! Więc od dziś za siedem dni. Zatem w przyszły wtorek o zmroku. Zgadzasz się, Harker?

Harker skinął głową.

— W przyszły wtorek wieczorem! — potwierdził. A po chwili dodał:

— Stawiam połowę mego zarobku, że dog zabije twego wilczura!

Sandy zmierzył Kazana przeciągłym spojrzeniem.

— Trzymam cię za słowo! — rzekł.

A potem ujmując na pożegnanie dłoń Harkera:

— Wątpię, żeby między Jukonem a Red Gold City znalazł kto bestię zdolną zwyciężyć mego wilczura!

ROZDZIAŁ XXIII

INTERWENCJA PROFESORA MAC GILLA

Red Gold City od dawna tęskniło do jakiejś szumnej zabawy. Co prawda nie obyło się już bez wielu hazardowych gier, paru zwad i znacznej ilości pijatyk, jednak obecność patroli królewskiej konnej policji utrzymywała miasto na względnie przyzwoitym poziomie, szczególnie w porównaniu z tym, co się działo dalej na północ, w okolicy Dawson.

Pomysł Sandy Mac Triggera i Jana Herkera został przyjęty ogólnym aplauzem. Nowina rozbrzmiała na dwadzieścia mil w krąg i nigdy jeszcze nie widziano na ulicach takiego ożywienia jak w dniu walki. Gorączkę podniecała okoliczność, że zapaśników wystawiono od rana na widok publiczny, każdego w oddzielnej klatce, i wnet ludność ogarnął szał zakładów. Trzystu kopaczy, z których każdy płacił pięć dolarów za prawo oglądania walki, oceniło wilczura i doga przez pręty krat. Pies Harkera był właściwie mieszańcem rasy duńskiej z mastyfem, a urodzony na północy chadzał już czas pewien w zaprzęgu. Stawiano nań w stosunku dwóch do jednego, czasem nawet wyżej. Lecz i Kazan miał swych gorących zwolenników. Ci, którzy przekładali wilczura nad doga, byli to starzy leśni bywalcy, znawcy psów, świadomi doniosłości krwawego piętna w oczach burej bestii. Pewien kopacz z Kootenay szepnął na ucho towarzyszowi :

— Stawiam na wilczura! Trzymałbym nawet trzy przeciw jednemu! On na pewno zwycięży! Dog nie ma wyrobionego systemu walki!

— Lecz za to ma wagę — odparł tamten pełen powątpiewania. — Spójrz na jego łeb, na jego barki!

— I na jego wielkie łapy, miękką gardziel oraz obwisły brzuch! Na miłość boską, kolego, wierz mi na słowo, nie stawiaj na to cielę!

Tymczasem inni gapie wkręcili się pomiędzy nich. Początkowo Kazan szczerzył kły na widok tylu obcych twarzy. Lecz teraz leżąc w głębi klatki obserwował ciekawe audytorium obojętnym i ponurym wzrokiem.

Bitwa miała się rozegrać w zakładzie Harkera czymś pośrednim pomiędzy lokalem rozrywkowym a kawiarnią. Rozsunięta więc stoły oraz ławy i pośrodku jednej sali ustawiono na podwyższeniu klatkę mającą dziesięć stóp średnicy. Siedzenia dla trzystu widzów otaczały ją ciasnym kręgiem. Ponad górnym otworem klatki zwisały dwie olejne lampy zaopatrzone w szklane reflektory.

Dochodziła ósma, gdy Sandy, Harker i dwu innych ludzi wyprowadziło Kazana na plac boju. Dog znajdował się już w klatce. Stał mrużąc oczy w ostrym świetle reflektorów. Na widok Kazana zastrzygł uszami. Kazan nie obnażył kłów, żaden z dwu zapaśników nie objawiał chęci zaczepki. Początek był zły, toteż szmer niezadowolenia przebiegł rzędy widzów. Dog obserwował wilczura trwając nieruchomo, trzymając łeb w pozycji nieufnej i badawczej. Potem odwrócił się nieco i przesunął wzrokiem po wyczekujących a podnieconych twarzach. Kazan, wsparty na sztywnych kończynach, przyglądał się obcemu psu. Lecz i jego mięśnie zwiotczały; i on również spokojnie powiódł oczyma po roznamiętnionej tłuszczy.

Przez ciasne rzędy widzów przeleciał pogardliwy śmiech. Drwiny oraz przekleństwa posypały się w kierunku Mac Triggera i jego wspólnika. Groźne głosy poczęły żądać zwrotu wpłaconych pieniędzy. Sandy miał twarz purpurową. Piekł go gniew zawiedzionej nadziei. Na czole Harkera żyły nabrzmiały jak powrozy. Wielkim kułakiem zaczął potrząsać przed nosami obecnych rycząc gromko:

— Czekajcie, durnie! Niech się rozejrzą!

Głosy umilkły. Kazan wykonał właśnie pół obrotu. Patrzył teraz wprost w ślepia doga. A dog wpił oczy w łeb wilczura, Kazan postąpił naprzód jeden krok czyniąc to bardzo ostrożnie w obawie zdradzieckiej napaści. Sierść na karku doga zjeżyła się. On również zbliżył się nieco. Oddaleni od siebie o metr, znieruchomieli obaj. W izbie słychać teraz było lada szelest. Sandy i Harker tkwiąc tuż obok klatki bali się prawie odetchnąć.

Wspaniałe ofiary ludzkich namiętności, zapaśnicy i zwycięzcy wielu bitew, nie spuszczali z siebie badawczych oczu. Nikt z widzów nie dojrzał niemego pytania w głębi psich źrenic. Psy zrozumiały się wzajemnie. Gdyby spotkanie nastąpiło w głębi boru, na szlaku, walka rozgorzałaby jak płomień. Lecz tu przemówiło braterstwo krwi. W ostatniej chwili, gdy ludzie ledwie dysząc oczekiwali krwawego widowiska, wspaniały dog zwolna uniósł łeb w górę i ponad karkiem Kazana spojrzał przez salę. Harker drgnął i zaklął głucho. Ale zwierzęta już zawarły rozejm. Kazan nie skoczył. Uczynił pół obrotu. I stojąc, bok w bok, wyniośli, we wspaniałej pogardzie dla tłumu, spoglądali przez pręty klatki na rozchwiane morze głów.

Ludzie wybuchnęli wrzawą gróźb, klątw i gniewu. Harker wściekły, wyjął rewolwer mierząc w łeb doga. Poprzez zawieruchę głosów powstrzymała go komenda:

— Stój! Stój w imię prawa!

Na mgnienie zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli w kierunku mówcy. Poza ostatnim rzędem widzów stało na krzesłach dwóch ludzi. Jednym był sierżant Brokaw z królewskiej konnej policji. To on się odezwał. Uniesieniem dłoni wzywał do zachowania spokoju Obok stał drugi mężczyzna, szczupły, lekko przygarbiony, o bladej, wygolonej twarzy; jego powierzchowność nie zdradzała bynajmniej wieloletniej włóczęgi po surowych krajach

arktycznych. Teraz przemówił on właśnie, głosem niskim i równym.

— Kupię te psy od właściciela za pięćset dolarów! — rzekł. Cała sala usłyszała propozycję. Sandy spojrzał na Harkera.

Przez chwilę pochylali głowy ku sobie.

— Nie chcą walczyć, ale właśnie dlatego nadadzą się do wspólnego zaprzęgu! — ciągnął mówca dalej. — Daję za nie pięćset dolarów!

Harker uniósł dłoń ku górze:

— Niech będzie sześćset! — rzekł. — Niech będzie sześćset, a psy należą do pana!

Mały człowieczek zawahał się Potem skinął głową.

— Dam sześćset! — przytwierdził.

W tłumie odezwały się głosy niezadowolenia. Harker wlazł na brzeg platformy.

— Trudno nas winić, że te bestie nie chciały się bić! — zawołał. — Ale jeśli kto z was będzie o tyle czelny, żeby żądać zwrotu pieniędzy, otrzyma je przy wyjściu. Psy zawiodły. Cóż na ta poradzić?!

Nieznajomy w towarzystwie sierżanta przedzierał się ku klatce. Przyłożywszy bladą twarz do samych prętów spojrzał na Kazana i wielkiego doga.

— Sądzę, że będziemy przyjaciółmi! — rzekł, a mówił tak cicho, że jedynie psy usłyszały jego głos. — Kosztowałyście mnie słono, ale mniejsza o to. Będę bardzo potrzebował pary czworonożnych druhów takich jak wy!

I nikt nie wiedział, dlaczego oba psy przywarły bliżej do tej strony klatki, obok której stał nieznany przybysz. On zaś wyjmując z kieszeni gruby plik banknotów odliczał należność Sandy Mac Triggera i Jana Harkera.

ROZDZIAŁ XXIV

SAMOTNA W MROKU

Nigdy jeszcze Szara Wilczyca nie odczuła tak głęboko okropnej nędzy swego kalectwa jak w dniach, które nastały po uprowadzeniu Kazana przez Sandy Mac Triggera. Po strzale spędziła długie godziny wśród gęstych krzaków, warując nieruchomo w oczekiwaniu jego nadejścia. Wierzyła niezachwianie, że Kazan wróci, jak wracał setki razy przedtem, toteż leżąc spłaszczona na brzuchu, chciwie wciągała nozdrzami powietrze i skomliła, gdy wiatr nie przynosił spodziewanej woni. Jakkolwiek dzień i noc stanowiły dla niej jednakowy chaos nieskończonego mroku, uchwyciła porę zachodu słońca. Wyczuła gęstniejącą ciemność wieczora i wiedziała już, że gwiazdy wybiegły na niebo, a rzeka migoce w księżycowym blasku. Była to noc sposobna do włóczęgi, więc po pewnym czasie wilczyca zaczęła niespokojnie krążyć zataczając szczupłe kolisko i wydała pierwsze tęskne wycie wzywając Kazana. Znad rzeki nadleciał jadowity zapach dymu i odczuła instynktownie, że ta woń oraz woń człowieka sprzysięgła się, by oddalić od niej towarzysza. Jednak nie odważyła się wykroczyć poza obręb pierwszego koła wyznaczonego stąpnięciem łap. Ślepota nauczyła ją cierpliwości. Przy tym od dnia walki na Słonecznej Skale Kazan nigdy prawie nie dał na siebie czekać zbyt długo. Wołała nań zresztą trzykrotnie jeszcze z wieczora. Potem wybrała sobie leże pod nawisłymi gałęźmi jedliny i przeczekała tak do świtu.

Podobnie jak nie widząc wyczuła chwilę, w której noc pożera resztki dnia, tak obecnie odgadła moment zwycięskiego nadejścia brzasku. Lecz dopiero kiedy słońce ogrzało jej kark, rozpacz przezwyciężyła wrodzoną

przezorność. Wilczyca zwolna zaczęła kroczyć ku rzece węsząc usilnie i skomląc. W powietrzu nie było już zapachu dymu; nie umiała też wykryć woni człowieka. Idąc własnym śladem zstąpiła ku wodzie i ukryta w zwartych krzakach, górujących nieco nad białą smugą pobrzeża, nasłuchiwała czas jakiś. Po chwili odważyła się posunąć dalej, aż ku miejscu, w którym wczoraj oboje gasili pragnienie, zanim rozebrzmiał strzał. I tu jej nos uderzył w piasek jeszcze lepki od krwi Kazana. Wiedziała, że to krew towarzysza, woń bowiem psa zmieszana z wonią człowieka stała w krąg mocna i wyraźna.

Wywęszyła bruzdę wyżłobioną przez jego ciało w chwili, gdy Sandy Mac Trigger wlókł swego więźnia ku łodzi. Znalazła zwalony pień, do którego był uwiązany. Wreszcie trafiła na jeden z dwóch kijów, które służyły do potwornej egzekucji. Drzewo było pokryte krwią i włosiem i ślepa Szara Wilczyca siadłszy wnet na piasku uniosła ku niebu łeb i zawyła tak donośnie, że głos jej poleciał o parę mil na skrzydłach południowego wiatru. Nigdy jeszcze nie odzywała się w ten sposób. Nie był to bowiem zew księżycowych nocy ani tym bardziej oznajmienie łowów czy miłosna tęsknota młodej samki. Tu przemawiała śmierć. Wycie urwało się od razu i wilczyca, pomknąwszy znów ku frędzli chaszczy opasującej nadbrzeżne wydmy, legła w niej cicho z łbem zwróconym ku rzece.

Ogarniał ją okropny strach. Przyzwyczaiła się z czasem do wiecznego mroku, lecz nigdy nie przebywała w nim, samotnie. Zawsze miała opiekę Kazana. Usłyszała raptem opodal gdakanie dzikiej kury, ale ten dźwięk nadleciał jakby z innego świata. Leśna myszka przemknęła tuż koło jej przednich łap i próbując ją schwytać wilczyca zwarła szczęki na zimnym kamieniu. Mięśnie jej bark dygotały silnie, aż zatrzęsła się niby od silnego mrozu. Przerażała ją ustawiczna ciemność, więc oganiała łapami oczy, jakby chcąc je odemknąć dla światła. Po południu wyszła przez las

na otwarte prerie. Lecz nie mogła ich poznać. Lęk wzrastał. Toteż wkrótce skręciła ponownie ku rzece i legła koło martwego pnia w miejscu, w którym wczoraj spoczywał Kazan.

Tu strach dręczył ją mniej. Przez dobrą godzinę trwała bez ruchu, oparłszy łeb na kiju zbroczonym krwią towarzysza Noc zastała ją wciąż jeszcze obok zwalonego drzewa. A gdy księżyc i gwiazdy wybiegły na niebo, pełznąc dowlokła się nad wodę wyżłobieniem pozostawionym przez ciało Kazana.

Rankiem podreptała znów nad rzekę, by zaspokoić pragnienie. Nie mogła spostrzec, że dzień jest niemal równie mroczny jak noc, po niebie bowiem kłębią się ołowiane chmury. Lecz w dusznym powietrzu czuła obecność burzy i elektryczność cichych błyskawic. Potem nadleciał daleki odgłos grzmotu, więc skuliła się znów pod drzewem. W ciągu wielu godzin huragan szalał wokół niej, a ulewa tworzyła istny potop. Gdy wreszcie burza ucichła, wilczyca wymknęła się spod pnia niby sponiewierany kundel. Próżno chwytała powietrze w rozdęte nozdrza. Zapach Kazana znikł. Nawet kij bywie czysto spłukany deszczem Piasek, niedawno rudy od krwi, teraz bielał i srebrzył się jak przedtem.

Na razie wilczyca cierpiała jedynie z powodu samotności i mroku. Po południu przemówił głód. On właśnie odciągnął ją znad koryta rzeki. Chyłkiem pomknęła przez las na nagie prerie. Kilkanaście razy wyczuła bliską zdobycz, lecz nigdy nie umiała jej schwytać. Nawet mysz zdybana pod korzeniami sosny, którą usiłowała wygrzebać łapami, wymknęła się jej spod nosa.

Przed trzydziestu sześciu godzinami Kazan i Szara Wilczyca porzucili na łące na pół zjedzoną zwierzynę. Był to wielki królik z barren. Dla odnalezienia go ślepa samka nie potrzebowała pomocy wzroku. Szósty zmysł, zmysł orientacji, był w niej niezwykle rozwinięty, toteż szła równie

ściśle zachowując kierunek jako gołąb lecący do ojczystego gniazda. Lecz skrytkę, w której schowali królika, odwiedził poprzednio biały lis, toteż znalazła w niej jedynie rozrzucone strzępy turzycy. Ochłapy, którymi lis pogardził, rozdziobały sójki. Szara Wilczyca chciwie obwąchała teren cudzej uczty i skręciła ku rzece.

Tej nocy spała ponownie pod zwalonym drzewem i trzykrotnie przyzywała Kazana nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Opadła rzęsista rosa zmywając z pnia i piasku wszelki cień znajomej woni. Mimo to Szara Wilczyca uparcie stróżowała nad brzegiem rzeki zarówno przez następny dzień, jak i przez całą trzecią dobę. Wreszcie głód skłonił ją do ogryzania kory z nadwodnych wierzb. Tego samego dnia zrobiła ważne odkrycie. Piła właśnie, gdy nos jej trącił coś, co było chłodne, gładkie i miało słaby mięsny odór. Był to jeden z wielkich północnych małży. Wilczyca łapą wyciągnęła go na brzeg i obwąchała twardą skorupę. Potem zmiażdżyła ją w zębach. Nigdy jeszcze nie jadła nic równie dobrego, toteż bez zwłoki poczęła szukać innych muszli. Znalazła ich sporą ilość, więc najzupełniej zaspokoiła dokuczliwy głód.

Pozostała na piaszczystej wydmie jeszcze przez trzy dni. Aż pewnej nocy przemówił nowy zew. Uczuła niezwykłe podniecenie. Był to niby promień nadziei w jednostajnym mroku. Nerwowo przebiegła parokrotnie wąskie pasmo wybrzeża zwracając łeb to ku południowi, to znów ku północy, a potem na wschód i zachód. Nastawiła uszy, jakby usiłując pochwycić złudny szept czarownego głosu. Płynął z południo-wschodu. Tam daleko był jej dom i zrozumiała raptem, że tam również odzyska Kazana.

Zew nie leciał z wykrotu na moczarach. Pomimo ślepoty dostrzegła naraz wyniosły blok Słonecznej Skały i krętą ścieżkę wiodącą na jej szczyt. Tam przecież obezwładniło ją kalectwo. Tam ogarnął ją wieczny mrok. Tam wydała na

świat pierwsze maleństwa. Tam, tylko tam musiała teraz wracać.

Bez zwłoki odpowiedziała na wezwanie porzucając rzekę i znajdowany w niej pokarm. Kroczyła śmiało w paszczę głodu i nocy nie zważając już na grozę świata ani na zaczajoną wszędzie śmierć. Przed sobą bowiem w odległości dwustu mil widziała Słoneczną Skałę, kręty szlak wiodący na górną platformę, gniazdo pośród dwu wielkich głazów, i do Kazana.

ROZDZIAŁ XXV

JAK ZGINĄŁ SANDY

O sześćdziesiąt mil dalej na północ Kazan na łańcuchu leżąc obserwował, jak mały profesor Mac Gill miesza w wiadrze otręby i sadło. W odległości kilkunastu jardów potężny dog nerwowo kłapał wielką paszczą w oczekiwaniu niezwykłej uczty. Okazał też wyraźną radość, w chwili gdy mężczyzna zbliżył się do niego niosąc część gotowej papki, a mały człowieczek o zimnym wejrzeniu błękitnych źrenic i blond czuprynie tkniętej już siwizną patrzył bez cienia obawy, jak pies je, i poklepał go po karku.

Gdy natomiast zwrócił się do Kazana, zachowanie jego uległo znacznej zmianie. Ruchy miał wyrachowane i ostrożne, lecz uśmiechał się oczami i wyrazem ust, nie okazując trwogi — jeśli w ogóle to, co czuł, można było nazwać trwogą. Mały profesor, zwiedzający Północ z ramienia Instytutu Smithsonian, trzecią część życia spędził pośród psów. Kochał je i rozumiał. Napisał sporo na temat psiego intelektu wzbudzając głębokie zainteresowanie wielu przyrodników. Kazana i olbrzymiego doga kupił przede wszystkim dla zadośćuczynienia własnemu sercu. To, że dwa wspaniałe stworzenia odmówiły walki, która miała stanowić rozrywkę dla trzystu zakazanych typów ludzkich, napełniło go dumą i radością. Ułożył już sobie artykuł na ten wzniosły temat. Sandy opowiedział mu historię pochwycenia Kazana wspomniawszy o jego towarzyszce, siwej wilczycy, i profesor zarzucił Mac Triggera tysiącem pytań.

Kazan z każdym dniem intrygował go bardziej. Żadne serdeczne zabiegi nie mogły wywołać przyjaznego wyrazu w ślepiach wilczura. Nie okazywał najmniejszej chęci do jakiejkolwiek poufałości. Jednakże nie warczał na swego

nowego pana ani nie usiłował go gryźć, nawet gdy miał po temu sposobność. Sandy odwiedzał profesora dość często i na jego widok Kazan stale obnażał białe kły, a trzykrotnie próbował nań skoczyć. Ilekroć natomiast stary włóczęga odchodził, pies uspokajał się bezzwłocznie. Coś szeptało mu na ucho, że mały, szczupły człowiek okazał mu przysługę owego wieczora, gdy bark w bark z potężnym dogiem stał za prętami klatki. Toteż w głębi serca traktował Mac Gilla inaczej niż resztę ludzi. Nie pragnął mu szkodzić. Tolerował go, lecz ani myślał wespół z dogiem obdarzać nowego władcę rosnącą sympatią. Właśnie ten fakt intrygował profesora. Po raz pierwszy spotykał psa, który go nie chciał polubić. Dziś, gdy postawił przed Kazanem mieszaninę sadła i ospy, uśmiech znikł raptem z jego twarzy, natomiast osiadło na niej silne zdumienie. Wargi psa zmarszczyły się nagle. W gardle zahuczał mu groźny ryk. Sierść na grzbiecie zjeżyła się. Mięśnie łap drgnęły. Instynktownie Mac Gill wykonał pół obrotu. O parę kroków stał Sandy Mac Trigger, który nadszedł po cichu. Drwiąco spoglądał na psa, a jego brutalną twarz wykrzywiał brzydki uśmiech.

— Nie ma sensu zalecać się do niego! — oznajmił. — To próżny trud!

Machnął ręką i z pewnym ożywieniem spytał raptem:

— No, a kiedyż pan rusza ?

— Wraz z pierwszym mrozem! — odparł Mac Gill. — Sądzę więc, że niedługo! Na pierwszego października mam się spotkać w Fond du Lac z sierżantem Conroy.

— A do Fond du Lac jedzie pan sam jeden? — badał dalej Sandy. — Czemu nie zgodzi pan przewodnika?

Profesor roześmiał się.

— Po co? — spytał. — Jeździłem po Athabasce i jej dopływach ze dwadzieścia razy i znam te strony równie dobrze jak Broadway . Ponadto cenię samotność. A pracy nie będę miał zbyt wiele, gdyż prąd ma wszędzie kierunek

północo-zachodni. Sandy, tyłem zwrócony do Mac Gilla, spoglądał na doga. W oczach zalśnił mu raptem triumfalny błysk.

— Zabiera pan psy?

— Oczywiście!

Mac Trigger zapalił fajkę i przemówił tonem zwykłej ciekawości.

— To chyba wiele kosztuje, te podróże?

— Na ostatnią wydałem siedem tysięcy. Ta wyniesie około pięciu! — rzekł Mac Gill.

— O Boże! — sapnął Sandy. — I taki ładny grosz ciąga pan ze sobą? Nie obawia się pan złej przygody?

Mały profesor zmienił obecnie dotychczasowy wygląd. Znikła jego niefrasobliwa dobroduszność. Błękitne źrenice ściemniały. Na mgnienie po wargach przebiegł mu okrutny uśmiech. Po czym, zwrócony w stronę gościa, parsknął wesołym śmiechem.

— Śpię bardzo czujnie! — rzekł. — Nocą budzi mnie odgłos najlżejszych kroków! A jeśli wiem, że muszę się mieć na baczności, zbudzi mnie nawet ludzki oddech. Poza tym — tu wydobył z kieszeni sino szmelcowany rewolwer — umiem z tym się obchodzić.

Rzucił wokoło wzrokiem i wskazał palcem sęk na ścianie chaty:

— Proszę uważać! — rzekł.

Wypalił pięciokrotnie z odległości dwudziestu kroków a Sandy podszedłszy do ściany wydał okrzyk zdziwienia. W miejscu, w którym dopiero co tkwił sęk, ział spory, nieregularny otwór.

— Wcale nieźle! — bąknął włóczęga. — Niejeden by i z fuzji tego nie potrafił!

Gdy Sandy odchodził, Mac Gill spoglądał za nim z podejrzliwym błyskiem oczu i dziwnym uśmiechem na wargach. Wreszcie zwrócił się do Kazana:

— Zdaje mi się, stary chłopie, że twoja antypatia do niego jest najzupełniej uzasadniona! — roześmiał się cicho. — I wca-

le nie mam do ciebie:pretensji, że chcesz go porwać za gardło! Kto wie, czy...

Urwał i głęboko wsunąwszy ręce w kieszenie spodni poszedł dc chaty.

Kazan złożył łeb między przednie łapy i szeroko otwarłszy oczy trwał bez ruchu. Działo się to u schyłku wrześniowego popołudnia, a każda noc dyszała teraz coraz wyraźniej tchnieniem nadchodzącej zimy. Pies obserwował ostatni błysk bladego słońca. Wkrótce miała zapaść ciemność, a wraz z mrokiem tęsknota do wolności skowyczała w nim coraz silniej. Co nocy usiłował przegryźć łańcuch. Co nocy, podczas gdy wielki dog spał snem sprawiedliwego, Kazan wpatrzony w księżyc i gwiazdy starał się pochwycić wycie Szarej Wilczycy. Dziś było zimniej niż kiedykolwiek, ostry zaś wiatr płynący z zachodu burzył krew wilczura. Indianie nazywają podobny stan „głodem mrozu . Minęło już senne, skwarne lato, a nadchodziły dni i noce szalonych łowów. Kazan pragnął odzyskać wolność i gnać cwałem u boku swej samki aż do utraty tchu. Wiedział, że wilczyca jest tam, gdzie na bladym niebie zawisły jaskrawe gwiazdy, i że wyczekuje nań wiernie. Szarpnął łańcuch i wydał głuchy skowyt.

Przez całą noc nie zaznał chwili spokoju. Był bardziej podniecony niż kiedykolwiek.. Raz usłyszał w dali wycie i wyobrażając sobie, że to woła ślepa wilczyca, odpowiedział gromko i zbudził Mac Gilla z głębokiego snu. Zresztą świt szarzał już, toteż profesor przyodział się śpiesznie i wyszedł z chaty. Z zadowoleniem powitał lodowatą tężyznę

powietrza. Poślinił palec i uniósłszy go nad głową zachichotał czując, że wiatr dmie z północy. Zbliżył się do Kazana i przemówił do niego serdecznie. Między innymi oznajmił:

— Jeszcze dzień lub dwa, a potem ruszamy!

W pięć dni później Mac Gill powiódł najprzód doga a potem Kazana ku obładowanemu czółnu. Mac Trigger asystował przy odjeździe, a Kazan wyglądał sposobnej chwili, by móc nań skoczyć. Sandy jednak trzymał się z daleka, a mały profesor obserwował tych dwoje i poza. uśmiechniętą maską twarzy krew wrzała w nim ogniście. Zrobili już pół mili w dół rzeki, gdy człowiek pochylił się raptem i bez cienia trwogi złożył dłoń na łbie wilczura. Coś w dotknięciu tej ręki i w równoczesnym brzmieniu głosu usposobiło Kazana łagodnie. Toteż nie usiłował nawet warczeć ani gryźć. Przyjmował jednak zabiegi pana oczyma pozbawionymi wszelkiego wyrazu i nieruchomym bezwładem burego cielska.

— Myślałem sobie już, mój chłopcze, że przyjdzie czuwać po nocach! — rzekł Mac Gill. — Lecz mając ciebie pod ręką. można bodaj spać spokojnie!

Tej nocy rozbił obóz nad brzegiem jeziora w odległości piętnastu mil od Red Gold City. Wielkiego doga uwiązał do drzewa, lecz łańcuch Kazana przytwierdził do kołka podtrzymującego namiot tuż przy wejściu. Przed udaniem się na spoczynek wydobył z kieszeni rewolwer i obejrzał go krytycznym okiem.

W ciągu trzech dni podróżowano bez żadnych przeszkód brzegiem jeziora Athabaska. Na czwartą noc Mac Gill ustawił swój namiot w gęstwie karłowatych sosen, o sto jardów od wody. Od rana wiatr uparcie wiał im w plecy i około południa mały profesor począł bacznie obserwować Kazana.

Pies łowił niepokojącą woń płynącą z zachodu. Aż do zmierzchu czuł jej obecność. Dwukrotnie człowiek słyszał w

gardle wilczura groźny warkot. Raz, gdy woń doleciała mocniej, Kazan obnażył kły i najeżył włos na karku.

Po rozbiciu obozu Mac Gill przez dobrą godzinę nie rozpalał ognia, lecz przez lornetkę oglądał brzeg jeziora. O zmierzchu uwiązał psy na noc. Potem ukradkiem obserwował Kazana.

Kazan wciąż jeszcze był ogromnie niespokojny. Leżał obrócony łbem na zachód. Mac Gill zwrócił na to specjalną uwagę, gdyż olbrzymi dog spoczywał za wilczurem po stronie wschodniej. Gdyby się nic nie działo, Kazan spoglądałby na towarzysza. Zatem na zachodzie istniało coś ciekawego. Na myśl o tym, co to może być, mały profesor drgnął lekko.

Pozą osłoną głazów rozniecił miniaturowy ogieniek i przyrządził kolację. Potem znikł w namiocie, a gdy wrócił, niósł pod pachą własną derę. Stojąc nad Kazanem zachichotał cichutko.

— Nie będę tu spał dzisiejszej nocy! — oznajmił poufnie. — Nie podoba mi się to, co czujesz w wietrze zachodnim! Może węszysz burzę?

Roześmiał się, rad z dowcipu, i znikł w kępie karłowatej sośniny o trzydzieści kroków od namiotu! Tu otulił się w derę i zasnął. Noc była cicha i gwiaździsta. Kazan drzemał wtuliwszy nos między przednie łapy. Zbudził go trzask chrustu. Leniwy dog spoczywał nadał, lecz Kazan czujnie unosząc łeb wciągnął nozdrzami powietrze. Ta woń, która prześladowała go przez cały dzień, teraz spłynęła bliżej i nabrała mocy. Leżał milcząc i drżał; Spomiędzy drzew wynurzyła się ciemna postać. Nie był to mały profesor. Postać kroczyła nieco przygięta ku ziemi, wyraźnie przyczajona; światło gwiazd zdradliwie oświetliło brutalną gębę Sandy Mac Triggera.

Kazan przywarował niżej. Wcisnął łeb między przednie łapy. Spod wywiniętych warg lśniły długie kły. Jednak nie

wydał najmniejszego dźwięku, który mógłby zdradzić jego obecność. Sandy zbliżał się krok za krokiem i wreszcie dotarł do skrzydła, namiotu. Obecnie nie niósł w dłoni kija ani bicza. Natomiast między palcami jego prawej ręki migotała stal. Przy wejścia do namiotu przystanął na chwilę i zajrzał w głąb, plecami zwrócony do psa.

Kazan wstał cicho, a szybko niby prawdziwy wilk. Zapomniało krępującym go łańcuchu. W odległości dziesięciu stóp tkwił wróg najbardziej znienawidzony ze wszystkich, jakich kiedykolwiek miał. Cały zasób energii wspaniałego cielska pies wlał w prężność mięśni.

Skoczył. Tym razem łańcuch nie szarpnął go wstecz. Ząb czasu nadwerężył obrożę i pękła z trzaskiem. Sandy zrobił pół obrotu, lecz już w następnym mgnieniu kły Kazana wbiły się w jego ramię. Krzyknął i padł, a tymczasem wielki dog, który się wreszcie zbudził, targnął łańcuchem grzmiąc na alarm.

Podczas upadku ramię człowieka wymknęło się z paszczy psa.

Kazan porwał się na nogi, gotów do powtórnej napaści. Lecz raptem w jego mózgu nastąpi} zwrot. Był przecie wolny! Obroża zleciała mu z karku! Las stał przed nim otworem! Tu byli ludzie, tam — Szara Wilczyca! Położył uszy po sobie i niby cień śmignął w gęstwinę kniei ku bezgranicznej swobodzie.

O sto jardów przystanął raptem. Za nim zabrzmiał rewolwer małego profesora, lecz jeszcze dalej niósł się okropny, śmiertelny wrzask Sandy Mac Triggera.

ROZDZIAŁ XXVI

PUSTY ŚWIAT

Kazan rwał naprzód mila za milą. Przez jakiś czas przygniatało go echo ludzkiej agonii, więc chyłkiem jak duch pomykał wśród drzew i chaszczy, z uszami na płask, zwieszoną kitą podkurczając tylne łapy. Potem trafił na prerie, a cisza nocna, miliardy gwiazd na stropie niebios i rześki zefir przesycony tchnieniem arktycznych pustkowi przywróciły mu dawną beztroskę. Stanął i skierował łeb pod wiatr.

Gdzieś daleko w południowo-zachodniej połaci kraju była Szara Wilczyca. Po raz pierwszy od wielu tygodni Kazan siadłszy w trawie wezwał donośnie swoją samkę. O parę mil, wśród karłowatej sośniny, ogromny dog usłyszał wycie i odpowiedział na nie niskim skowytem. A mały profesor unosząc bladą, skupioną twarz znad sztywnego ciała Sandy Mac Triggera czekał powtórzenia dźwięku. Lecz Kazan już odgadł, że tu nie otrzyma odpowiedzi, toteż ruszył z miejsca cwałem, pędząc szparko jak pies wracający do domowych pieleszy. Nie skręcił w stronę jeziora ani tym bardziej ku Red Gold City. Równie nieomylnie, jakby mu człowiek wytyczał drogę, przeciął czterdziestomilową przestrzeń błot i skalnych urwisk dzielącą go od Mac Farlane. W ciągu nocy ani razu nie zawołał na Szarą Wil czycę. Był pewien, że samka oczekuje nań tam, gdzie ją porzucił, to jest na piaszczystej wydmie nad rzeką.

O świcie dotarł do brzegu rzeki w odległości trzech mil od znajomej wydmy. Zaledwie wzeszło słońce, już stał na piasku w tym samym miejscu, po którym zbiegli w swoim czasie chcąc zaspokoić pragnienie. Wyczekująco i ufnie rozejrzał się wkoło, merdając ogonem i skomląc cicho.

Począł szukać jej woni, lecz deszcze starły nawet płytkie ślady stóp. Przez cały dzień tropił ją to nad rzeką, to w lesie, to znów na skraju łąki. Znalazł miejsce, gdzie zabili wspólnie ostatniego królika. Obwąchał krzaki, na których wisiały zatrute przynęty Mac Triggera. Raz po raz przysiadał w trawie nawołując tęsknie. Lecz w miarę jak czas upływał, przyroda dokonywała w nim cudu zwanego przez Indian Cree „zewem ducha .

Słońce zniżyło się, cienie wieczora gęstniały, a Kazan zwracał się coraz częściej na południo-wschód. Ziemia składała się dlań wyłącznie z przebytych ongiś szlaków. Poza siecią własnych ścieżek nie znał objawów życia. Zatem Szara Wilczyca musiała krążyć w obrębie tego świata, dość ciasnego podług jego psich pojęć. Nie mógł jej wyminąć ani przeoczyć. Ich wspólna droga wiodła wąskim pasmem od brzegów Mac Farlane przez lasy i prerie ku mokradłom, skąd wyforowały ich bezczelne bobry. Jeśli Szarej Wilczycy nie było tutaj, zatem musiała się znajdować tam właśnie. I Kazan ruszył znów niestrudzenie na poszukiwanie ślepej samki.

Dopiero gdy gwiazdy znowu pobladły, a ciemność ustąpiła miejsca siwiźnie brzasku, głód i znużenie wstrzymały jego bieg. Zabił królika i zjadłszy część mięsa długie godziny przespał obok swej zdobyczy. Potem ruszył dalej. Po upływie czterech dni dotarł do małej dolinki wśród dwu górskich grzbietów, po czym przy świetle gwiazd, jaskrawych w mroźnym i czystym powietrzu jesiennych nocy, pokłusował w górę strugi ku staremu domostwu na mokradłach. Był jasny dzień, gdy trafił nad staw bobrowy, który otoczył już ze wszystkich stron wzgórek i wykrot. Szczerbaty i jego plemię dokonali tu gruntownych zmian, toteż pies stał przez długi czas sztywny i nieruchomy, wciągając nosem powietrze przesycone specyficzną wonią uzurpatorów. Jak dotąd duch nie załamał się w nim jeszcze. Nisko zwiesiwszy kudłaty łeb, zbiedzony i wychudły, na

obolałych łapach krążył przez cały dzień wokół bobrowych żeremi. Szukał bezustannie.

Sierść na jego grzbiecie leżała płasko, a w ruchach i wyrazie oczu miał lękliwą troskę ściganego zwierza.

Szara Wilczyca znikła.

Zwolna pojmował tę prawdę. Wierna towarzyszka porzuciła widnokrąg jego świata, więc czuł taki smutek i samotność, że las wydał mu się obcy, a milcząca zaduma kniei przygniatała go i trwożyła. Pies wziął raz jeszcze górę nad wilkiem. U boku Szarej Wilczycy poił go radosny szał zupełnej swobody. Teraz ziemia była wielka i pusta, aż lęk go ogarniał.

Nad wieczorem na brzegu strugi znalazł mały wzgórek pokruszonych muszli. Obwąchał je, odszedł i wróciwszy obwąchał jeszcze raz. Właśnie w tym miejscu Szara Wilczyca ucztowała po raz ostatni przed odejściem na południe. Lecz pozostała po niej woń była zbyt nikła i Kazan nie mógł wyczytać nic określonego.

Tej nocy wtulił się pod zwalone drzewo i skomlił póty, aż usnął. Nawet przez sen popłakiwał żałośnie niby skrzywdzone dziecko. I dzień po dniu, noc po nocy wałęsał się wśród mokradeł, obiegał je chyłkiem, stęskniony coraz bardziej i coraz nieszczęśliwszy.

ROZDZIAŁ XXVII

ZEW SŁONECZNEJ SKAŁY

W złotym blasku jesiennego słońca, w górę rzeki, nad którą wznosi się Słoneczna Skała, płynęło czółno wioząc kobietę, dziecko i mężczyznę. Cywilizacja oddziałała na Joannę tak samo jak na wiele innych kwiatów leśnych przesadzonych raptownie w obręb miejskich murów. Policzki jej zmizerniały. Błękitne oczy straciły dawny blask. Kaszlała często, a za każdym razem mężczyzna spoglądał na nią z miłością i trwogą. Lecz teraz spostrzegał zmianę na lepsze. Gdy czółno wpłynęło w obręb bujnej doliny, która była ongiś ich domem, zauważył, jak na twarzy kobiety występuje zdrowy rumieniec, a oczy świecą radością i weselem. Więc uśmiechnął się z zadowoleniem i w głębi duszy błogosławił knieję. Joanna, pochylając się w tył, złożyła mu niemal głowę na piersi. Przestał na chwilę wiosłować, by przygarnąć ją ku sobie i popieścić dłonią bujne sploty włosów.

— Cieszysz się znów, Joanno?! — przemówił. — Doktorzy mieli rację! Jesteś dzieckiem lasów!

— Dobrze mi tu! — szepnęła i głos jej drgnął, podczas gdy wskazywała ręką białą wydmę klinowato wpartą w nurt rześki. — Czy pamiętasz, jak Kazan nas porzucił w tym miejscu? Ona stała na piasku i wołała nań. Czy pamiętasz?

Usta jej się zatrzęsły i po chwili dodała jeszcze:

— To było, zdaje się, tak dawno! Ciekawa jestem, gdzie oni są teraz ?

Chata przetrwała ten okres niemal bez zmian. Jedynie purpurowe pnącze baknisz porosły jej dach, a wysokie trawy i chwasty stanęły kręgiem wokół; ścian i progu. Teraz z każdym dniem nabierała coraz bardziej wyglądu

zamieszkałego domostwa, jednocześnie zaś policzki Joanny pokrywał zdrowy rumieniec, a w jej głosie brzmiał dawny, dźwięczny i radosny ton. Mąż Joanny trzebił szlak wiodący wzdłuż linii sideł, a ona wraz z córeczką umiejącą już chodzić i mówić krzątała się po izbie i obejściu. Pewnego dnia mężczyzna wrócił do domu dość późno. Gdy wszedł, kobieta przywitała go z wyraźnym podnieceniem. — Czy słyszałeś? — pytała drżąc. — Czy słyszałeś zew? Skinął głową twierdząco, gładząc jej miękkie włosy.

— Byłem o milę w głąb rzecznych moczarów i słyszałem wyraźnie!

Joanna uścisnęła go za ramię.

— To nie by Kazan! — rzekła. — Poznałabym jego glos! Ale wydało mi się, że zew brzmiał -podobnie jak wtedy, gdy wyła jego samka!

Objęła go za szyję i prosiła czule.

— Czy możesz mi obiecać, że nigdy nie będziesz polował na wilki ani zastawiał na nie sideł?

—Myślałem już o tym! — odparł mężczyzna.— Przyszło mi to do głowy, kiedy zabrzmiał zew. Dobrze, obiecuję!

Joanna przytuliła się do niego.

— Kochaliśmy przecie Kazana! — szepnęła miękko. A mógłbyś zabić jego lub ją!

Urwała raptem. Nasłuchiwali oboje. Drzwi były nieco uchylone i ponownie dobiegł ku nim tęskny zew wilczycy. Joanna skoczyła do drzwi. Mąż podążył za nią. Gdy stanęli w progu, kobieta z trudem oddychając wskazała łąkę zatopioną w księżycowym świetle.

— Słuchaj! Słuchaj! — mówiła. — To jej głos! Płynie że Słonecznej Skały!

Wybiegła na polanę nie wiedząc nawet, że mąż podąża za nią. Głos nadleciał znowu z daleka, niski, płaczliwy niby jęk wiatru.

Joanna zrobiła jeszcze kilkanaście kroków i stanęła w powodzi księżycowych migotali. Zew zabrzmiał po raz trzeci. Wtedy kobieta przytuliła dłonie do ust i zawołała tak jak przed rokiem.

— Kazan! Kazan! Kazan!

U szczytu Słonecznej Skały Szara Wilczyca, wynędzniała i osłabła od nadmiernego postu, posłyszała głos Joanny i wycie, które właśnie zamierzała posłać w przestrzeń, zamarło w krótkim skomleniu. Dalej zaś na północy bury cień mknący szybko przystanął raptem i trwał bez ruchu niby głaz. Był to Kazan. Po ciele psa przebiegł ostry dreszcz. Pies czuł, że tu po dawnemu jest jego dom. Tu żył niegdyś, kochał i walczył. Mgliste wizje minionych czasów nabierały znów określonych barw, przez dolinę bowiem cichy, lecz wyraźny dolatywał głos Joanny.

Kobieta wciąż stała jeszcze, blada i zasłuchana, gdy w mlecznej powodzi księżyca dojrzała psa. Sunął ku niej niemal pełznąc na brzuchu, ciężko dysząc i skomląc. Podbiegła mu naprzeciw wyciągając ręce, ze łkaniem prawie szepcząc jego imię, a mężczyzna patrzał na tych dwoje bardziej wzruszony, niż to chciał okazać. Joanna tuliła do piersi wielki, kudłaty łeb; pies piszczał niby małe szczenię.

Mężczyzna odwrócił się nieco i spojrzał ku Słonecznej Skale.

— Tak! Być może... — szepnął.

Niby w odpowiedzi na jego myśl przez dolinę przeleciał ponownie tęskny zew Szarej Wilczycy. Kazan błyskawicznie skoczył na równe nogi, niepomny już obecności kobiety, brzmienia jej głosu, pieszczoty rąk. Sekunda — i znikł. A Joanna padła na pierś męża, oburącz skłaniając ku sobie jego twarz. Mężczyzna utulił ją mocnym uściskiem.

— Czy rozumiesz, co znaczy: „Nie zabijaj ?!

— Tak, rozumiem! Zwierzęta można zabijać jedynie dla podtrzymania własnego życia!

Pogładziła mu twarz miękką dłonią. Zajrzała w oczy oczyma pełnymi blasku gwiazd!

— Kazan i ona! Ty, ja i dziecko! Czy żałujesz, żeśmy wrócili ? — zapytała.

Przygarnął ją tak ciasno, że nie mogła rozróżnić słów, które powierzał gęstwie jej włosów. Siedzieli długie godziny przed drzwiami chaty. Lecz samotny zew nie płakał już ze szczytu Słonecznej Skały. Oboje rozumieli znaczenie tej ciszy.

— Jutro odwiedzi nas znów! — przemówił wreszcie mężczyzna. — Chodźmy spać, Joanno!

Oplótł ją ramieniem i tak weszli do izby.

Tej nocy Kazan i Szara Wilczyca mknęli raźnie, polując razem przy srebrnym blasku gwiazd.